

Tadeusz Żychiewicz

Rok Łukasza

Spoleczny Instytut Wydawniczy Znak • 1975

Od autora

Oddaję Czytelnikom trzeci i ostatni tomik książkowego zbioru refleksji osnutych wokół cotygodniowych czytań liturgicznych; refleksje te były poprzednio publikowane w „Tygodniku Powszechnym”, w rubryce podpisywanej kryptonimem XER — podobnie zresztą, jak i te, które uprzednio (w latach 1973 i 1974) weszły do książkowych edycji „Roku Mateusza” i „Roku Marka”.

„Rok Łukasza” — chciałbym to wyjaśnić i usprawiedliwić — jest w pewnym miejscu jakby trochę „przełamany”: odcinki od listopada do kwietnia są nieco inne w swym charakterze i konwencji od pozostałych. Otóż rubrykę XER-a zacząłem prowadzić właśnie w kwietniu (pierwszy odcinek miał datę 28 IV) roku 1971 — i wszystkie dalsze odcinki aż do końca roku liturgicznego pochodzą z r. 1971. Natomiast odcinki od pierwszej niedzieli Adwentu aż do 28 kwietnia pochodzą z roku 1974, dzieli je więc od tamtych (jeśli chodzi o czas powstania) pełne

trzy lata. To musiało się jakoś odbić na tekstach, trzyletnie autorstwo rubryki musiało dać pewną ewolucję zarówno samego podejścia do tematyki, jak też i przyjętej konwencji. Rozpoczynając „Tygodnikową” rubrykę nie miałem na podorędziu żadnych ustalonych schematów czy też wzorców; nie miałem zresztą także i ochoty opierać się na jakichkolwiek wzorach. Stąd też pierwsze miesiące przyniosły najróżniejsze próby podejścia do tematu, przy czym z reguły nie wykorzystywałem kompletu przypadających na daną niedzielę czytań liturgicznych. Teksty z roku 1974 są inne, w miarę możliwości — jeśli tylko było to możliwe — starałem się wykorzystywać wszystkie przewidziane na daną niedzielę czytania, co zresztą miało także i swoje wady, gdyż nie zawsze umiałem na ich podstawie zbudować zwartą całość.

To byłoby tyle, jeśli chodzi o kuchenne i warsztatowe sprawy „Roku Łukasza”. Ponieważ jednak tomik ten jest ostatnim z serii i zamyka ów „liturgiczny tryptyk” złożony z trzyletniego cyklu czytań — sądzę, że Czytelnikowi należy się także i coś w rodzaju ogólnej dobrej rady.

Kiedy w którymś z lutowych tygodni przyszło mi podzielić się refleksjami na temat ewangelicznych wskazań o błogosławieniu tym, którzy zlorzeczą, i nadstawianiu drugiego policzka tym, którym nie starcza jedno uderzenie — wyznałem szczerze, że nie rozumiem, nie wiem i nie umiem. Reakcja Czytelników była niezmiernie charakterystyczna: redakcja „T.P.” — a także i ja osobiście —

otrzymaliśmy listy, w których dziwiono się, gorszono i protestowano. Jeden z tych listów został opublikowany w „T.P.". Jego Autorka, wyrażając swój sprzeciw, pytała mnie wprost słowami Pisma: „Jakże ty będąc nauczycielem w Izraelu tego nie wiesz?” Odpowiadałem jej wówczas na łamach „Tygodnika”, dziś zaś wypada mi raz jeszcze powtórzyć treść swej odpowiedzi na użytek Czytelników wszystkich trzech tomów książkowego wydania XER-a.

Otóż nie byłem i nie jestem „nauczycielem w Izraelu” i jeśli ktoś nie zrozumie i nie zaprobuje tej dość podstawowej sprawy — obawiam się, że może błędnie odczytać te moje ostatnie trzy tomiki. Nie jestem nauczycielem i nigdy nie było to moją ambicją. Niczego nie chciałem wyklądać ani też objaśniać. Jestem zupełnie zwyczajnym laikiem i cywilem, który czyta sobie Pismo i oczywiście to i owo przy tym myśli; co zaś pomyśli, to i napisze. Powiedziano mi, że te refleksje mogą być ludziom przydatne, więc powierzyłem je słowu drukowanemu. To nie były ani w zamierzeniu, ani też w realizacji słowa „nauczyciela”. Nauczyciel jest w tej fatalnej sytuacji, że musi wyklądać i objaśniać nawet i wówczas, gdy nie bardzo rozumie albo też nie całkiem się zgadza. Nie będąc nauczycielem — znalazłem się w tym luksusowym położeniu, że nie musiałem tego czynić: mogłem powiedzieć, że nie rozumiem, skoro nie rozumiałem; i że czegoś nie umiem — skoro rzeczywiście nie umiałem. Nic nie przynaglało mnie do tego, abym lu-

dziom zawracał głowę, sugerując, iż jest inaczej, niż jest.

Okoliczność tę — jak mi się wydaje — trzeba mieć na uwadze, kiedy się bierze do ręki „Rok Mateusza”, „Rok Marka” i „Rok Łukasza”. Gdyby przyszło mi wypełniać jakąś religijną ankietę personalną, w odpowiedniej rubryczce napisałbym „uczeń” albo „słuchacz”, nie zaś „nauczyciel”.

Podobno byt kształtuje świadomość. Nie całkiem, ale coś w tym jest: zawsze łatwiej mi było porozumieć się z tymi, którzy słuchają i nie wszystko pojmują, aniżeli z tymi, którzy nauczają i rozumieją wszystko. Mnie mam więc, że może i żegnać się nie trzeba, gdyż ta „przynależność socjalna” pozostaje bez zmian.

Rad będę, jeśli wszystkie te myśli czytającego i słuchającego przydadzą się do czegokolwiek innym słuchającym i czytającym.

TADEUSZ ŻYCHIEWICZ

Proroctwo Jeremiasza 33, 14—16
1 List do Tesaloniczan 3, 12—4, 2
Ewangelia św. Łukasza 21, 25—28 i 34—36

1 niedziela Adwentu

Dzień zdumienia

Pierwsza niedziela Adwentu powtarza przekaz o Dniu Ostatnim, który przeznaczony jest, aby stał się na równi Pierwszym Dniem nowego świata. A będzie to także i dzień Paruzji: powtórnego przyjścia Chrystusa.

„Zaprawdę powiadam wam, nie przeminie to pokolenie, aż się to wszystko stanie”. Pierwsi uczniowie pojmowali to zapewnienie dosłownie i wedle własnej swej, doraźnej, człowieczej miary — sądząc, że doczekają wszyscy owego dnia powtórnego przyjścia Pana i że to za ich własnego życia rozegra się ów wielki dramat osądzenia, przemiany i odnowienia. Pomarli jednak wszyscy i nad światem poczęły mijać stulecia. I przypomnieliśmy sobie, że kiedy uczniowie pytali Jezusa o ów Dzień — odpowiedział, że „o dniu onym i o onej godzinie nikt nie wie, jeno sam Ojciec”. I wiemy już, że Jezus patrzył z innej

niż nasza perspektywy i widział przed sobą pokolenie całej ludzkości, nie zaś mizerny od-cinek jednego ludzkiego życia.

Jednakże nic się przez to nie zmieniło. O tamtym Dniu, kiedy by miał nadejść, dziś także nie wie nikt i próżne są wszelkie ludzkie przepowiednie i prognozy. Wiadomo tylko, że „jako potrzask spadnie na wszystkich, którzy mieszkają na całej ziemi”. I wiadome są także znaki zapowiednie.

Chrześcijaństwo od początku było religią oczekiwania i charakter ten zachowało: pilnie baczy, abyśmy nie zapomnieli, że „dni nasze jako cień nad ziemią”. I chociaż nigdy ziemi nie zdradziło i chociaż co krok chwali dobre sprawy powszednie — pilnie też zważa, aby przywiązania ludzkie nie były ponad miarę rzeczy. Aby człowiek nie zagubił miary tamtego Dnia.

Każde oczekiwanie zmienia perspektywę. Człowiek oczekujący nigdy do końca nie zamomowi się w żadnym „dziś”, choćby miłym i najściślej dopasowanym. W człowieku oczekującym nie ma owego sytego zadrzemanie, zamazującego wszelkie jutro.

Tamto oczekiwanie tym bardziej zmienia perspektywę. Jest to bodaj jedyny rodzaj oczekiwania, które — zostawiając człowiekowi niepokój — przywraca mu jednakże najgłębsze wyczucie sensowności świata; i pozostawiając mu ludzki smutek przemijania, niweczy jednak beznadzieję. Jest to bowiem oczekiwanie ostatecznego odnalezienia. Nie istnieje na ziemi i w człowieku rzecz dobra, słuszna, piękna i warta zachowania, której

nie odnalazłby w chwalebnym przemienieniu tamtego Dnia.

Nie ma jednak w owym Dniu nic z taniego, uspokajającego liryzmu: Pismo porównuje ów Dzień z przegrodą ognia. Mogą być w nim spopielone sprawy i rzeczy, które dziś wydają się nam bardzo ważne, warte troski i starań; może się też ukazać ukryta chwała wielu innych spraw i rzeczy, które wydają się nam dzisiaj małe, zwykłe i nie warte uwagi. Może się objawić wielka, ukryta uroda ludzi, których mieliśmy za pospolitych — podobnie jak i nędza innych, którzy wydawali się nam niezmiernie interesujący. Może pogasną klejnoty. Może złoto zamieni się w szlam. I może wiele szarych rzeczy ziemi okaże się cudem przegapionym, przespanym i nie zauważonym. Dzień Ostatni, pierwszy dzień nowego świata z całą pewnością będzie także i dniem wielkiego zdumienia: gdyż będzie to Dzień Prawdy. Prawda jest zawsze czymś zdumiewającym — i to doświadczenie dane nam jest przecież zapowiednio już dziś: ilekroć człowiek stawał przed jakąkolwiek odkrytą prawdą ziemi, stawał zawsze w zdumieniu.

Przyjdzie ów Dzień. „Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą”; tak powiedział. „A strzeżcie się, abyście przypadkiem serc swoich nie obciążyli (...) troskami tego życia”. Te troski są jak pajęczyna, jak bielmo, jak nudnie dźwigany wór kamieni albo jak spadające na czaszkę jednostajne krople wody. Nie wyplączemy się z nich, bośmy przywiązani do swoich dni, jak katorżnik

do taczek: taka jest przecież nasza rzeczywistość.

Byle tylko to bielmo nie zasnuło nam oczu do końca. Byle tylko ta pajęczyna nie oplątała rąk; i aby troski dnia nie zadusiły w sercu ludzkim oczekiwania. Ono jest potrzebne jak nadzieja i sens.

Proroctwo Barucha 5, 1—9
List do Filipian 1, 4—6 i 8—11
Ewangelia św. Łukasza 3, 1—6

2 niedziela Adwentu

Ramiona Pisma

„Roku piętnastego panowania Tyberiusza cesarza, gdy Pilat Poncjusz zarządzał Judeą i Herod był tetrarchą Galilei, a Filip, brat jego, tetrarchą Iturei i krainy trachonickiej, gdy Lizaniasz był tetrarchą Abileny, za najwyższych kapłanów Annasza i Kajfasza stało się słowo Pańskie do Jana, Zachariaszowego syna na pustyni. I przyszedł do całej krainy Jordanu, głosząc chrzest pokuty na odpuszczenie grzechów, jako napisano w księdze mów Izajasza proroka: »Głos wołającego na pustyni: gotujcie drogę Pańską, torujcie ścieżki jego. Wszelka dolina będzie wypełniona i każda góra i wzniesienia zniżone będą. Krzywe drogi staną się prostymi, a ostre wygładzonymi będą i każdy człowiek ujrzy zbawienie Boże«”.

Początek tego wersetu brzmi jak notatka sumiennego i drobiazgowego kronikarza, który pilnie dba, aby wydarzenie umieszczone

zostało najdokładniej na swoim miejscu w czasie i przestrzeni. Koniec natomiast brzmi zupełnie inną nutą; Jan Chrzciciel, cytując Izajasza, specyficznym językiem zapowiednich obrazów prorockich mówi o rzeczach ostatecznych, nie już wspólnego nie mających z czymś tak nieopisanie drobnym, zaprzyszłym i nieważnym, jak panowanie cesarza Tyberiusza, lokalne rządy Poncjusza Piłata czy tetrarchy Filipa albo Lizaniasza.

Ta Izajaszowa nuta nie jest zresztą akurat tylko jego własnością. Podobnie też wołał i Baruch:

„Złóż, Jeruzalem, szatę żałoby i utrapienia swego, a oblecz się pięknnością i światłością chwały owej wiecznej, którą masz od Boga. (...) Powstań, Jeruzalem, a stań na miejscu wysokim i spojrzuj ku wschodowi słońca, a zobacz synów swoich zebranych od wschodu słońca aż ku zachodowi słowem Świętego, weselących się z pamięci Bożej. Bo od ciebie wyszli, pieszo gnani przez nieprzyjaciół, a Pan przyprowadzi ich do ciebie, przyniesionych ze czcią jako synów królestwa. Bo postanowił Bóg zniżyć każdą górę wysoką i skały wiecznie trwające, a doliny zapełnić na wyrównanie ziemi”...

Te teksty mówią o przemianie i spełnieniu w czasie ostatecznym. Uniżone skały, doliny wyrównane — jest to w gruncie rzeczy to samo słowo, które mówiło o uniżeniu pysznych i wywyższeniu tych, którzy niewiele o sobie mieli; o tym, że pierwsi będą ostatnimi. Wizja naprostowanych krzywych dróg jest słowem o odkryciu zakrytego na

starej ziemi sensu pokrzywionych dróg ludzi i dziejów; o odkryciu sensu wielu osobistych i ogólnohistorycznych spraw, przed którymi stajemy dziś bezradni i zbuntowani, widząc tylko beznadziejne ich splątanie i pytając na próżno: „gdzie był sprawiedliwy Bóg, kiedy się to działo?” Albo i wprost: „nie ma Ojca”. Ale będą naprostowane krzywe drogi rozpaczliwych i smutnych ludzkich żywotów; będą naprostowane splątane drogi wyrzniętych plemion i narodów siłą uniżonych w niewolę. „Bo od ciebie wyszli, pieszo gnani przez nieprzyjaciół, a Pan przyprowadzi ich do ciebie, przyniesionych ze czią, jako synów królestwa”. Powstań, Jeruzalem. Złóż, Jeruzalem, szatę utrapienia swego.

Tak: to są zapowiednie słowa o sprawach, które się objawią w Dniu Ostatecznym. Mówili o nich uparcie i wciąż od nowa prorocy Starego Testamentu. I mówił o nich ostatni z proroków, Jan, poprzedzający Chrystusa.

Jednakże wcale nie jest ani przypadkiem, ani też nieporozumieniem, że wszystkie te słowa, w tak absolutny sposób wychylone poza starą ziemię, w tak zupełny sposób sięgające po nowy czas — równocześnie trzymają się kurczowo kronikarskich kategorii dnia. To nie jest przypadek ani też nieporozumienie, że owe prorockie, zapowiednie słowa spraw ostatecznych Ewangelia notuje właśnie tak: że stało się to piętnastego roku panowania cezara Tyberiusza, gdy Judeą zarządzał Poncjusz Pilat, gdy tetrarchą Galilei był Herod, a Filip, brat jego — tetrarchą Iturei i krainy trachonickiej...

Przecież takie właśnie jest całe Pismo. I — na Boga — wie, co robi. Całe Pismo, we wszystkich dosłownie swoich wersetach podobne jest do człowieka z szeroko i zachłannie rozkrzyżowanymi ramionami, który jedną ręką trzyma ziemię — i za żadne skarby jej nie puści; a drugą ręką sięga poza czas i poza starą ziemię. I też nie puści. Takie jest całe Pismo.

Od początku aż do końca. W Księdze Genesys wielkie sprawy pomiędzy Bogiem i człowiekiem nie rozgrywają się w abstrakcyjnej próżni ani na obłokach: towarzyszy im ziemia, noc, gwiazdy, woda, światło, zwierzęta i ptaki. Cały Stary Testament jest jak ów Tobiasz idący ludzkimi drogami: a towarzyszy mu anioł i pies. Poślaniec Pana spoza wszechświata — i ten pies. Zwykła, kręcąca ogonem, zapchlona i miła sobaka, a nie filozoficzna abstrakcja. I nie inaczej jest w Ewangelii: gdy wraca do ludzi Zmartwychwstały, nad brzegiem jeziora kładzie rybę na węgle ogniska. I kiedy Jan zatone w wielkich, przerażających wizjach Apokalipsy, kiedy przebrnie przez ogień — u kresu odnajdzie przemienioną ziemię; ale jednak ziemię. I firmament nad głową.

Takie jest całe Pismo: żeby nie zdradzić ziemi. I żeby nie zdradzić wieczności.

Pisał Apostoł: „A ufam, że ten, który rozpoczął w was dobrą sprawę, dokona jej aż do dnia Chrystusa Jezusa”.

3 niedziela Adwentu

Jan

Jest w Ewangelii bardzo wiele stwierdzeń i wskazań krańcowych. Niekiedy do tego stopnia krańcowych i bezkompromisowych, że ich zrozumienie i akceptacja nie należą do najłatwiejszych. Równocześnie jednak — rzecz zastanawiająca — kiedy przyciśnięci do muru ludzie pytają: „co mamy robić“?, mając na myśli konkret ich zwykłego dnia, z reguły padają odpowiedzi dalekie od gorączkowych spodziewań.

Zanotowany w Ewangelii obraz Jana Chrzciciela jest obrazem gniewnego proroka. Nie sposób wyobrazić go sobie inaczej. Był to człowiek tak doszczętnie zapatrzony w swoje wewnętrzne wizje, tak dalece zasluchany w dziejący się wewnątrz niego Głos, człowiek tak zupełnie oderwany od wszelkich rozsądnych wyrachowań i obliczeń, że nie sposób wyobrazić sobie Jana przymierzającego albo ważącego słowa. Mówił zawsze dokładnie to

właśnie, co myślał. Był to człowiek żywiołu — posłusznego Głosowi żywiołu, ale jednak żywiołu. Jego słowa są zawsze spontaniczne.

I oto z rozkołysanego przezeń tłumu przechodzą ludzie. Są przejęci, często — wstrząśnięci i rozgorączkowani. Gotowi są uczynić, co nakaze: choćby i rzeczy najtrudniejsze. Pytają: co mamy czynić? Co mamy czynić ze swoim życiem?

Jan odpowiada zadziwiająco. Mówi: jeśli masz dwie suknie, daj temu, który nie ma żadnej. Jeśli masz co jeść, niech nie będzie przy tobie głodnego. Celnikom rzecze: nic nie czyńcie ponad to, co wchodzi w zakres waszych obowiązków. Urząd celników, czyli poborców podatkowych, słynął z przekupstwa i łapówkarstwa. Można się było spodziewać, że gniewny prorok załamię nad nimi rękę dramatycznym gestem i każe porzucić haniebne rzemiosło, przeklęte pieniądze. Cóż, jeden z celników istotnie uczynił to — ale sam, z dobrej woli. Nazywał się Mateusz. Tym innym daje Jan rozkazanie dalekie od wszelkich krańcowych heroizmów: pobieraj opłaty, bo po to cię postawiono, taki jest twój zydel i twoja praca. Ale nie bierz łapówek. Nie sprzedawaj się. Przyszli doń także i żołnierze. Spodziewali się zapewne, że odmówi im chrztu, jeśli nie porzucą włóczni, topora i miecza. A nieobliczalny Jan, gniewny i oderwany od świata prorok — mówi: „Nikogo nie bijcie i nie spotwarzajcie; a poprzestawajcie na żołdzie swoim”. Nie rabujcie. To tak, jakby im powiedział: pozostańcie żołnie-

rzami i zachowajcie swój żołnierski honor. Ale nie bądźcie żołdakami i rabusiami.

Mój Boże... Kiedy się słucha wielu współczesnych publicystycznych i kongresowych proroków chrześcijaństwa — można by mniemać, że istotnie są bliscy świętości, zaś Jan Chrzciciel do pięt im nie dorósł i jest co najwyżej rażącą konformizmem pomyłką Ewangelii. Bo oto wołają jedni, że chrześcijanin powinien być człowiekiem dla innych, tylko dla innych i wyłącznie dla innych. A jeśli nie, to bardzo źle; a jeśli inaczej, to już klęska. Albo też odzywa się ktoś, że nie może być chrześcijaninem człek, który nie odmawia służby wojskowej. Co prawda sam Chrystus powiedział setnikowi rzymskiemu, iż jest człowiekiem wielkiej wiary, jakiej nie spotkał w Izraelu, i wcale nie żądał odeń, aby rzucił swój żołnierski fach, ale cóż z tego: oni, sympozjonowi prorocy, Janowie wołający na puszczy gazetowych płacht — oni przecież wiedzą lepiej, jakie są warunki i wymagania chrześcijaństwa.

I kimże jest przy nich tamten prawdziwy prorok z pustyni? Ten, który poprzedzał Chrystusa?

Ale może trzeba by pytać całkiem inaczej: kimże właściwie są ci panowie? Tylko czy na pewno warto pytać?

Jan położył głowę za sprawy, do których go powołano. Józef z miasteczka Nazaret tylko pracował i ochraniał. Jan był Głosem. Józef był milczeniem. Czy wynika stąd, że Józef powinien być Janem, a jeśli nie, to

bardzo źle? Albo też czy należałoby mniemac, że Jan więcej wart od Józefa?

Mateusz rzucił stół poborcy podatkowego. Powołano go bowiem, aby stał się jednym z dwunastu. Ale innym poborcom powiedziano tylko to: aby nie brali łapówek. Mateuszowi pisana była trudna wielkość. Ale czy wynika stąd, że tamci bezprawnie i nieprawdziwie zostali ochrzczeni przez Jana? Czy Jan, żądając od nich tylko uczciwości, postąpił małodusznie?

Jezus wytrącił miecz z ręki Piotra w ogrodzie Getsemani. Wynika stąd, że urząd Piotrowy nie powinien opierać się na mieczu. Setnikowi rzymskiemu Jezus nie kazał rzucić broni — a na dodatek jest to jedyny człowiek Ewangelii, który potrafił zdumieć swoją wiarą Syna Bożego: to doprawdy duża rzecz. Zdaje się stąd wynikać, że zbawienia nie zarezerwowano dla pacyfistów.

Jan Chrzciciel był człowiekiem gorejącym. Kiedy jednak przychodzili doń rozkołysani pokutą ludzie, Jan nie żądał od nich spektakularnego heroizmu. Żądał od nich zwyczajnej, codziennej, nie porzucającej rygorów dnia, rzetelnej uczciwości. Wiedział, że na każdego człowieka przychodzi jakiś trudny czas. Ale wiedział też, że ten trudny czas może, ale nie musi być koniecznie szafotem albo całą skazańca. Może to być także trudny czas Józefa z Nazaretu: długie milczenie cienia. Mogą to być nocne rozterki Nikodemów. Albo po prostu trudna żołnierska uczciwość.

Jan nie był doktrynerem. I właśnie dlatego był prorokiem prawdziwym.

Był człowiekiem gwałtownym, zaś jego wizja Chrystusa jest wizją groźną: jest to wizja kogoś, kto plewy wrzuca do ognia. Ale Jan nigdy nie przesądzał: kto jest ziarnem, kto zaś nieużytecznym śmieciem. Jan przed nikim nie zamykał własnej jego drogi do Chrystusa. Nie mówił: jesteś żołnierzem, jesteś poborcą podatkowym, to odrażające.

Tak: Jan nie był doktrynerem. Za blisko był Chrystusa.

I kiedy bardzo trzeźwo bada się jego działalność, uderza niespodzianką także i to: ten gwałtowny i niespokojny człowiek ma najgłębiej ukryty w sobie ten sam dziwny pokój, który był także i w innym gwałtownym człowieku: w Pawle. To przecież Paweł powiedział:

„Pokój Boży, który przewyższa wszelkie pojęcie, niechaj strzeże serc i umysłów waszych w Chrystusie Jezusie”.

Proroctwo Micheasza 5, 2—5a (BT 5, 1—4a)
List do Hebrajczyków 10, 5—10
Ewangelia św. Łukasza 1, 39—45

4 niedziela Adwentu

Matka Pana mego

„Powstawszy tedy Maryja w one dni udała się spiesznie w okolicę górzystą do miasta Judy. I weszła do domu Zachariasza”...

Ewangelia Łukaszowa opowiada o pospiesznych odwiedzinach Marii. Odwiedziny u Elżbiety i Zachariasza były pospieszne z bardzo ludzkich powodów: na młodą dziewczynę zwały się sprawy wielkie, tajemne i niezrozumiałe; pojawiła się też konieczność nie tylko utwierdzenia w sobie pewnych sądów i postaw, ale także podjęcia konkretnych decyzji na najbliższą przyszłość. Kiedy posłyszała Głos — sama powzięła decyzję i sama wyraziła zgodę: „Otom ja służebnica Pana, niech mi się stanie”. Teraz jednak Wysłannik odszedł, ona zaś została sama ze swoją tajemnicą. I nie wiadomo było nawet, jak wytłumaczyć Józefowi sprawy niewytłumaczalne. I nie wiadomo, co dalej. Maria nie była ani lekkomyślna, ani też zadufana: może po-

czuła się nazbyt osamotniona ze swoim Zwiastowaniem, może osądziła, że własne jej rozumienie zbyt kruche i zbyt młode. Udała się spieszenie do krewnej swojej, Elżbiety i męża jej, Zachariasza, który był kapłanem świątyni jerozolimskiej. A byli to ludzie sprawiedliwi.

Wolno mniemać, że — idąc — może i układała sobie roztropnie i najprościej: co powie. Wszystko jednak ułożyło się inaczej. Nic nie musiała mówić i niczego nie musiała tłumaczyć. Kiedy bowiem stanęła w drzwiach domostwa tych ludzi i ledwie zdążyła wymówić pozdrowienie — na Elżbietę przyszła taka wielka godzina, kiedy człowiek mówi słowa nie swoje, a jednocześnie najbardziej własne. Bardziej prawdziwe, niż własne życie. Kiedy człowiek wypowiada coś, czego przenigdy nie mógłby wymyślić sam; a jednak wypowiada własne swoje przekonanie i własną wiarę.

Elżbieta powiedziała:

— „Skądże mi to, że przyszła matka Pana mego do mnie?”

Kiedy w Wieczerniku postawiono Tomasza wobec Zmartwychwstałego i wezwano go, aby wetknął dłoń w otwarty bok Żyjącego i palce w Jego przebite ręce, Tomasz wyznał swą wiarę stwierdzeniem: „Pan mój i Bóg mój”. Dla prawowiernego Żyda i prawowiernej Żydówki był tylko jeden Pan. Tym Panem nie mógł być żaden panujący na ziemi, żaden król, żaden największy nawet prorok i nauczyciel mądrości. Tym Panem był tylko niewyrażalny i jedyny Bóg.

Elżbieta powiedziała coś, czego w żaden

sposób nie można było wymyślić. Prawowier-
na Żydówka, pozdrawiająca ciężarną dziew-
czynę imieniem „matka Pana mego” wypo-
wiadała albo zupełnie bezprzykładne bluź-
nierstwo zasługujące na śmierć, albo też nie-
słychaną prawdę Objawienia. Było to bowiem
równoznaczne stwierdzeniu „matka Boga me-
go”. Było to wyznanie prawdy Wcielenia.
„Napełniona została Elżbieta Duchem świę-
tym”. Istotnie: to była prawda jej najwłaś-
niejszej wiary — ale to było równocześnie
Objawienie: coś z rzędu prawd, które ofiaro-
wane zostają człowiekowi i darowane w geś-
cie przymierza i bliskości.

Dla Marii była to bardzo wielka rzecz:
jakby przy tej starej kobiecie ujrzała znów
światło Zwiastowania. Nic już nie musi mó-
wić. Niczego nie musi tłumaczyć ani wyja-
śniać. O nic prosić. Nic tu zresztą nie ma do
tłumaczenia ani wyjaśniania: jest tylko nie-
pojęta, wielka, radosna sprawa: że Bóg stał
się człowiekiem, ona zaś jest matką tego czło-
wieka: matką Syna Bożego, matką Pana.

I oto ta najcichsza kobieta Pisma wybu-
cha swoim *Magnificat*: „Uwielbia dusza moja
Pana. I rozradował się duch mój w Bogu,
Zbawicielu moim: iż wejrzał na uniżenie słu-
żebnicy swojej. Bo odtąd błogosławioną zwać
mnie będą wszystkie narody. Albowiem uczy-
nił mi wielkie rzeczy, który można jest
i święte imię Jego. A miłosierdzie jego z po-
kolenia w pokolenie”...

Już nigdy potem Pismo nie zanotuje tylu
jej słów. To inni będą pytać, mówić, prosić,
odpowiadać, domagać się, skarżyć, sądzić,

oceniać — ona zaś będzie raczej milczącą obecnością przy Bogu. Teraz jednak jest taka wdzięczna, taka wdzięczna, pokorna i jednocześnie dumna, upewniona i radosna, że musi mówić. To zaś, co mówi, jest modlitwą.

I pozostała u Elżbiety trzy miesiące, zanim powróciła do Nazaretu, aby działały się dalej rzeczy Objawienia.

Pismo jest Księgą Objawień. O wielkich sprawach spinających wieczność z najmniejszym cóż mógł wiedzieć sam z siebie Micheasz, kiedy paręset lat przed narodzeniem Jezusa kłaniał się w swoich pismach: „A ty, Betlejem Efrata, malutkie jesteś między tysiącami judzkimi: z ciebie mi wyjdzie, który będzie panującym w Izraelu, a pochodzenie jego od początku, od dni wieczności”... I skądże się wzięły Psalmiście słowa Syna Bożego, przytaczane później przez Apostoła. Słowa mówione Ojcu: „Nie chciałeś ofiary i daru, aleś mi utworzył ciało. W całopaleniach za grzechy nie upodobałeś sobie. Wtedy rzekłem: Oto idę (...), abym pełnił, o Boże, wolę Twoją”.

Musiała czytać także i te psalmy Maria, matka Pana mego.

Księga Syrycha 3, 3—7, 14—17a (BT 3, 2—6 i 12—14)

List do Kolosan 3, 12—21

Ewangelia św. Łukasza 2, 22—40 albo 22 i 39—40

Niedziela Najświętszej Rodziny

Oczy Symeona

Pisał z Rzymu Apostoł w liście do swego narodu:

„Po rozlicznych i przeróżnych sposobach, jakimi niegdyś mówił Bóg do ojców naszych przez Proroków — na koniec w tych czasach przemówił do nas przez Syna. Jego to ustanowił dziedzicem wszystkich rzeczy i przez niego stworzył wszechświat. Ten zaś będąc jasnością chwały i odbiciem istoty jego, a podtrzymując wszystko słowem swej potęgi, dokonał oczyszczenia z grzechów i zasiadł na prawicy majestatu. Tym wyższy stał się od aniołów, im osobliwsze nad nich odziedziczył imię. Bo któremuż to z aniołów powiedział kiedy Bóg: «Synem moim jesteś, jam ciebie dziś zrodził»? I znowu: «Ja mu będę ojcem, a on mi będzie synem?» I kiedy znowu wprowadza pierworodnego na okrąg ziemi, mówi: «Niechaj mu cześć oddają wszyscy aniołowie Boży»”.

Pisał także i Jan o Jezusie w prologu swojej Ewangelii:

„Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo. Ono było na początku u Boga. Wszystko się przez nie stało, a bez niego nic się nie stało, co się stało. W nim było życie, a życie było światłością ludzi, a światłość w ciemnościach świeci i ciemności jej nie ogarnęły. (...)

Na świecie był, a świat był przez niego stworzony i świat go nie poznał. Przyszedł do swojej własności, a swoi go nie przyjęli. A wszystkim, którzy go przyjęli i uwierzyli w imię jego, dał moc, aby się stali synami Bożymi; którzy nie z krwi ani z żądy ciała, ani też z woli ludzkiej, ale z Boga się narodzili. A Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami”.

Syn się urodził ubogim ludziom. A stało się to w godzinę ustanowioną przez Pana. Akurat w taki sposób, akurat wtedy, gdy wedle wszelkich najroztropniejszych ustanowień ludzkich stać się nie powinno: bo w drodze, bo wśród obcych, bo w bardzo wielkim zmęczeniu i osamotnieniu. Zabrakło miejsca w gospodzie, zaś miłosierdzie ludzkie, zabrawszy z sobą kaganek, ofiarowało Synowi skalną stajnię. Bo tak ustanowił Pan, a święte jest imię Jego.

Tak tedy stało się narodzenie w skalnej jamie, jakby w sercu ziemi, zaś instynkt ludów przydał Dziecku i dwojgu ludziom także i przyjazne ciepło zwierząt. A za żółtym kręgiem pełgającego kaganka, tuż za progiem grotu stała noc: wielka, niezmierna otchłań

wszechświata, w której gwiazdy są jak światło i jak proch. Nie można było prościej. Nie można dostojniej.

Przyszedł do swojej własności, a swoi go nie przyjęli. Jakże mogli przyjąć, skoro się ukrył aż tak? Ludzie najszczerzej czekający mieli w oczach majestat Jahwe — niewypowiedziany, pętający języki Prorokom. A On się ukrył w sercu ziemi: zwyczajne, małe, kruche, bezradne dziecko. Świat Go nie poznał. Jakże mógł poznać?

Ale kto wie: może to zawsze tak bywa. Może to zawsze Bóg się ludziom rodzi właśnie tak: zupełnie nie w porę, bo w drodze, wśród obcych i w wielkim zmęczeniu. Krucho, nie poznany i całkiem inny, niż się spodziewali. Ukryty i nie przyjęty — bo bez widomego majestatu. Może to zawsze gdzieś blisko przyjazne zwierzęta i niezmiernie otchłań nieba. Może to właśnie tak: że majestat Boga za kurtyną ziemi, kaganka i gwiazd? W rzeczach najzwyklejszych?

A kiedy się wypełniły dni, iżby się stało zadość Prawu, przynieśli dziecko małe do Jerozolimy, aby je stawić w Świątyni przed Panem i aby złożyć ofiarę wedle tego, co napisano w Zakonie: parę synogarlic albo dwa gołębie. A był w Jerozolimie człowiek sprawiedliwy imieniem Symeon, wyczekujący spełnienia obietnicy danej przez Proroków: iż zstąpi na ziemię Syn Boży. A obiecano mu było, że nie umrze, dopóki nie ujrzy.

I stało się, że przybył do Świątyni, gdy wnosili Dziecko. A przydarzyła się rzecz niewiarygodna: poznał. I wziął Jezusa na ręce

i wielbił Boga, mówiąc: „Teraz, o Panie, według słowa Twego uwalniasz sługę Twego w pokoju, bo ujrzały już oczy moje zbawienie Twoje, któreś zgotował wobec wszystkich narodów: Światłość ku objawieniu poganom i chwałę ludu Twego (...). I błogosławił im Symeon i rzekł do Maryi, matki jego: Oto ten przeznaczony jest na upadek i na powstanie wielu (...), na znak, któremu sprzeciwić się będą”.

Niewielu jest na ziemi ludzi szczęśliwych. Symeon był szczęśliwym człowiekiem: spełniło mu się przed śmiercią to, na co czekał najbardziej. Ludziom rzadko spełnia się to właśnie, na co czekają najbardziej.

Symeon był człowiekiem Daru. Bo przecież co dnia przynoszono do świątyni małe dzieci. I zawsze widziało się to samo: dwoje ludzi niosących dziecko i ofiarne ptaki. Co dnia dziesiątki w pochodzie. Można było przywyknąć. Można było zaniewidzieć. Tych dwoje nie różniło się niczym od tysięcy innych. I Jezus nie różnił się niczym. Jakże zobaczyć i poznać ukrytego Boga?

Było zupełnie podobnie, jak w Betlejem: „Na świecie był, a świat był przez niego stworzony i świat go nie poznał”.

Ale może zawsze tak bywa: że trzeba zobaczyć coś zupełnie niesłychanego w liściu bliźniaczo podobnym do tysięcy innych liści. Skądże wiadomo, gdzie cień Obecności?

Panie spoza wszechświata, nigdy nie widziany, Panie spoza kręgu wszystkich rzeczy, Panie, któryś wszedł w serce ziemi — dajże nam wszystkim oczy Symeona.

Proroctwo Izajasza 60, 1—6
List do Efezjan 3, 2—3a i 5—6
Ewangelia św. Mateusza 2, 1—12

Niedziela Objawienia Pańskiego

Trzej magowie

Pismo mówi o Mędrcach ze Wschodu. Nie wiadomo, kim byli ci ludzie. Najprawdopodobniej byli magami: kapłanami i uczonymi, strażnikami wiedzy i wielkich wschodnich tradycji religijnych — może z Chaldei, może z dalszych jeszcze krain. W tamtych stronach, pogrążone w morzu politeistycznych wierzeń, zatarte i niejasne, snuły się jednak w zaciszach pracowni kapłańskich cienie podejrzeń, że może cały ów wyznawany panteon bóstw jest tylko człowieczą kurtyną Nieznanego i Bezimiennego. I znał także Wschód równie niejasne przepowiednie o Dziewicy, która porodzi Syna; powiedział któryś z religioznawców, że były to dobre sny pogaństwa.

Stary Testament nienawidził magów, kapłanów Wschodu, zaś starotestamentowe kodeksy ustawodawcze zabraniały magii pod karą śmierci. We wszelkich wschodnich obrzę-

dach magicznych Stary Testament z zadziwiająco bystrością odkrył zasadniczy grzech pogaństwa, napędową siłę praktyk i zaklęć: dążenie do zawładnięcia bóstwem. A więc tym samym dążenie do negacji wszelkiego bóstwa; czymże bowiem byłoby bóstwo we władzy człowieka, jeśli nie własnym jego cieniem? I można starotestamentowym Prorokom i prawodawcom pogratulować przenikliwości: mieli rację.

Zapomnieli tylko o jednym: że Duch nie jest skrepowany i ograniczony postanowieniami prawodawców, choćby po ludzku i były skądinąd słuszne. I że — jak sami mówili — nawet z kamieni mocen jest Bóg wzbudzić synów Abrahamowi. I że wreszcie nawet w największych ciemnościach mogą się snuć dobre ludzkie sny, jeśli Bóg tak chce.

Trzej magowie ze Wschodu, astrologowie, kapłani i uczeni, przybyli istotnie z bardzo daleka, zaś ich drogę należy chyba mierzyć nie tylko geograficzną skalą i milami pustynnych dróg. Była to także i ta nieopisana odległość, która oddziela cześć od bluźnierstwa i wyznanie od zaklęć. I najpewniej słuszna jest intuicja Pisma, która tych ludzi nazywa inaczej: mędrkami. Bo istotnie potrzebna była wielka mądrość, aby przebrnąć także i przez własną uczoność: przez wiedzę o gwiazdach, przez wiedzę o tajemnych, ciemnych siłach ludzkich dusz. Nieznajomi magowie — może z Chaldei, może z dalszych jeszcze stron — zawierzili dobrym snom. I oto nieznane Słowo stało się im ciałem.

„A oto gwiazda, którą byli widzieli na

wschodzie, wyprzedzała ich, aż zatrzymała się nad miejscem, gdzie było dziecko. A ujrawszy gwiazdę, uradowali się radością bardzo wielką. I wszedłszy w dom, znaleźli dziecko z Maryją, matką jego, i upadłszy, pokłonili się mu. A otworzywszy skarby swe ofiarowali mu dary: złoto, kadzidło i mirrę”.

To już św. Ireneusz szukał ukrytych znaczeń owych darów, przyznając im walor wyznania wiary: że gorzkość mirry przypisana człowiekowi; złoto należne Królowi; kadzidło zaś Bogu, jako symbol modlitwy.

I znikając z kart Pisma, wrócili do krainy swojej. Poszła za nimi tylko legenda chrześcijańska — twierdząc, że pozostali wyznawcami Jedyneego i przyjęli chrzest.

Ciekawe: dlaczego właśnie tak? Pierwszymi, którzy pokłonili się ukrytemu Chrystusowi, byli pasterze z najbliższych okolic Betlejem: ludzie najprostsi i prawowierni. Następni zaś byli ci najdalsi: pogańscy uczeni, którym jednak stała się rzecz subiektywnie najtrudniejsza: łaska prawdziwej wiary. Łaska dojścia.

Ale właściwie nie jest to sprawa aż tak bardzo dziwna. Ci sami Prorocy, którzy z upartą czujnością występowali przeciwko podstawowym i nie zawsze jawnym ideom pogaństwa — wiedzieli aż nadto dobrze, że Królestwo przełamie wszelkie granice: krwi, plemion, narodów i determinant. Wiedzieli, że nadchodzące Nowe Przymierze nie da się niczym ograniczyć. Wołał Izajasz: „Wstań, oświeć się Jeruzalem, bo przyszła światłość twoja, a chwała Pańska weszła nad tobą. Bo

oto ciemności okryją ziemię i mrok narody; ale nad tobą wszędzie Pan, a chwała jego nad tobą będzie widziana. I będą chodzić narody w światłości twojej, a królowie w jasności wejścia twojego. Podnieś wokoło oczy twoje i oglądaj: ci wszyscy zgromadzili się, przyszli do ciebie; synowie twoi z daleka przyjdą, a córki twoje z boku powstaną. (...) Zdziwi się i rozszerzy serce twoje (...)”.

Zaś w wiele wieków po Izajaszu Paweł Apostoł pisał tak w liście do mieszkańców Efezu:

„Ja, Paweł, więzień Jezusa Chrystusa za was, pogan, jeśli tylko słyszeliście o łasce Bożej danej mi ze względu na was, że przez objawienie oznajmiona mi była ta tajemnica. (...) Czytając to możecie pojąć, jakie mam zrozumienie tajemnicy Chrystusowej nieznannej ludziom dawnych pokoleń, tak jak teraz objawiona była w Duchu Świętym Apostołom jego i Prorokom: tej mianowicie, że i poganie są współdziedzicami, współczłonkami w ciele i współuczestnikami obietnicy jego w Chrystusie Jezusie przez Ewangelię”.

Tak właśnie pojmował tę rzecz Paweł: że współuczestnictwo i współdziedzictwo pogan w obietnicy zbawienia jest tajemnicą Chrystusa.

Był taki czas, kiedy mówił Jezus uczniom swoim: „mam ja owce, które nie są z tej owczarni”. A nie wiedzieli, o czym by mówił. Mówił zaś o tej właśnie swojej tajemnicy: że ręce jego sięgają dalej, niż oczy ludzkie i człowiecze mniemanie. A jego bywają także i ci, których ludzie nie widzą w wido-

mym ogrodzeniu Kościoła: współuczestnicy i współdziedzice obietnicy.

Ale Pawłowi bliżej było do zrozumienia, jak też i bliżej do wiary, tamtym zaś — nieopisanie daleko. Istotnie musieli być mędrkami, skoro niebu i ziemi wydarli tajemnicę Chrystusa. A może inaczej: może pozostało w nich coś najbardziej prostego — jakieś bardzo ufne zawierzenie — skoro objawiona im była w darze owa tajemnica, jak gwiazda przewodnia nad Betlejem.

Proroctwo Izajasza 42, 1—4 i 6—7

Dzieje Apostolskie 10, 34—38

Ewangelia św. Łukasza 3, 15—16 i 21—22

Niedziela Chrztu Pańskiego

Przeszedł czyniąc dobrze

Niedziela Chrztu Pańskiego: Ewangelia Łukaszowa opowiada o wydarzeniach nad Jordanem. Jan, prorok z pustyni, był u szczytu: lud domniemywał się, że on właśnie jest Mesjaszem, który miał przyjść. Wystarczyło wyciągnąć rękę. Wystarczyło parę słów zgody: tak, jestem nim, wasze mniemania są słuszne. Lud poszedłby za Janem.

Ale Jan wyznał prawdę. Powiedział: nie. Nie jestem Mesjaszem. Potem ochrzcił nieznanego nikomu człowieka i oświadczył, że nie jest godzien rozwiązać rzemyka u jego sandałów. Powiedział: oto jest człowiek, o którym mówiłem, że przyjdzie po mnie, a stał się przede mną. Powiedział: widziałem nad nim gołębicę Ducha. Ten jest Synem Bożym.

To było jawne odejście Jana: pierwszy jego krok po zstępujących schodach. To było też pierwsze publiczne objawienie Jezusa:

„Ten jest Syn mój miły, którego upodobał sobie”.

Wszystkie liturgiczne czytania podkreślają owo objawienie. Czyta się bowiem także i urywek prorocstwa Izajasza: „Oto sługa mój, podejmę go; wybrany mój, upodobała sobie w nim dusza moja; włożyłem nań ducha mego, prawo narodom przyniesie. Nie będzie wołał ani nie będzie miał względu na osobę, ani będzie słyszany głos jego na ulicy. Trzciny nadłamanej nie skruszy, a lnu kurzącego się nie zagasi, według prawdy ogłosi dobre prawo. (...) Ja, Pan, wezwałem cię w sprawiedliwości i ująłem rękę twoją i zachowałem cię. I dałem cię na przymierze ludu, na światłość narodów, abyś otworzył oczy ślepych, wywiódł więźniów z zamknięcia, z domu ciemnicy siedzących w ciemności”.

Trudno byłoby o bardziej uroczyste podkreślenie początku publicznej działalności Jezusa: słowa wielkiego Izajaszowego prorocstwa, słowa i wyznanie Jana Chrzciciela, który prostował drogi Panu.

I tylko Piotr...

Tak: wyjęte z Dziejów Apostolskich słowa Piotra także mówią o tym, który jest Panem wszystkiego i także nawiązują do chrztu w Jordanie, jednakże równocześnie są takie szare, zgrzebne, zwyczajne, że aż przejmujące.

Piotr, szukając najściślejszej formuły życia Jezusa, zamykającej w sobie to wszystko, co stało się od Jordanu po Golgotę, mówi tylko to: „przeszedł czyniąc dobrze”.

Przeszedł czyniąc dobrze. Mój Boże, jak

to wspaniale, że Piotr nie był literatem, pisarzem, nauczycielem oraz koncesjonowanym fachowym moralistą religijnym.

Gdyby był którymkolwiek z tych czci-
godnych panów, jakże ozdobnych rzeczy na-
słuchalibyśmy się przy takiej okazji. Że Je-
zus był tym, który walczył. Który się bezin-
teresownie poświęcał. Który z a w s z e. Któ-
ry nigdy. Że była to indywidualność fa-
scynująca, której działalność przerwano aku-
rat w momencie, kiedy się tak wspaniale za-
powiadała. Że to był K t o ś. Że wzór. Że
ten, który się otwierał i angażował oraz uru-
chamiał w otoczeniu egzystencjalną struk-
turę wiary. Że z podniesionym czołem. A tak-
że, że znak i symbol Dobra; obowiązkowo
przez duże „D”, gdyż wszyscy zgodzimy się
bez szemrania, że użycie dużej litery daje
pojęciu nadzwyczajne Dostojeństwo. I Spra-
wiedliwość oraz Miłość w tejże intersubiek-
tywnej strukturze egzystencjalnej. Pamiętaj:
musisz także być Kimś oraz mieć osiągnięcia
twórcze, bo jeżeli nie będziesz miał, to jesteś
osobnik niezrealizowany, zero, nul i w ogóle
nie na obraz i podobieństwo. Wyznawać oraz
stawać się fenomenologicznie — ot, w czym
rzecz. Jasne? No, to zanotujmy.

A tu tak szaro, prawdziwie i zwyczajnie:
„przeszedł czyniąc dobrze”. I więcej nic. Całe
życie w tych trzech słowach. A także
i wszystkie cuda: ludzkie twarze przywróco-
ne trędowatym, świat zwrócony ślepy.
Pierwszy cud w Kanie, który uczyniony był
dla zakochanych, i ostatni na Golgocie, któ-
ry czeka na łotrów. Przeszedł czyniąc dobrze.

Piotrze, jakie to wspaniałe, że byłeś tylko rybakiem. Mądry i dobry Bóg uchronił cię przed kabotyństwem skomplikowanych słów. Może i bywa w nich coś z prawdy — mają jednak tę obrzydłą właściwość, że za bardzo podobają się sobie samym i za bardzo sobie nawzajem służą.

Biedna ludzka tęsknota za tym, aby wyjść na wielkie *theatrum* świata i znaczyć coś: my byśmy najchętniej wypędzali kupczących ze świątyni, grzechy wytykali wielkim (gdyż i nam przydałoby to co nieco wzrostu) albo wytrącali miecz z ręki Piotra. Ale może nie będzie nam dana ani jedna ludzka twarz oczyszczona z trądu i ani jedna wdzięczność zakochanych. I może pies z kulawą nogą nie wygrzebie nas z pyłu przygnębiającej zwyczajności.

Jednakże chwala tym, którzy przechodzą czyniąc dobrze. Choćby tylko buty łatali albo zmywali podłogi w szpitalu.

Proroctwo Izajasza 62, 1—5
1 List do Koryntian 12, 4—11
Ewangelia św. Jana 2, 1—12

Niedziela 2 per annum

Korona chwały

Ewangelia św. Jana opowiada o wydarzeniach w Kanie Galilejskiej. Zabrakło wina w czasie uroczystości weselnych, co zawsze bywa rzeczą wielce kłopotliwą, gdyż niedopici goście stają się niekiedy dziwnie smutni, zupełnie tak samo smutni, jak goście niedojedzeni. Jedno i drugie stwarza atmosferę ciężką i niezręczną, jeśli towarzystwo nie składa się z absolutnych abstynentów — nie mówiąc o tym, że stawia gospodarzy w sytuacji niemilej: „Wina nie mają”.

„A było tam sześć stągwi kamiennych, ustawionych dla obrzędowych obmywań żydowskich, z których każda mogła pomieścić dwa lub trzy wiadra. Rzecz im Jezus: Napełnijcie stągwie wodą. I napełnili je aż po brzegi. I rzekł do nich Jezus: Zaczepnijcie teraz i zanieście gospodarzowi wesela. I zanieśli. A gdy gospodarz skosztował wody, która stała się winem, a nie wiedział, skądby się wzięło (lecz słudzy, którzy czerpali wodę,

wiedzieli), przywołał gospodarz wesela oblu-
bieńca i rzekł doń: Każdy człowiek daje naj-
pierw dobre wino, a kiedy się napiją, wtedy
to, które jest gorsze, a ty zachowałeś dobre
wino aż do tego czasu. Taki to początek cu-
dów uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej i oka-
zał chwałę swoją”...

Początek cudów na okazanie chwały... Ist-
niała teza, że Ewangelie są tylko literackim
wytworem członków pierwszych gmin, dązą-
cych za wszelką cenę do deifikacji swojego
Mistrza, któremu to celowi służyć miały
w charakterze dydaktycznych ilustracji rów-
nież i opisy cudów. Gdyby teza ta istotnie
odpowiadała ściśle prawdzie — bardzo dziw-
nie wypadłaby inauguracja owej serii deifi-
kacyjnej. Ostatecznie przemienienie wody
w wino podczas biesiady weselnej trudno by-
łoby uznać za wstęp nazbyt wzniosły i może
nawet całkowicie poważny; nawet przy słusz-
nym skądinąd założeniu, że radość dwojga
nowożeńców oraz domowy honor gospodarzy
wesela są rzeczą bardzo serio. Gdyby rzecz
cała miała być redakcyjnym wymysłem gmi-
ny, bez trudu i bez nadmiernego wkładu in-
teligencji można by wymyślić także i bar-
dziej właściwą inaugurację: jakieś uroczyste
i bardziej wzniosłe cudowne wydarzenie na
pierwsze publiczne okazanie chwały Syna
Bożego. Więc jedno z dwojga: albo zupełnie
niezrozumiała niezręczność — albo też zgoła
coś innego: wierność rzeczywistości, posłu-
szeństwo faktom, które istotnie i naprawdę
miały miejsce w takim właśnie a nie innym
porządku i kształcie. Jeśli zaś taką ewentu-

alność zaakceptuje się, na miejscu będzie zamyslenie właśnie nad owym faktem: że pierwszym okazaniem chwały Syna Bożego jest wydarzenie wcale nie wzniosłe, lecz raczej kameralne. I cały blask owego cudu jarzy się tylko wewnętrznym ciepłem życzliwości: aby radość ludzka była pełna i aby nie powiedziano, iż czegoś jej zabrakło.

To dopiero późniejsi, o wiele dziesiątków lat późniejsi teologowie ujrzeli w Kanie Galilejskiej zapowiedź Wieczernika, figurę cudu Eucharystii. Zapewne: słusznie ujrzeli. Ale dla ludzi współczesnych wydarzeniom rzecz była zwyczajniejsza, bliższa i bardziej dosłowna, w zasięgu ręki, ale może tym bardziej zadziwiająca: zapowiedziany i poprzedzany przez Jana Syn Boży przyszedł na uroczystości weselne i chociaż „nie przyszła jeszcze jego godzina”, na prośbę Matki uczynił taką właśnie, a nie inną rzecz cudowną. To było tak, jakby na początku swoich wielkich dróg uśmiechnął się Bóg do ludzi i do ich zwyczajnej radości: aby niczego jej nie brakło. I niechże im w głowie zaszumi. Jest czas śmiechu i czas płaczu, czas zbierania i czas rozrzucania, czas budowania i czas burzenia. Jednakże tamta radość — dar Boga — zachowana będzie także i na czas ostateczny, jak dobre wino.

Pisał Paweł w liście do Koryntian:

„Są różne dary łaski, lecz tenże Duch. I różne rodzaje posług, lecz tenże Pan. I różne są rodzaje działania, lecz tenże Bóg, który sprawia wszystko we wszystkich. A każdemu dostaje się objaw Ducha dla ogólnego po-

żytku. I tak jednemu dostaje się przez Ducha mowa mądrości, a innemu mowa umiejętności według tegoż Ducha. Jednemu wiara w tymże Duchu, a innemu łaska uzdrawiania w tymże Duchu. Jednemu dar czynienia cudów, innemu prorocstwo, innemu rozpoznawanie duchów, innemu różnaitość języków, a innemu umiejętność ich tłumaczenia. A wszystko to sprawia jeden i tenże Duch, udzielając każdemu z osobna, jako chce.”

Zechciejmy zrozumieć: nie ma darów wielkich i małych, ważnych i nieważnych. Nie ma posług wielkich i małych, zaszczytnych i podlejszych. Są tylko różne dary i różne rodzaje posługi. A także i różne rzeczy cudowne. Lecz jeden Pan i jedna chwała.

Może się nam przyda ta świadomość. Zwłaszcza wówczas, gdy własny dar i posługa wyda się nam czymś wielkim, ważnym i istotnym, cudzy zaś — czymś zgoła podlejszym; gdy zacznie nas nadymać poczucie wyjątkowego posłannictwa i zadań. Albo też wtedy, gdy własna wielka mądrość wyda się nam czymś więcej wartym, niż czyjaś wielka wiara; albo też i wówczas, gdy — pełniąc powszednie rzeczy dobre — zupełnie niepotrzebnie czujemy się odsunięci przez czyjekolwiek sprawy nadzwyczajne.

Potrzebna jest ta świadomość. Bo aż do Dnia Sądu nikt z ludzi wiedzieć nie będzie na pewno, komu i za co zostanie powiedziane słowo na podobieństwo tego, które się stało przez usta Izajasza:

„I będziesz koroną chwały w ręce Pańskiej i koroną królestwa w ręce Boga twego”.

Księga Nehemiasza 8, 2—4a, 5—6, 8—10
1 List do Koryntian 12, 12—30 albo 12—14 i 27
Ewangelia św. Łukasza 4, 14—21

Niedziela 3 per annum

Sztuka prawdy

Ewangelia Łukaszowa opowiada o jednym z trudniejszych a także i kłopotliwych momentów biografii Jezusa:

„I przybył do Nazaretu, gdzie się był wychował, a według zwyczaju swego wszedł w sabbat do synagogi i powstał, aby czytać. I podano mu księgę Izajasza Proroka. A gdy rozwinął księgę, natrafił na miejsce, gdzie było napisane: «Duch Pański nade mną, dlatego mnie namaścił, abym głosił ewangelię ubogim. Posłał mnie, abym uzdrowił skruszonych w sercu, abym głosił więźniom uwolnienie i ślepym przejrzenie, bym uciśnionych wypuścił na wolność i głosił Rok Pański łaskawy i dzień odpłaty» (Iz. 61, 1—2).

A gdy zwinął księgę, oddał ją słudze i usiadł. A oczy wszystkich w synagodze były weń utkwione. Począł tedy mówić do nich: Dzisiaj wypełniło się to Pismo w uszach waszych”.

Mówiąc tak, wskazywał na siebie: iż w nim wypełniły się pisma Proroków. Mogłoby się wydawać, że był to moment dający wiele satysfakcji: mówić swojakom wielkie i co ważniejsze prawdziwe słowa o sobie samym. Są to jednak tylko pozory: był to moment bardzo przykry i trudny, a to z tej prostej racji, że zebrani wcale nie oczekiwali tego rodzaju wykładni słów Izajasza. I właściwie przyjąć jej nie mogli; a jeśli już — to chyba z trudem graniczącym z niemożliwością.

Oni go przecież znali. Wyszedł spomiędzy nich. Wielu pamiętało go jeszcze dzieckiem albo podrostkiem. Widywano go przy codziennych zajęciach i przy codziennej pracy. Gdyby powrócił do nich zbiedzony i nijaki, powiedziano by dobrodusznie: widzisz, po coś się plątał po świecie? Nie lepiej to w Nazarecie? Gdyby ukończył rabinackie szkoły w Jerozolimie i wrócił, jako uczony w Piśmie albo członek Rady — przyjęto by go nie tylko z życzliwością, ale także i z dumą: byłby przecież swojakiem, który się wybił w wielkim mieście. Ba! Gdyby chociaż był obcym: kimś poprzedzanym sławą nauczyciela i cudotwórcy, ale nieznanym, a przez to jakby większym. Obcy zawsze wydaje się większy. Wtedy łatwiej byłoby uwierzyć, że może rzeczywiście jest Mesjaszem. Ale tak? Jakże może być Chrystusem ktoś, kto na ich oczach robił ławy albo motyki? Gdyby przynajmniej ktoś inny, znaczny, dawał o nim świadectwo. Ale on sam o sobie?

Musiał wiedzieć o wszystkich tych mecha-

nizmach. Musiał wiedzieć, że rzeczą o wiele bardziej rozsądną byłoby trzeźwe ich uwzględnienie. Nie musiał przecież „wywyższać się” akurat tu, w Nazarecie. Właśnie tutaj roztropność nakazywała: ściszyć się i umniejszyć, być kimś zwyczajnym — jak przystało komuś, kto ostatecznie żadnych szkół w stolicy nie ukończył. A w końcu nawet i król, znalazłszy się wśród towarzyszy swego dzieciństwa i współuczestników dorastania, nie musi dawać świadectwa o swym dostojeniu; roztropnie uczyni, jeśli — odwrotnie nie będzie budował żadnych dystansów. To może dać popularność.

Jezus nie był taktykiem. Nie był taktykiem w sposób zupełnie rozpaczliwy. Po ludzku rzecz biorąc, uczynił rzecz najgorszą z możliwych: powiedział to, czego nikt nie chciał słyszeć. Dlaczego tak postąpił? Trudno przesądzać, ale chyba z jednego tylko, całkowicie niezyciowego powodu: ponieważ to była prawda. Niechciana, ale prawda.

Powściągnijmy swoją głupotę i nie snujmy zbyt łatwych analogii oraz wskazań. Nam nie grożą tego rodzaju sytuacje. Jeśli bowiem (zwłaszcza wśród swojaków) mamy mówić o sobie słowa prawdziwe — to z całą pewnością nie mogą to być słowa wielkie. Jeśli zaś strzeli nam do głowy mówić wielkie słowa o sobie. — możemy być spokojni: to nie będzie prawda.

Grozi nam natomiast zupełnie inna i niejako odwrotna sytuacja: że przyjdzie nam powiedzieć o sobie słowa małe i prawdziwe. I w tym punkcie problemy się schodzą, gdyż

jedno i drugie jednakowo jest sztuką niechcianej prawdy.

Jest to sztuka bardzo potrzebna. Są nauczyciele twierdzący, że człowiek powinien zawsze myśleć o swojej wielkości: jeśli nie rzeczywistej i aktualnej, to bodaj tej możliwej i oczekiwanej, a ponoć i należnej. Inni zaś twierdzą odwrotnie: że obowiązkiem człowieka jest pamiętać o swojej małości i nędzy: bodaj tej ukrytej i nie wyznanej. Być może potrzebne jest w pewnym sensie jedno i drugie: pamięć o wielkości przeznaczeń ostatecznych po to, aby nie ugrzęznąć, i pamięć o nędzy po to, aby się nie nadać. Równocześnie jednak można podejrzewać, że jedno i drugie stanowisko jednakowo podlega egocentrycznym motorom: taktyce walki z małością albo taktyce walki z pychą. Tu i tam najważniejsze „ego”.

A może najpotrzebniejsze jest coś całkiem innego, a mianowicie świadomość prawdy o sobie. I to nawet nie pod kątem wielkości albo małości, bo w końcu pies drapał jedno i drugie — lecz zwyczajnie: pod kątem rzeczywistego stanu rzeczy i wynikającej zeń przydatności.

Będzie to z reguły rzeczywistość niechciana. W życiu tak już jest, że wielki błazen chciałby być bodaj małym królem, a niejednen mały król we własnym mniemaniu był wielkim filozofem; że prozaik cierpi z powodu nie napisanych wierszy, zaś świetny matematyk ma się za proroka, choć to nie jego resort. Wielu z nas świetnie wie, kim chciałoby być, ale bardzo niewiele wie, kim

naprawdę jest w swym wnętrzu i przeznaczeniu. I choćby nawet nie było niczego złego i hańbiącego w tej prawdzie o sobie samym — nie chcemy jej znać i nie chcemy o niej słyszeć. Wolimy legendy i mitomanie. Troskliwe pielęgnowanie świadomości naszej nędzy nie tylko chroni nas przed pychą, ale też i usłudnie usprawiedliwia w potrzebie. Świadomość wielkości ostatecznych przeznaczeń nader łatwo skłania do szukania zadatków już dziś — zaś owe zadatki znakomicie poprawiają nasze samopoczucie i działają „mocopędnie”, uwielokrotniając wyobrażenia o możliwościach. Gdybyśmy potrafili ująć w ręce rzeczywistą prawdę o sobie — mielibyśmy całkiem inne zmartwienia: do czego naprawdę dobrego możemy być użyteczni. I nie bolałaby nas głowa o takie w końcu głupstwa, jak własna wielkość albo małość, skala oraz nadzwyczajność.

Czytania liturgiczne niedzieli zamyka wyjątek z listu Apostoła Pawła do mieszkańców Koryntu:

„Albowiem jak jedno jest ciało, a członków ma wiele i wszystkie członki ciała, chociaż jest ich wiele, przecież jednym są ciałem, tak i Chrystus. Gdyż w jednym Duchu wszyscy ochrzczeni byliśmy w jedno ciało, czy to Żydzi, czy poganie, wolni czy niewolnicy: i wszyscy jednym Duchem napojeni. (...) Gdyby całe ciało było okiem, gdzież słuch? I gdyby było słuchem, gdzież powonienie? Ale Bóg każdy członek pomieścił w ciele, jako chciał. (...) I nie może oko powiedzieć ręce: Nie potrzeba mi ciebie; albo

znowu głowa nogom: Nie jesteście mi potrzebne". (...)

No, tak. Ale sęk w tym, że nader często noga za żadne skarby świata nie chce zrozumieć i przyjąć, że jest nogą. Potrzebną nogą. Pożyteczną nogą. Wolałaby być wzniosłym i wymownym okiem. A jeśli już nogą, to przynajmniej wielką; wyjątkową nogą.

Tak: sztuka niechcianej prawdy o sobie rzeczywiście jest trudną sztuką.

Proroctwo Jeremiasza 1, 4—5 i 17—19

1 List do Koryntian 12, 31—13, 13 albo 13, 4—13

Ewangelia św. Łukasza 4, 21—30

Niedziela 4 per annum

Tych troje

„Teraz tedy pozostaje wiara, nadzieja i miłość: to troje, a z tych największa jest miłość”.

„Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, byłbym jako miedź dzwicząca albo cymbał brzmiaący. I gdybym miał dar proroctwa, znał wszystkie tajemnice i posiadał wszelką wiedzę, a wiarę miałbym taką, iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał, niczym nie jestem. I gdybym na żywienie ubogich rozdał wszystką majątność swoją, a ciało swoje wydał na spalenie, a miłości bym nie miał, nic mi nie pomoże.

Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie działa obłudnie, nie nadyma się, nie łaknie czci, nie szuka swego, nie wpada w gniew, nie pamięta urazy, nie cieszy się z niesprawiedliwości, ale współweseli się z prawdy. Wszystko znosi, wszyst-

kiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko wytrzyma. Miłość nigdy nie ustaje, chociaż prorocтва się kończą, choć zniknie dar języków, choć przeminie wiedza. Bo w części tylko poznajemy i w części prorokujemy. Ale gdy przyjdzie to, co jest doskonałe, ustanie to, co jest częściowe. Teraz widzimy niejasno, przez zwierciadło, lecz później twarzą w twarz”.

Ten Pawłowy tekst chciałoby się czytać w ukryciu. I wiadomo, że żaden szanujący się i czczony przez krytyków pisarz nie uczyni zeń wątku swej opowieści. Gdyby bowiem uczynił to, musiałby zejść z proscenium.

To jest bardzo stary tekst, my zaś zachowujemy się jak niedorostki. Trzeba przestąpić pewien próg, aby poznać smak starego wina; ale wtedy bywa czasem za późno, aby je pić. Dla niedorostków rzeczy stare zawsze bywają bez smaku, zaś ludzie z wieków minionych — nudni i głupi. Ale może to nie całkiem nasza własna wina. Ostatecznie cała nasza cywilizacja stała się cywilizacją niedorostków: nasze zamiłowanie do maszynek, aparatów i aparacików — do wszystkiego, co się kręci i obraca, czyniąc brzęk i szum; do wszystkiego, co się mechanicznie porusza — możliwie szybko. Do wszystkiego, co wyskakuje i chowa się, samo się otwiera i samo zamyka, jak w dziecinnej budzie magika albo w chłopczyńskich snach. Nasza pasja do wszystkiego, co błyszczący i jest kolorowe: chrom, lakiery. Nasze pasje do dziwności i komplikacji. Zaobserwujcie chłopaków na

jezdni: jeśli taki dostanie rower, przyklepi nań wszystkie możliwe naklejki, wygnie kierownicę pod niebo, domontuje lusterka i trąbki, a gdyby mógł — przyczepiłby też i halogeny. Taki szyk. Niechby nie świeciły. Niechby tylko były. I może jeszcze wodotrysk?

Kultura naszego wieku jest kulturą niedorostków. Aby tylko coś się kręciło i obracało, brzęczało i szumiało na coraz to nowy sposób. Aby było głośno. Szybko. I błyszcząco. A także nie prosto. Tylko prostak zwyczajnie drapie się w ucho, jeśli go zaswędzi: człowiek o jakim takim poziomie sięga ręką przez plecy albo przez zadnie nogi. Albowiem rzeczywistość jest szalenie skomplikowana — prawie tak, jak rower czternastolatka. Paweł powiedział kiedyś: „Jeśli tedy nie będę wiedział, co znaczy słowo dla tego, do którego przemawiam, będę barbarzyńcą”. Dla nas odwrotnie: zrozumiałość jest podejrzana o prymitywizm i płytkość, zaś zawile bełkoty bywają synonimem głębi. Jeszcze nigdy dążenie do odkrytej jasności słowa nie było w takiej pogardzie; gardzimy nim tak, jak chłopak gardzi rowerem bez trąbek i lusterek. I jeszcze do tego nasza biedna, chłopczyńska, arogancka pewność siebie — tym większa i bardziej krzykliwa, im mniej za nią stoi.

Mamy za sobą olbrzymi dorobek. Ileż arcyinteligentnie skomplikowanych grymasów na wiarę. Ileż arcymądrych i głębokich motywacji beznadziei. I jakże skomplikowane starania wokół miłości. Rozkręcić i zobaczyć, co w środku: dzieci lubią psuć, niedorostki — rozkręcać. Wynalazczość: po rozkręceniu

z czegoś tam zrobić pstryczek, a z tamtego — kapturek albo co. Żaden czort tego potem nie złoży z powrotem: coś się pogięło, coś się zgubiło, małe niby, a najważniejsze. I zapomniało się zupełnie: co, gdzie i do czego. My jednak jesteśmy dumni. Jesteśmy dumni dumą niedorostka, który nigdy nie przyzna się do klęski: że popsuł, że żal, że głupio. Utką gdzieś w kącie, wyrzuci, robi dumną minę: że przecież już wyrósł z tego. Ale że pusto — robi się, co można: brzęk, szum, bardzo dużo słów, światła, tusz, coś wyskakuje ze ściany, coś się chowa, psychoanalizy, psychoterapie, gong. Tylko tych szczęśliwych jakos nie widać.

A potem otwiera się starą księgę: „miłość cierpliwa jest, łaskawa jest”... I coś cię łapie za gardło. Stary człowieku, zrozum, naprawdę tak jest: trzeba przekroczyć pewien próg, aby poznać smak starego wina. Ale wtedy bywa czasem za późno, aby je pić. Czas, w którym przyszło nam żyć, jest strasznym czasem: gdyż za późno bywa dla niedorostków.

A to przecież jest gra serio.

„Prawdziwie powiadam wam, że choć wiele wdów było w Izraelu za czasów Eliasza, gdy niebo się zamknęło na lat trzy i sześć miesięcy i był wielki głód na całej ziemi, do żadnej z nich nie był posłany Eliasza, tylko do owdowiałej niewiasty w Sarepcie Sydońskiej. I wielu było trędowatych w Izraelu za Elizeusza proroka, ale żaden z nich nie był oczyszczony, jeno Naaman Syryjczyk”...

Tego, który to mówił, chciano zrzucić ze

skały. Gdyby stanął przed nami Paweł ze swoją pieśnią — zagłuszylibyśmy go naszym głupim, szczeniackim śmiechem.

I tylko ta krzyna nadziei: że jest tamta miłość, która nie ustaje, cierpliwa i łaskawa także i dla niedorostków.

*Proroctwo Izajasza 6, 1—2a i 3—8
1 List do Koryntian 15, 1—11 albo 3—8 i 11
Ewangelia św. Łukasza 5, 1—11*

Niedziela 5 per annum

Ziemia pełna chwały

W Ewangelii św. Łukasza przekaz o powołaniu pierwszych uczniów:

„I stało się, gdy cisnęły się doń rzesze, aby słuchać słowa Bożego, że on stał nad jeziorem Genezaret. I ujrzał dwie łodzie stojące przy jeziorze, rybacy wyszli bowiem i płukali sieci. A wszedłszy do jednej łodzi, która była Szymona, prosił go, aby odjechali nieco od lądu. I siedząc nauczał rzesze z łodzi.

A gdy przestał mówić, rzekł do Szymona: Wyjedź na głębię i zapuśćcie sieci wasze na połów. A odpowiadając Szymon rzekł mu: Nauczycielu, całą noc pracując nicśmy nie złowili, wszakże na słowo twoje zarzucę sieć. A gdy to uczynili, zagarnęli ryb mnóstwo wielkie, tak że sieć się rwała. I skinęli na towarzyszków, co byli w innej łodzi, aby przybyli i pomogli im. I przyszli, i napełnili obie łodzie, tak że się prawie zanurzały. Widząc to Szymon Piotr padł do kolan Jezusowych

mówiąc: Wynijdź ode mnie, Panie, bom jest człowiek grzeszny. Na taki bowiem połów ryb, jakiego dokonali, zdumienie ogarnęło jego i wszystkich, co z nim byli. Także i Jakuba, i Jana, synów Zebedeuszowych, którzy byli towarzyszami Szymona. I rzekł Jezus do Szymona: Nie lękaj się, odtąd już ludzi łowić będziesz. A wyciągnąwszy łodzie na ląd i opuściwszy wszystko, poszli za nim”.

Czy coś, co zakrawa na absurd, może stać się sprawdzalną rzeczywistością, przynosząc konsekwencje racjonalnie nieprzewidziane? Jeżeli przez całą noc pracując wyciągało się z jeziora puste niewody — czy nie jest absurdem zarzucanie raz jeszcze sieci, a to na jedno słowo i jeden nakaz Nieznajomego? Zawierz yli jednak — i oto coś, co wyglądało na absurd, przełamało się w nieoczekiwaną rzeczywistość.

Trzej rybacy znad jeziora Genezaret opuścili wszystko, poszli za nim i odtąd łowili ludzi. Nie należy się dziwić zgorzeniu przeciwników chrześcijaństwa: ze ściśle racjonalnego punktu widzenia było coś wyraźnie absurdalnego w supozycji, że ci ludzie ze swoją prawdą zdołają odcisnąć jakikolwiek realny i widzialny ślad na drogach wielkiej historii świata. Ta nauka rzeczywiście sprzeciwiała się światu. Sprzeciwiała się swoim i obcym. Jeśli była wypełnieniem Starego Testamentu — to w sposób zupełnie nieprzewidziany przez Doktorów i Uczonych. Ludzie Nowego Przymierza naprawdę byli prości i nie było żadnego porównania pomiędzy nimi i zwolennikami wyrafinowanej spuścizny

myślowej antyku albo wtajemniczonymi nosicielami wschodnich tradycji religijnych. Ziemia judejska nie była pępkiem starożytnego świata, zaś na tej prowincjonalnej ziemi ludzie ci byli podobni do małego ziarna gorczycy. A jednak to, co zdawało się racjonalnym absurdem — znów przełamało się w sprawdzalną rzeczywistość: sieć istotnie rwała się pod ciężarem zagarnianych z czterech stron wielkiego świata.

Gdy sprawy budziły zniecierpliwienie niechętnych, mądry empiryk, rabbi Gamaliel, zwykł był mawiać: poczekajmy. Nie spieszymy się. Zostawmy tych ludzi w spokoju. Jeśli ta rzecz jest ludzkim wymysłem — przeminie i obróci się w niwecz zwykłą koleją losu. Jeśli jednak jest od Boga, nie zdołacie jej zniszczyć i jedyną sprawą, która wam pozostanie, będzie to, że z Bogiem walczycie; to zaś jest głupie.

Pozostawieni w spokoju, powinni byli przeminąć, jak przeminęło wielu innych. Poddawani naciskom i prześladowaniom, powinni byli przeminąć tym szybciej, jak stało się to już niejednokrotnie ze zwolennikami wielu fałszywych proroków i mesjaszów, głoszących hasła i nauki bardziej przecież dostępne i popularne. Ale widocznie są takie absurdy, które nad własną absurdalnością stawiają znak zapytania.

„A przypominam wam, bracia, Ewangelię (...). Bo naprzód podałem wam, com też otrzymał, że Chrystus umarł za grzechy nasze według Pisma, i że był pogrzebany, i że zmartwychwstał trzeciego dnia według Pi-

sma, że ukazał się Kefasowi, a potem Jednastu. Potem widziało go jednocześnie więcej niż pięciuset braci, z których wielu żyje do tychczas, a niektórzy pomarli. Potem ukazał się Jakubowi, potem wszystkim Apostołom. A w końcu po wszystkich, niby poronionemu płodowi, ukazał się i mnie. Bom ja jest najmniejszy z Apostołów, niegodny zwać się Apostołem, iżem prześladował Kościół Boży. A z łaski Bożej jestem tym, czym jestem, i łaska Jego na próżno nie była mi dana, alem więcej od innych pracował: wszakże nie ja, jeno łaska Boża ze mną”.

Trzeba się dobrze wsłuchać w ten tekst: w jego spokojny dukt, w kadencję zdań, w jego sprawozdawcze zrównoważenie, we wszelki brak przesady i jaskrawości. Widziało Zmartwychwstałego więcej, niż pięciuset braci, z których wielu żyje do dziś. Można z nimi rozmawiać. Poświadczą, że widzieli żywym tego, który na pewno i bez cienia wątpliwości został zabity, na pewno był pogrzebany, na pewno przywalony kamieniem, przy którym postawiono strażę. Absurd? Cóż: widocznie bywają także i takie absurdy, z których pozostaje tylko pusta łupina słowa, gdyż w ich jądrze stała się Rzeczywistość. Widziało go więcej, niż pięciuset braci.

A potem szły wieki. Ludzkie wieki. Wiadomo, jak to wyglądało. Ale przecież trwał tamten absurdalny cud. Nie tylko w uczniach, także w świecie. I trwa. I będzie trwał.

Czy tylko po to, aby raz jeszcze sprawdziły się słowa Pisma? Po co to wszystko?

Zapisany jest w księdze Proroka Izajasza jego przekaz: jako w roku, w którym umarł król Ozjasz, miał Prorok widzenie Boga na majestacie. „Serafini stali nad nim; sześć skrzydeł miał jeden i sześć skrzydeł drugi: dwoma zakrywali oblicze jego, a dwoma zakrywali nogi jego (...). I wołali jeden do drugiego, i mówili: «Święty, święty, święty Pan, Bóg zastępów! Pełna jest wszystka ziemia chwały jego»”.

Pamiętam, że kiedy byłem nie bardzo dorośnięty, cytaty takie budziły we mnie uczucie głębokiego zniechęcenia. Można było przyjąć na słowo przekaz o wielkim majestacie Boga, jednakże zdawało mi się, że trudno o rzecz nudniejszą, niż ustawiczne powtarzanie (może i przez wieczność!) tego właśnie, jedyne go stwierdzenia: „święty, święty, święty (...), pełna jest ziemia chwały Twojej”... Tak, to było bardzo zniechęcające dla szesnastolatka.

Mam słabość do tego szczeniaka, jestem do niego bardzo przywiązany i ostatecznie do dziś dnia wiele mnie z nim łączy; nie chciałbym więc źle o nim mówić, ale co prawda, to prawda: głupi to on jednak był.

Potem zrozumiałem: wszystkie ptasie koncerty i wszystkie wielkie tajemnice materii, ludzka mądrość i dobroć, wszystkie kolory roku, ziemi i nieba, i jeszcze puchaty śnieg, w którym każda gwiazdka zawsze jest inna, chociaż liczba ich jest nieprzeliczona, wszystkie biologiczne cudeńka i cała oszalala rozrzutność życia na równi z tajniami ludzkiej świadomości — przecież w końcu to nic in-

nego, jak rozszczepione w tęczę pryzmatu światło Izajaszowego widzenia: „święty, święty, święty Pan”...

I cokolwiek na kalekiej ziemi może być rozpoznane jako chwała Pana, jest równocześnie także olśnieniem i wciąż inną obłądną radością ludzi: ostatnią rzeczą, która mogłaby znudzić.

A potem zrozumiałem także, dlaczego w Izajaszowej wizji skrzydła serafinów zasłaniały twarz Boga.

Proroctwo Jeremiasza 17, 5—8
1 List do Koryntian 15, 12 i 16—20
Ewangelia św. Łukasza 6, 17 i 20—26

Niedziela 6 per annum

Zawierzenie

„To mówi Pan: «Przeklęty człowiek, który w człowieku pokłada ufność i czyni ciało ramieniem swoim, a od Pana odstępuje serce jego. Bo będzie jak wrzos na pustkowiu i nie ujrzy, gdy przyjdzie dobro, ale będzie mieszkał w suchości na puszczy, w ziemi słonej i niemieszkalnej. Błogosławiony mąż, który ufa w Panu i będzie Pan ufaniem jego. I będzie jako drzewo, które przesadzają nad wodami, które ku wilgoci puszcza korzenie swoje; a nie będzie się bało, gdy przyjdzie gorąco, i będzie liść jego zielony, a czasu posuchy nie będzie się trapić i nigdy nie przestanie czynić owocu»”.

To się sprzeciwia mądrości świata. To się sprzeciwia doświadczeniom ludzkim. My przecież wiemy: Jego drogi nie są naszymi drogami. Bóg nazbyt często jest Bogiem modlitw niewysłuchanych, kalectw niewyleczonych i głodu niezaspokojonego aż do śmierci;

a żadne najpiękniejsze i najbardziej nawet uczone tłumaczenia niczego tu zmienić nie mogą. Niczego nie obronią i niczego nie wytłumaczą ani też nie uzasadnią.

Bywa, że wśród wielu chromych jednemu tylko zostanie przywrócona władza w członkach. I bywa, że na wielu wołających ociemniałych jeden tylko zostanie uleczony — a nie wiadomo zgoła, czemu właśnie on. Dlaczego nad nim właśnie już teraz pochylił się Pan; gdyż bardzo wielu innych pozostaje w ciemności. Z wypadku jednego na tysiąc nic zgoła wynikać nie musi. W istocie swojej zawierzenie Bogu jest podobne zawsze zawierzeniu uczniów z Wieczernika, kiedy Syn Boży leżał w ziemi przywalony głazem. Jest to nadzieja, wiara i oczekiwanie w takich kategoriach rzeczywistości, kiedy wedle wszelkich dostępnych danych nie było już na co czekać; kiedy grób przeczył nadziei. Jest to zawierzenie poprzez śmierć i poprzez niewysłuchane wołania. Stwierdzenie takie jest prawdą surową i niemłą — ale chyba lepsze to, niż różowe omamy.

W Ewangelii Łukasza przekaz o Kazaniu na Górze. Posłuchajmy uważnie: to przecież jest wezwanie do takiej właśnie niemłej i trudnej postaci zawierzenia. Jezus mówi o ubogich, łaknących, dotkniętych smutkiem; o ludziach obdarowywanych niechęcią i nienawiścią; o zniesławianych i tych, którym złorzeczą z przyczyny prawdy. I nie obiecuje im wcale: poczekajcie nieco, a zniszczę tych, którzy was nienawidzą i zamknę usta tym, którzy was zniesławiają. Albo też: pomódlcie

się co nieco, a dam wam nieuchronnie radości wiele. Mówi całkiem inaczej: jesteście błogosławieni. Jeśli możecie — zawierzcie. Wasza zapłata jest w ręku Boga. Ale nie stawiajcie mu terminów i nie odsyłajcie weksli do protestu, bo to niedorzeczne. Bóg jest Bogiem żywych, a nie umarłych — i śmierć nie jest dlań terminem, poza którym zobowiązanie traci ważność. Trzeba zaufać poprzez śmierć — jak tamci w Wieczerniku, kiedy umarł Syn Człowieczy i biorąc sprawę po ludzku, nie było już na co czekać.

Święty Paweł powiedział rzecz bardzo przykrą, bardzo prawdziwą i bardzo mądrą: „Jeśli tylko w tym życiu pokładamy nadzieję w Chrystusie, nędzniejsi jesteśmy, niż wszyscy ludzie”.

Istotnie tak jest: wielokrotnie czuliśmy się nędzniejsi niż wszyscy ludzie, ponieważ Bóg jawił się Bogiem modlitw niewysłuchanych, nadziei zawiedzionych i łaknienia niezaspokojonego aż do śmierci. I szydzono z nas, śmiano się: ufał w Bogu, niechże go teraz, jeśli chce, wybawi (to już kiedyś było powiedziane; gdzie?). Nie wybawił.

Więc prezentowaliśmy Mu dokładne buchalteryjne bilanse naszych doraźnie zawiedzionych nadziei i nie bawiliśmy się już więcej w żadne aż tak trudne i wątpliwe w naszych oczach zawierzenia Bogu, postanawiając, iż godną i roztropną jest rzeczą, aby człowiek zawierzył człowiekowi. To brzmiało dumnie. Jednakowoż ci, którzy zawierzyli sile i sprawności swoich mięśni — patrzyli potem z nieuchronną melancholią, jak ciało

obraca tłuszczkiem, zaś pod zwiotczałą skórą porusza się coś z karykatury. Ci, którzy zawierzyli sprawności ludzkich mózgów — z tą samą melancholią patrzyli nie tylko na kolejno obalane twierdzenia i systemy oraz na uzasadnione i niewątpliwe, lecz nie sprawdzające się prognozy i przewidywania, lecz także i na takie cudeńka, jak nieoczekiwane realizacje szlachetnych idei, kiedy nagle okazywało się, że mądre lekarstwo gorsze bywa od choroby. A także i najprościej: w upokorzeniu patrzyliśmy, jak w prozaicznym procesie sklerozy wspaniała maszyna mózgu zamieniała się w błazeński wrak. W pojedynku wspaniałego cudu ludzkiej myśli z wapiennym prochem — ten ostatni zwycięża zawsze; a zawieraliśmy myśli. Ufaliśmy ludziom. Ale przecież ludzie nie byli z innej gliny niż my. Ufaliśmy sobie. I co? Istnieją huczne rachunki przedkładane Bogu: że zawiodł. Sobie samym nie przedkładaliśmy nigdy takich żalów. Dziwne? Chyba jednak nie dziwne. Przecież w gruncie rzeczy zawsze wiedzieliśmy po cichu, że byłoby to mało rzeczowe: każdy jako tako uczciwy człowiek wie dobrze, że nie wart całkowitego zaufania. Wiedzieliśmy: „przeklęty człowiek, który ufność pokłada w człowieku i czyni ciało ramieniem swoim”.

Tak to i jest. Ale jednak nie umiemy żyć bez zawierzenia. Może nawet nie to, że „nie umiemy”; raczej „nie możemy”. Nie da się. I nie w tym rzecz, aby wykreślić z życia wszelkie zawierzenie, gdyż byłoby to zupełnie niemożliwe, choćby się nam zdawało ina-

czej. Sprawa w tym, aby rzeczom ufać na miarę rzeczy, ale nie więcej. Aby ludziom ufać na ich własną, rzeczywistą, ludzką miarę — jednakże nie więcej; a sobie samemu także nie więcej. Inaczej przekłęty człowiek. Jeśli jednak decydujemy się już na to, aby powiedzieć „Bóg” — wypadnie zdać sobie sprawę z tego, że to jest ktoś, kto niestety oczekuje zawierzenia na swoją własną miarę, nie mniej. A to konkretnie oznacza „nadzieję wbrew nadziei” i oczekiwanie ponad linijkami niewysłuchanych modłów i zawierzenie poprzez śmierć — jak wtedy, gdy Chrystus, Alfa i Omega Apokalipsy, leżał w ziemi. Taki jest rzeczywisty stan rzeczy.

Uczniom sprawdziło się ich czekanie, podjęte w godzinie, kiedy właściwie nie było już na co czekać; sprawdziło im się tamto zawierzenie poprzez śmierć. Ale to było aż tak trudne uwierzeniu, że już w apostołskich czasach Paweł musiał wspierać kruchą ludzką wiarę:

„A jeśli głosimy o Chrystusie, że zmarł, a nie zmartwychwstał, jakże niektórzy z was mogą mówić, że nie masz zmartwychwstania? Jeśli bowiem nie ma zmartwychwstania, to i Chrystus nie zmartwychwstał. A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest tedy przepowiadanie nasze, daremna jest i wiara wasza. Okazuje się bowiem, żeśmy fałszywymi świadkami, ponieważ przeciwko Bogu świadczyliśmy, że wskrzesił Chrystusa, którego nie wskrzesił, skoro umarli nie powstają z martwych. Bo jeśli umarli nie powstają, nie powstał też i Chrystus. A jeśli Chrystus nie po-

wstał, daremna jest wiara wasza (...). Tedy i ci, którzy posnęli w Chrystusie, poginęli. Jeśli tylko w tym życiu pokładamy nadzieję w Chrystusie, nędzniejsi jesteśmy niż wszyscy ludzie. A jednak Chrystus zmartwychwstał jako pierwociny tych, którzy posnęli”.

Czy stać nas będzie na to, czy potrafimy zawierzyć, że żelazna logika Pawłowa miała u podstaw świadectwo wiarygodnych świadków, nie zaś bajki szarlatanów albo omamy szaleńców?

A jeśli nie potrafimy zawierzyć — cóż nam zostanie? „Uczynienie ciała ramieniem swoim”?

1 *Księga Samuela* 20, 2; 7—9; 12—19 i 22—23
1 *List do Koryntian* 15, 45—49
Ewangelia św. Łukasza 6, 27—38

Niedziela 7 per annum

Miłować nieprzyjaciół

Czytania liturgiczne na aktualną niedzielę przewidują Ewangelię św. Łukasza, poświęconą miłości nieprzyjaciół; jest to fragment Kazania na Górze:

„A powiadam wam, którzy słuchacie: miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą. Błogosławcie tym, którzy wam złorzeczą, a módlcie się za tych, którzy was spotwarzają. A kto by cię uderzył w policzek, nadstaw mu i drugi. A temu, który zabiera ci płaszcz nie wzbraniaj i tuniki. Każdemu, kto cię prosi, daj, a kto ci zabiera, co twego jest, nie żądaj zwrotu. A jako chcecie, aby wam ludzie czynili, tak i wy im czyńcie. I jeśli miłujecie tych, którzy was miłują, jakąż dla was zapłata? Albowiem i grzesznicy miłują tych, którzy ich miłują. A gdybyście czynili dobrze tym, którzy wam dobrze czynią, jakąż dla was zapłata? Albowiem i grzesznicy to czy-

nią. A jeśli udzielacie pożyczek tym, od których spodziewacie się zwrotu, jakaż dla was zapłata? Albowiem i grzesznicy grzesznikom pożyczają, aby tyleż odebrali. Wy wszakże miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie i pożyczajcie, niczego się stąd nie spodziewając, a zapłata wasza będzie wielka i będziecie synami Najwyższego (...). Bądźcie tedy miłosierni, jako i Ojciec wasz miłosierny jest”.

Najprawdopodobniej jest to kwestia przekrętnej i przekornej natury, jednakże wzniosłe hasła i wskazania — takie właśnie, jak miłość nieprzyjaciół — wydawały mi się zawsze prowokujące.

Prowokujące nie tyle może do demonstrowania apriorycznych przekonań, które żywić powinien wyznawca, lecz raczej do tego, co myśli naprawdę wyznawca grzeszny i niezbyt pobożny. Innymi słowy: pozwólmy sobie na parę minut szczerości.

Są w tym tekście rzeczy, z którymi nie-trudno się zgodzić nawet i niezbyt pobożnym grzesznikom. „Jako chcecie, aby wam ludzie czynili, tak i wy im czyńcie”. Czemuż by nie? — przecież jest to innymi słowami wypowiedziana zasada „nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe”. Bardzo rozsądna zasada i nie wzbudzająca oporów.

Są tu także sprawy, wymagające pewnej hojności i wielkodusznego gestu. Modlić się za spotwarzających. Darowywać pożyczki; może i winy. Tak: to są już sprawy trudniejsze. Ale gdyby się tak człowiek solidnie „zebrał w sobie”, to może i dałby radę.

A potem: miłujcie nieprzyjaciół. Dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą. Zaraz, zaraz, powoluśku:

Jest w Koranie taka mądra sentencja, która ściąga z obłoków i stawia na nogi tych wszystkich spośród nas, którzy lubią rozprawić o szlachetności bezinteresownych uczynków. A Koran — podejrzewam, że ma rację — mówi tak: nie istnieją uczynki bezinteresowne. Cokolwiek czyni człowiek dobrze albo złego — czyni w końcu także i sobie. Jeśli darujesz winę, jeśli pomożesz, jeśli uczynisz człowiekowi dobro — uczynisz je także i sobie. Jeśli ukradniesz, oszukasz, zdradzisz — uczynisz zło także i sobie. Sobie samemu będziesz nieprzyjacielem, sobie samemu okażesz nienawiść.

Coś tu świta. Człowiek może być wrogiem, może być nieprzyjacielem siebie samego. To jednak przecież nie znaczy, że — jeśli obowiązuje przykazanie miłości nieprzyjaciół — winien sobie samemu rzucić się z zachwyty na szyję: rzucić się na szyję temu złodziejowi, oszustowi i zdrajcy. Nie powinien go też odrzucać i zostawiać samemu sobie, choć oczywiście byłoby to wyjście najprostsze — a w końcu my przecież znamy takie rozdwojenia, kiedy na przykład szacowny człek zostawia w świętym spokoju swoje „drugie ja” niekoniecznie najbardziej szacowne. Temu przeraźliwemu osobnikowi, który w nim samym siedzi, winien jest parę ciepłych słów prawdy, jeśli mu dobrze życzy. Jeśli mu na prawdę dobrze życzy, powinien mu pomóc: by nie był już złodziejem, oszustem i zdraj-

ca. „Dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą”: tym, którzy są wam wrogami. Miłujcie nieprzyjaciół. I tu już właściwie obojętne, o kim albo o czym mówimy: o sytuacji, gdy człek sobie samemu jest wrogiem, a nienawidzić się nie powinien, lecz odwrotnie, powinien sobie samemu pomóc w dobrym — czy też o sytuacji, gdy ów nieprzyjaciół jest zewnątrz.

Tak by się chciało tę rzecz rozwinać. I powiedzieć na przykład tak: Nie, nie musisz się rzucać na szyję tym, którzy ci ziemię zabrali, prawo i wolność. Raczej im pomóż, aby nie byli, czym są: jeśli im naprawdę dobrze życzysz. Jeśli naprawdę miłujesz nieprzyjaciół — uczyn, co można, aby usunąć powody, dla których stali się nieprzyjaciółmi.

Tak by się to wszystko pięknie wiązało — logicznie, a może nawet i przekonująco. I może nawet osiągalnie. Ale cóż: myślę, że jednak nie da się tak powiedzieć. Byłoby to niełojalne wobec ewangelicznego tekstu. Byłby to zamach na jego integralność. Bo jednak napisane jest:

„Błogosławcie tym, którzy wam złorzeczą”. Za co i dlaczego? Jeśli za to, że dzięki owym złorzeczeniom zdobywamy jakieś „fory” u sprawiedliwego Ojca — byłaby to rzecz niekoniecznie szlachetna. Byłoby to nabijanie kabzy zasług kosztem tych, których powinniśmy miłować, a więc życzyć im dobra; a jeśli dobra, to również i tego, aby przestali złorzeczyć. Czyżby chodziło tu o coś całkiem innego: aby za zło nie odpłacać złem?

„A kto by cię uderzył w policzek, nadstaw mu i drugi.” Po co? Aby bijący zasmakował w biciu? To nie leży w interesie jego człowieczego dobra; to go poniża i czyni niegodnym. Powiniennem mu raczej życzyć (a także i postarać się), aby mu bicie dokumentnie obrzydło, jeśli go miłuję jako nieprzyjaciela.

„A temu, który zabiera ci płaszcz, nie wzbraniaj i tuniki.” W jakimże celu i w jakiej intencji mam tak postępować? Aby odznaczyć się świadomym wyrzeczeniem? Przecież w takim wypadku buduję swoją tylko chwałę, nie czynię natomiast dobra rabusiovi; oddając mu również i tunikę, działam moralnie na jego niekorzyść, przydaję mu ciężaru, potwierdzam pożądanie cudzej własności, utwierdzam w złodziejstwie. A więc daję dowód nienawiści, nie zaś miłowania.

Panie Boże, przecież nie będę Cię oszukiwał (żadna zasługa, bo wiadomo, że i tak nic by z tego nie wyszło). I powiem, jak jest. Że nie rozumiem. Że nie umiem. Że nie wiem. Róbże ze mną, co chcesz, ale naprawdę nie wiem, nie rozumiem, nie umiem.

Jeśli tamte wskazania zostały wypowiedziane, musi być w nich jakaś ważna prawda. Nie zdołałem jej rozpoznać i pojąć: może w tych paradoksalnych wskazaniach chodzi o nieograniczone niczym miłosierdzie, o wybaczenie zawsze i na przekór wszystkiemu; może chodzi o to, aby złem nie odpłacać za zło; a może całkiem o coś innego, większego, czego nie zdołałem rozszyfrować. Nie wiem. A nie mogę w drukarskie znaczki ubie-

rać słów, które w tych warunkach musiałyby być puste i nieprawdziwe.

Gdyby znalazł się na moim miejscu ktoś mądrzejszy i bardziej wygadany, wyjaśniłby rzecz na pewno.

A ja ni mowny, ni mądry. Więc wybacz, Panie, durnemu. Toż Ci nie pierwszyczna przecie.

1 Niedziela Wielkiego Postu

Kuszenie

Z Ewangelii św. Łukasza zastanawiający przekaz: jak Jezus zawiedziony był przez Ducha na pustynię i pozostawiony tam na dni czterdzieści, aby był kuszony przez szatana. Jest to jeden z tych tekstów, do których można wracać wielokrotnie i wciąż odnajdywać sprawy nowe i dotąd nie zauważone.

Łaknął, ponieważ w one dni nie jadł nic. Jest to więc głód człowieczy, biologiczne łaknienie organizmu. Jednakże szatan nie mówi do Jezusa tak, jakby miał przed sobą wyłącznie tylko człowieka. Mówi: „Jeśli jesteś Synem Bożym, rzeknij kamieniowi temu, aby stał się chlebem”. Mimo owego warunkowego „jeśli” wezwanie to jest przecież równoznaczne z wyznaniem; nie miałyby bowiem widocznego sensu kuszenie głodnego człowieka wezwaniem, aby kamień przemienił w chleb — gdyby był tylko człowiekiem. Człowiek nie przemieni kamienia w chleb. I oto Kusiciel daje świadectwo pewnej rze-

czywistości: wie, do kogo mówi. „Jeśli jesteś Synem Bożym...” Kamień przemieniony w chleb zaspokoiłby głód człowieka. Ale równocześnie byłoby to tak, jakby Bóg usprawiedliwiał się przed szatanem: że rzeczywiście jest Bogiem.

„I zawiódł go szatan na górę wysoką, i ukazał mu na chwilę wszystkie królestwa świata mówiąc doń: Dam ci całą tę potęgę i chwałę ich, bo w mojej są mocy, a daję je, komu zechcę. Jeśli więc ty złożysz mi pokłon, będziesz miał to wszystko.” Jest w tym ukryte najpierw coś w rodzaju stwierdzenia: „w mojej są mocy” wszelka chwała i potęga świata. Potem gest prawie wspaniałomyślny: oddam ci je. Za cenę pokłonu. Kłania się sługa panu, wasal suzerenowi. Prawda kłaniająca się kłamstwu nie jest już prawdą; dobro uległe złu nie jest już dobrem. Znika wszystko. W geście szatana zawarta jest intencja: szczęśnij. Niech cię nie będzie.

„I zawiódł go do Jerozolimy, i postawił na szczycie świątyni mówiąc doń: Jeśli jesteś Synem Bożym rzuć się stąd na dół. Albowiem napisane jest, że aniołom swoim rozkazał o tobie, by cię strzegli, a oni na rękach cię poniosą, abyś snadź nie zranił o kamień nogi swojej”...

Wysoko stała Świątynia, wyniesiona ponad miasto. Z wielkiej wysokości wszystko wygląda inaczej. Zupełnie inaczej, aniżeli wówczas, gdy chodziło się ulicami. Nie widzi się ni głodnych, ni sytych, zdrowych ni kalek; a święty niczym doprawdy nie różni się od zbrodniarza. Z wielkiej wysokości ludzie są

jak mrówki. I dlatego już w samym wyniesieniu zawarte jest pokuszenie: aby z wysokości nie widzieć. A pod stopami owo wyniesienie jak otchłań, gdzie jednak u spodu ludzie prawdziwi, nie mrówki. I sprawy ludzkie prawdziwe. Nie zstępuj tam. Rzuć się w dół. To przecież o Tobie powiedziano, że aniołowie na rękach Cię poniosą. Wiem, ktoś jest. Daj mi ten jeden bodaj denar jak żebrakowi: abym widział, że to na moje słowo aniołowie piastują tego, który nie zstąpił, lecz rzucił się w otchłań.

Ciekawe. Choć Jezus prawdziwie jest nam współistotny w człowieczeństwie — nasze własne synostwo Boże rozgrywa się na całym innej płaszczyźnie i w całkowicie odmiennych kategoriach, niż Synostwo Jezusa. Nam nie może być powiedziane tak samo: „Jeśli jesteś Synem Bożym”... A jednak dzieją się rzeczy niepokojące. Nie mogliśmy kamieni przemieniać w chleb. A przecież przydarza się nam, że z rzeczy zupełnie nieużytecznych i płonych usiłujemy uczynić pokarm albo i przysmaki. Nie wynika z owych usiłowań nic szczególnego i głód pozostaje głodem, nienasycenie pozostaje nienasyceniem. A jednak próbujemy to właśnie czynić: kamienie przemieniać w chleb. Jaki niesłyszalny szept wsączył nam w mózgi przekonanie, że można nasycić głód czymś, co nie jest chlebem? Kto nas przekonał, że rzeczy płone mogą być pokarmem?

Znamy mechanizm potęgi i chwały wszystkich królestw ziemi i nie mamy złudzeń: czyje są i kto kręci tym interesem. Jesteśmy

wszyscy wpleceni w tryby dziejących się zdarzeń globu i — prawdę rzekłszy — jeśli obracające się koła zechcą zetrzeć nasze głowy, nie możemy uczynić nic albo prawie nic, aby temu przeszkodzić. Historia nieraz już przemielala miliony ludzkich istnień, czyni to także i dziś, nawet bez wojen. Człowiekowi wystarczy ochłap dnia. A jednak my też słyszemy to samo: „będziesz miał to wszystko, jeśli złożysz mi pokłon”. Kłaniamy się. Dostajemy drewniane berło pajaca z tanią pozłótką — i już nie jesteśmy tym, czym zamierzył nas Ojciec. Tamten gest pokuszenia miał to samo intencjonalne dno: szczytniej, przepadnij, zgiń. I jest w tym zrównaniu jakiś dziwaczny ukłon człowiekowi.

Nam też przygodziło się wyniesienie. Z pułapu bombowca nie widać wewnątrz ludzkich domów. Gdyby z pułapu satelity zlikwidować połowę Europy — nad pięknie opalizującym globem podniosłby się może nieduży obłok kurzu. Każde wyniesienie otwiera otchłań. Nie tylko fizyczne wyniesienie. Psychiczne też. Z wysokości wyniesienia ludzie są jak mrówki, czasem jak bakterie, zaś święty niczym nie różni się od zbrodniarza.

Rzuć się w dół. Nic ci się stać nie może. Przecież szczyty są tam właśnie, gdzie ty jesteś; choćbyś się znalazł na dnie otchłani. Czy nie uzgodniliśmy, że człowiek jest jedyną miarą rzeczywistości? Bóg umarł, abys ty mógł żyć — i odtąd człowiek jest jedyną miarą rzeczy i spraw. Rzuć się w dół. Przecież otchłań nie istnieje, skoro istniejesz ty.

Czy naprawdę nigdy tego nie słyszeliśmy?

2 niedziela Wielkiego Postu

Ciało unżenia

Zabrał ze sobą Piotra, Jakuba i Jana i wszedł na górę. A gdy modlił się Jezus, „zmienił się wygląd jego oblicza” i szata stała się jaśniejąca. I pojawili się przy nim w podobnej chwale przemienienia ci, którzy dawno już byli pomarli: Mojżesz i Eliasz. A mówili o jego odejściu, które dokonać się miało w Jerozolimie. I na ten moment ocknęli się ze snu uczniowie: ujrzeni w owej chwale przemienienia Jezusa i tamtych dwóch mężów, których nie było już między żywymi na ziemi. Rzekł Piotr do Jezusa: Nauczycielu, dobrze nam tu być. Uczynimy tedy trzy przybytki: tobie jeden i Mojżeszowi jeden, i Eliaszowi jeden. A nie wiedział Piotr, co mówi — gdy zrównywał tych trzech. Ujrzeni, że stał się obłok i pomroka ogarnęła szczyt góry, tamtych przemienionych i także ich, którzy patrzyli. Potem zaś usłyszeli głos: „Ten jest Syn mój miły”. I spadł na nich lęk.

To, co stało się w oczach trzech uczniów na górze Przemienienia, było objawieniem. Nie tylko objawieniem Synostwa Bożego, odnoszącym się do osoby ich Nauczyciela. Także i objawieniem przyszłej chwały zmartwychwstałej i przemienionej materii; chwały ciała.

Słowa, którymi Ewangelie opisują wydarzenie na górze Przemienienia, w sposób zupełnie jawny demonstrują swoje ubóstwo i nienadążanie za prawdą przedmiotu: rzeczywistości, o którą się otarli patrzący. Łukasz pisze o „zmienionym wyglądzie oblicza”, co jest stwierdzeniem bardzo ogólnikowym. Mateusz zanotuje: „i rozjaśniło się oblicze jego jako słońce” — co z kolei jest zwrotem poetyckim, który ma zobrazować przez porównanie jakąś mało wyobraźalną wspaniałość; coś rozświetlonego życiem. O tych ludzi otarło się w sposób doświadczalny coś, czego nie umieli ująć w słowa. „Nie umieli”, czy „nie mogli”? Chyba raczej to drugie: nie mogli, gdyż okazało się to niemożliwe. W samej warstwie literackiej nie jest to żadna nowość: najwięksi mistrzowie słowa zdawali sobie sprawę, że istnieją rzeczy, które samo dotknięcie może zniekształcić albo zniweczyć; czasem udawało się im uchwycić je słowem dlatego tylko trafnym, że z założenia najuboższym i najprostszym — albo też milczeniem rozsnutym pomiędzy paru słowami. Uczniowie nie zawsze bywali mistrzami słowa. Byli ubogimi ludźmi, przed którymi stało zadanie niewykonalne: swoim zmysłowym postrzeganiem otarli się o jakąś rzeczy-

wistość nie podporządkowaną aktualnemu światu i nie należącą doń; tym samym nie podlegającą też i możliwości opisu. To, co w tej sytuacji było najmądrzejsze, okazało się także i najprostsze: Piotrowe „dobrze nam być”. Było to wyjątkane wyznanie szczęścia — to stwierdzenie dobroci istnienia.

O wszystkich tych sprawach, trudnych i niewyraźalnych, musieli potem mówić uczniowie między sobą. W wiele lat później Apostoł w liście do Filipian zanotuje pokornie: „Zbawiciela oczekujemy, Pana naszego Jezusa Chrystusa, który przemieni ciało naszego uniżenia i upodobni je do ciała jasności swojej”...

Ciało uniżenia. Nie jest to jedyne w Biblii określenie utrzymane w tym klimacie znaczeniowym. A znam ludzi, których bardzo irytują tego typu określenia: widzą w nich jakieś fatalistyczne, pogardliwe i niegodne odepchnięcie wszelkiego ciała. Są w błędzie. Także i w błędzie logicznym: gdyby bowiem Pismo istotnie odnosiło się negatywnie do materii i ciała — po cóż miałyby mówić o odkupieniu materii i jej nobilitacji w przemienieniu? A przecież o tym właśnie mówi.

Pismo jednakże zna pewną trzeźwą prawdę o ciele. I dlatego powiada właśnie tak: „ciało uniżenia”.

Jest to genialny skrót. Aby zaś obronić jego prawdę, nie trzeba się zwracać do teologów, egzegetów i apologetów. O obronę tę — jeśli już koniecznie — trzeba się zwracać raczej do tych, którzy o ciele wiedzą najlepiej: do fizjologów, biologów i medyków.

Oni wiedzą, że to prawda. Wiedzą, że tak właśnie jest: „ciało unizenia”. Spotykają się z nim codziennie, badają, ratują. I żegnają.

Wiedzą wiele. Wiedzą, że w materii i we wszelkim ciele koegzystują najdziwaczniej piękno i szpetota, wielkość i kruchość, wspaniałość i coś z płaskiej nędzy. Oni — wiedzą. Prawda o ludzkim ciele nigdy nie jest jednoznaczna. Najbardziej aksamitny policzek zawiera co najmniej dwie prawdy: tę, o której mówi czułość palców — i tę, o której świadczy najzwyczajniejsza soczewka szklana, pod którą widać już nie aksamit, lecz porośnięty szczecią, porowaty i gąbczasty pancerz nosorożca. Prawda fizjologów bywa szokująca: najgenialniejsze w swym pięknie linie i płaszczyzny ludzkiego torsu i brzucha kryją pod sobą oślizłe i zgoła niepiękne wnętrzości — inna sprawa, że genialnie działające, co z całkiem innego punktu widzenia może być powodem podziwu. Jednakże rzeźbiarz by się nimi nie zachwycił. Prawda fizjologów, biologów i medyków bywa szokująca: oni wiedzą, co sądzić o nazbyt jednostronnych zachwytach poetów i literatów.

I wiedzą, że w ostatecznym rachunku jest właśnie tak: ciało unizenia. Znają kuchenne tajemnice tego wspaniałego gmachu. Wiedzą, że parę kropel przeźroczyściej hormonalnej sekrecji może sprawić, że najmądrzejsza kobieta zacznie się zachowywać w sposób, który dla niej samej będzie dość jednoznacznym kretyństwem. Albo też, że określone zaburzenia gruczołowe zrobią pajaca z szanowanego obywatela. Z powodu mocnego bożka

Erosa powstawały bardzo piękne poematy albo i nie całkiem małe bardzo prawdziwe dramaty; ale lekarze wiedzą, że przepędzić go może bezpowrotnie próchnica zębów, nadkwasota żołądka albo nogi, które zaczęły się pocić: sama proza. O, lekarze wiedzą dużo.

Że — jeśli nawet nie zdarzy się nic z serii wykolejeń i kataklizmów — nieuchronnie musi nadejść czas rozprzężenia, czas upokorzenia, czas klęski. Oni wiedzą, wiedzą najlepiej i z bliska, jak bardzo jest prawdziwe to właśnie określenie: ciało unizenia. Zasługująca na najwyższy szacunek praca biologów, fizjologów i lekarzy jest tragiczną pracą Syzyfa, podtrzymującego na pochyłości kamień, który i tak musi stoczyć się w dół. To, co podtrzymują — jest na pewno czymś genialnym, wspaniałym i pięknym. Ale to jest ciało unizenia. Zasługujące na szacunek. Zasługujące na podziw. Warte ratowania. Warte ocalenia — jak wart jest ocalenia i przemiany świat. Jest głucha racja instynktu w pracy lekarzy: gdyż rozprzężenie, upokorzenie i klęska ciała ma w sobie coś z absurdu. Absurdu zupełnie obiektywnego. Jakież bowiem uchwytne sens tkwić może w supozycji, że materia po to tylko skomponowana zostaje w zespoły bardzo wysoko zorganizowane, harmonijne, indywidualne, celowe i piękne, aby znaleźć koniec ostateczny w dekompozycji i dezorganizacji, szpetocie i wreszcie w procesie anonimowej mineralizacji, który w tej perspektywie niewątpliwie jest upokorzeniem dość absurdalnym?

Ci, którzy spisywali Pismo, nie byli biolo-

gami ani fizjologami. Mimo to starczyło im mądrości codziennego realnego doświadczenia, aby dojść do prawdy. A skoro im starczyło — starczyć go może także i nam, którzy nie wszyscy przecież dysponujemy wiedzą lancetu i laboratoryjnego szkła.

A tak naprawdę zawiniliśmy może jednym: brakiem równowagi. Wszystkie poza chrześcijaństwem wielkie systemy religijne odrzucają świat i materię: albo jako rzecz złą, albo też jako ułudę, fałszywą i niebezpieczną. W chrześcijańskim świecie całkiem inaczej. Dla nas nie byłoby Wcielenia, gdyby nie wielka, zachłanna i zazdrosna miłość Boga dla świata, materii i ciała. Śpiewaliśmy hymny nabożne o Zbawicielu dusz. Ale chyba o wiele rzadziej trafiały się nam hymny o tym, który po materię i biedne nasze ciała zstąpił aż na dno prochu i sprawił przyrzeczenie zmartwychwstania, odnowienia, przemienienia i chwały materii, świata i wszelkiego ciała. Widocznie hymny takie wydały się nam czymś mniej godnym oraz „mniej uduchowionym”. A może po prostu trudniej było uwierzyć. Bo tak już jest, że zawsze najtrudniej jest uwierzyć w rzeczy najbardziej konkretne.

Zbawienie duszy? Ależ owszem. Ale podniesione z prochu ciało, rozświetlone wielką chwałą piękna? Rzeczywiste? Realne? Dotykalne aż tak, iżby można włożyć rękę w ślady jego uniżenia?...

3 niedziela Wielkiego Postu

Nadzieja Boga

Zestaw czytań liturgicznych na niedzielę dzisiejszą na pierwszy rzut oka wydaje się dość dziwnie dobrany.

W tle obszerny fragment z Księgi Wyjścia, opisujący wydarzenie na świętej górze Horeb, gdy dane było Mojżeszowi widzenie krzaka ognistego, który gorzał, a nie popieilił się. I dane też było Mojżeszowi wielkie imię Pana: Jam jest, którym jest. Ale ów Pan w niezniszczalnym gorejącym krzaku objawiający swą obecność — jest równocześnie Bogiem zstępującym: „Widziałem utrapienie ludu mego (...). A widząc boleść jego, zstąpiłem (...). To jest imię moje na wieki i to pamiątka moja na pokolenia”. Zapis Księgi Wyjścia jest więc zapisem fundamentalnej wielkości i bliskości Boga, a także zapisem nadziei ludzkiej.

Zapis z listu apostołskiego do Koryntian jest natomiast zapisem czujności, uwagi i sa-

mowiedzy: „Kto tedy mniema, że stoi, niech baczy, aby nie upadł”.

I na tym tle dwa naraz fragmenty Ewangelii św. Łukasza. Jedna o konieczności pokuty. A druga o drzewie płonym:

„I mówił im tę przypowieść: Człowiek pewien miał drzewo figowe zasadzone w winnicy swojej i przyszedł szukać na nim owocu, ale nie znalazł. I rzekł do uprawiającego winnicę: Oto przez trzy lata przychodzę i szukam owocu na tym drzewie figowym, a nie znajduję. Wytnij je więc, po cóż jeszcze ziemię zajmuje. A on odpowiadając rzekł mu: Panie, zostaw je i na ten rok, aż je okopię i obłożę nawozem, czy też nie wydałoby owocu, a jeśli nie, wytniesz je później”. Jest to zapis o toporze zatrzymanym w pół drogi w imię nadziei. Ale tym razem nie jest to już nadzieja człowieka. Tym razem jest to nadzieja Boga. I dlatego jest w tym zapisie coś wstrząsającego. Nie przywykliśmy do tego rodzaju perspektyw.

Przywykliśmy do własnej przygodności i kruchości, do własnych grzechów powracających i do własnej nieśmiałej nadziei, przetrzuconej w całkiem inny porządek rzeczy — poza ów Mojżeszowy krzak ognisty w czyjeś wielkie miłosierdzie. W tak wielu miejscach Pismo mówi: „oczekujemy”. Przywykliśmy, że to tylko w naszych rękach i po naszej stronie jest owo oczekiwanie. I tamta nadzieja. Bo i jakże mogłoby być inaczej. Może nie zdarzyło się nam pomyśleć, że w jakiejś warstwie rzeczywistości porządek ów może być odwrócony: że Bóg może pokładać nadzieję

w człowieku. Że to jego może być oczekiwanie i zawierzenie, złożone w człowieku.

Wynika stąd wiele rzeczy. Choćby i to: Zdumienie. On jest, który jest. My jesteśmy tylko cieniem cienia: trawą, która rośnie i zieleni się o świcie, a usycha ku wieczorowi. Człowiek wychodzi z nicości jak świat wydzwignięty z chaosu i nie ma w nim niczego, na czym mógłby oprzeć nadzieję. Jakże to może być, aby Bóg pokładał nadzieję w człowieku? Dlaczego? Do czegoż mu są potrzebne człowiecze rzeczy nieduże: owoce ludzkich rąk albo owoce ludzkiego umysłu, albo owoce ludzkiej dobroci? Dlaczego czeka na owocowanie płonących drzew? Czemu topór zatrzymany w pół drogi? Tego wszystkiego nie sposób zrozumieć na płaszczyźnie relacji Bóg — i stworzenie. Jest tylko jeden wycinek, w którym przeblyskuje światło: ewangeliczna opowieść o synu zaginionym, który umarł był, a ożył; zaginął, a odnalazł się. Zrozumiał. Powrócił. Tak: to jest nadzieja i czekanie Ojca. Bodaj na tę rzecz ostatnią: żal. Bo człowiek jednak nie jest drzewem.

Ale nie tylko zdumienie. W tym ewangelicznym zapisie ukryte zostało także i podniesienie człowieka. Bo to jest jednak nieopisanie wielka rzecz: nadzieja Boga, czekanie Boga, zawierzenie Boga. I jeśli nawet człowiek jest tylko sekundowym błyskiem w otchłani czasu — ukryto w nim także i wielkość, skoro jest nad nim czekanie Boga. Jeśli nawet jest tylko cieniem cienia — nie jest próżne ani małe jego istnienie, skoro Bóg położył w nim nadzieję swoją. I je-

śli nawet z człowiekiem jest, jak jest, choćby i bardzo źle — nie da się oderwać odeń nadziei. Jest nad nim bardzo wielka rzecz: zawierzenie Boga. A jest ono także i wielkością człowieka. Jakie to dziwne i straszne.

Także i to: że nadzieja Boga jest także i nadzieją człowieka. Czymże są dwie nadzieje, które się odnalazły? Spełnieniem? Życiem uleczonym z przemijania?

Księga Jozuego 5, 9a i 10—12

2 List do Koryntian 5, 17—21

Ewangelia św. Łukasza 15, 1—3 i 11—32

4 niedziela Wielkiego Postu

Niezrozumienie sprawiedliwych

Znana, bardzo znana przypowieść ewangeliczna o synu marnotrawnym. Jedna z tych, które potrafiły wejść za skórę cywilizacji światowej: symbol syna marnotrawnego znany jest wszędzie.

Nie wiadomo tylko, czy wszędzie rozumiany w całej swej pierwotnej treści. I nie wiadomo, czy wciąż jeszcze wywołujący te same skojarzenia.

Jest to opowieść o człowieku, który odszedł i znalazł się na dnie poniżenia: tak, jakby był umarły. Nawet i my nie zawsze rozumiemy to w taki właśnie sposób. Dla nas jest to opowieść o lekkomyślnym utracjuszu, który na obczyźnie roztrwonił swą majątność i musiał imać się zajęć niekoniecznie przyjemnych. Ale rzeczywistość była gorsza; aby ją pojąć, trzeba przenieść się wyobraźnią w świat tamtych ludzi. Dla prawowiernego Izraelity (podobnie, jak i dziś dla muzułma-

nina) wieprz był przeklętym zwierzęciem. Był zwierzęciem brudnym nie tylko w sensie fizycznym, lecz także i metafizycznym jako symbol i znak wszelkiego brudu. Tylko poga- nie mogli jadać wieprzowinę; dla Izraelity było to czymś zupełnie niewyobrażalnym. Izraelita pasący wieprze — to w świecie obrazów Pisma znak ostatecznego poniżenia; takiego, że już nic gorszego wydarzyć się nie może. Chyba tylko to jeszcze: jeść pokarm przeznaczony dla nieczystych zwierząt. Ale i tego nikt mu nie dawał. To jest ostateczne dno.

Ten człowiek nazwany jest synem. Zmar- łym synem. Ale jednak — synem. Synostwo: rzecz niepozbywalna nawet w śmierci.

Ten człowiek postanawia wrócić: „Wstanę i pójdę do ojca mego, a powiem mu: Ojcze, zgrzeszyłem przeciwko niebu i przeciwko to- bie. Już nie jestem godzien zwać się synem twoim, uczyni mnie jakby jednym z najem- ników twoich. I powstawszy poszedł do ojca swego. A gdy był jeszcze daleko, ujrzał go ojciec jego i uzalił się. I przybiegł, i rzucił się mu na szyję, a ucałował go. I rzekł mu syn: Ojcze, zgrzeszyłem przeciwko niebu i przeciwko tobie, już nie jestem godzien zwać się synem twoim. Ojciec wszakże rzekł do sług swoich: Rychło przynieście najlepszą szatę, a przyodziejcie go, dajcie też pierścień na rękę jego, a sandały na jego nogi. I przy- wiedźcie cielca tuczonego, i zabijcie, a jedzmy i weselmy się: albowiem ten syn mój umarł był, a ożył, zaginął był, a odnalazł się. I po- częli się weselić. A starszy syn jego był

w polu. I gdy wracał, i zbliżył się do domu, posłyszał muzykę i taniec. Przywołał tedy jednego ze sług i spytał, co by to było. A ten mu rzekł: Brat twój przybył, a ojciec twój zabił cielca tuczonego, że go zdrowym odzyskał. Oburzył się tedy i nie chciał wnijsć. Ale ojciec jego wyszedłszy począł go prosić. Lecz on odpowiadając rzekł ojcu swemu: Oto przez tyle lat służę tobie i nigdy nie przestąpił rozkazu twego, a nigdyś mi nie dał koźlęcia, abym ucztował z przyjaciółmi moimi. Skoro jednak przyszedł tu ten syn twój, który roztrwonił z nierządnicami majątność swoją, zabiłeś mu tuczonego cielca. Ale on mu rzekł: Synu, tyś zawsze ze mną i wszystko co moje, twoje jest. Należało wszakże weselić się i ucztować, gdyż to jest brat twój, który umarł był, a ożył, zaginął był, a odnalazł się”.

I tak opowieść o synu odnalezionym i odzyskanym przez żal, opowieść o człowieku podniesionym z dna poniżenia i obdarowanym — staje się nagle opowieścią o niezrozumieniu sprawiedliwych.

Ów starszy brat odnalezionego, człowiek sprawiedliwy, ma swoją słuszość za sobą. Jego opis sytuacji jest zgodny z prawdą, słuszne jest jego rozżalenie na nierówność traktowania nie umotywowaną racjami sprawiedliwości. Tak: on ma rację. Ale i ojciec ma swoje racje. Jego radość jest podobna do radości kobiety, która odnalazła zagubioną drachmę — może przecie nie jedyną w kalecie. Podobna do odczuć pasterza, który pozostawia wiele bezpiecznych w schronieniu owiec,

aby wziąć na ramiona w radości jedną tylko, która była zaginęła. Jest to także radość Stwórcy nad jednym grzesznikiem pokutę czyniącym. Gdyż sprawiedliwi są już bezpieczni: „Synu, ty zawsze ze mną i wszystko, co moje, twoje jest”. Ale to jest brat twój, który umarł był, a ożył, zaginał był, a odnalazł się.

Dobrze, że są takie racje. Dobrze, że jest taka radość. Aby jednak zrozumieć ją — człowiek nie może mieć poczucia, iż jest sprawiedliwym. Jeśli bowiem ma się za sprawiedliwego — poczuje się skrzywdzonym i nie pomoże mu nawet fakt, że istotnie jest sprawiedliwy. Ten żal będzie na równi słuszny i niesłuszny. Niesłuszny, ponieważ i tak jest współdziedzicem. Słuszny, ponieważ nie nad nim była radość odnalezienia.

Niezrozumienie sprawiedliwych. Bezradna refleksja: jak to dobrze, że pewne sprawy sam Bóg im wytłumaczy. Bo ludzie by nie potrafili.

Przypowieść o synu marnotrawnym spisywana była przez ludzi wywodzących się ze ściśle określonego kręgu kulturowego, gdzie pewne pojęcia i słowa należały do uświęconych. Był pewien sakralny sens w słowie „ojciec”. Coś z *sacrum* było w słowie „syn”. Cywilizacje się zmieniają, zmieniają się kultury, a człowiek jest stworzeniem pomysłowym. Zrobiliśmy najpierw wszystko możliwe, aby słowa te uzwyczajnić. A potem też wiele, aby straciły wszelki niemodny sens. I jesteśmy bardzo dumni z naszych przemian kulturowych.

Ale czasem wracają jednak dziwne sny: o synu, który na dnie własnowolnego poniżenia, będąc jakby umarłym, odnajduje w sobie pogrzebaną pamięć synostwa: „wstanę i pójdę do niego”. I o ojcu, który ma swoje racje ponad sprawiedliwością. O dobrych związkach, których rozerwać nie można i o radości odnalezienia w pół drogi.

I chociaż dalej nam i trudniej, niż tamtym bywało — miewamy jeszcze dobre, dziwne sny.

„A wszystko z Boga, który nas z sobą pojednał przez Chrystusa (...). W Chrystusie bowiem Bóg pojednał świat z sobą, nie poczytując mu jego grzechów i udzielając nam słowa pojednania. (...) W imieniu Chrystusa nalegamy: pojednajcie się z Bogiem. Tego, który nie znał grzechu, za nas grzechem uczynił, abyśmy się stali sprawiedliwością Bożą w nim”.

5 niedziela Wielkiego Postu

Powinni odejść

„A Jezus udał się na Górę Oliwną. I o świcie wrócił znowu do świątyni, a wszystek lud przybył do niego, a on zasiadł i nauczał ich. I przyprowadzili doktorzy i faryzeusze niewiastę, którą zastano na cudzołóstwie, postawili ją w pośrodku i rzekli mu: Nauczycielu, niewiastę tę zastano dopiero co na cudzołóstwie. Mojżesz w Prawie rozkazał nam takie kamienować. Cóż więc ty powiesz? A mówili to kusząc go, aby go mogli oskarżyć. A Jezus schyliwszy się na dół, pisał palcem na ziemi. Gdy jednak nie przestawali go pytać, podniósł się i rzekł im: Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamieniem. I znowu schyliwszy się pisał na ziemi. A usłyszawszy to jeden za drugim wychodzili, poczynając od starszych, i został tylko sam Jezus i niewiasta pośrodku stojąca. A podniósłszy się Jezus rzekł jej: Niewiasto, gdzie są twoi oskarżyciele? Nikt cię nie po-

tepił? A ona rzekła: Nikt, Panie. A Jezus powiedział: I ja cię nie potępię. Idź, a nie grzesz więcej”.

Tym panom nie chodziło w owym momencie ani o moralność, ani też o sprawiedliwość, ani nawet o poszanowanie Prawa. To było zagranie wyłącznie taktyczne, dobrze zresztą obliczone. Chcieli postawić Jezusa w sytuacji bez wyjścia. Prawo Mojżeszowe było bowiem zupełnie wyraźne i niedwuznaczne: w swej wykonawczej części nakazywało ono kamienowanie cudzołożnic. Z drugiej zaś strony za Rabbim z Nazaretu szła fama wielkiego i niezrozumiałego miłosierdzia. Jeśli więc obroni cudzołożnicę — przekreśli Prawo i sam jego zamiysł, co niewątpliwie stać się może przedmiotem słusznego oskarżenia. Jeśli zgodzi się, aby ją ukamienowano — zaprzeczy swemu miłosierdziu; okaże, że nie jest inny od innych. To wystarczy. W tej sprawie nie istnieli ludzie, a zwłaszcza nie istniała ta oto konkretna kobieta. Nie istniał grzech ani Prawo, ani sprawiedliwość. Istniała tylko gra, jak na szachownicy, gdzie określone posunięcie stwarza nieprzekraczalne bariery sytuacyjne i można w pewnej chwili powiedzieć: szach i mat.

On zaś pochylił się i pisał palcem na piasku. Z jego strony sprawa wyglądała całkiem inaczej. Nie grał. Tu nie chodziło o wymknięcie się z sieci i klęskę faryzejskich uczonych ani też o reklamę własnej wielkoduszności. Nie mógł zaprzeczyć Prawu. Nie z powodów taktycznych, lecz z tej przyczyny, że było ono oparte o zamiysł Ojca, chroniący ludzkie do-

bro. Jednakże Prawo... Jakże im to powiedzieć, jak okazać, by pojęli istotę sprawy? Może nawet nie oni sami, ale bodaj ci, którym w przyszłości dane będzie Słowo?

Podniósł głowę i powiedział mniej więcej tak: Aby czynić słuszną sprawiedliwość, trzeba być sprawiedliwym. Kto tedy jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem.

I czekał.

Może był w nich strach, że przejrzał ich ten dziwny człowiek. Ale przede wszystkim zajrzało ludziom do oczu ich własne sumienie. Ich własna prawda o sobie samych. Ten i ów przypomniał sobie własne swoje postęпки skrzętnie skrywane i łatwo usprawiedliwiane. Niektórzy uświadomili sobie, że chętnie czyniliby najróżniejsze rzeczy nawet i dziwniejsze, ale może odwagi zabrakło, może walorów nie dostaje, może warunki zewnętrzne strzegą i okazji brak — a przeto zostały im tylko skrywane spojrzenia, niewidzialne myśli, brudne sny, a ileż w tym zasługi sprawiedliwości? Popatrz: ta kobieta jest ładna. Jeśli mogła z tantym, to czemu nie z tobą? A ty stoisz i ściskasz kamień w spoconej pięści. Co chcesz zabić? Grzech? A może raczej własne myśli — jakieś bardzo ukryte i zgoła niezrozumiałe myśli? Nie byłoby ich, gdybyś zmasakrował. Rzuć kamieniem. Wtedy rzucą także inni. Z tej kobiety zostaną strzępy. I twoje myśli — nasyczone — odejdą. Rzuć.

Nie mogli. Rozwierały się im palce. I odchodzili chyłkiem jak złodzieje, kryjąc twarze, jeden po drugim, poczynając od star-

szych. Nie było sprawiedliwych. Intencje Prawa były dla nich nieosiągalne, dalekie jak gwiazda. Zrozumieli to i zobaczyli.

Trzeba powiedzieć coś, co raczej nie było mówione: to byli jednak uczciwi ludzie. Poza szachową gierką, poza ludzkim obrzydlistwem i zwykłą ludzką nędzą była przecież w tych faryzeuszach także i jakaś fundamentalna uczciwość, skoro potrafili zobaczyć prawdę o sobie samych. Jeśli kapitulowali przed prawdą swojego sumienia, jeśli palce się im rozwierały, jeśli odchodzili ze wstydem przyjmując swą własną nieprawość — to nie byli źli ludzie. To nie byli straceni ludzie, skoro nie umarło w nich sumienie i poczucie prawdy. Gdybyśmy to my byli w jakiejś podobnej sytuacji, niekoniecznie identycznej, niechby dotyczącej każdej innej reakcji sądenia czyjogoś zła — duży znak zapytania, czy mielibyśmy większy od nich tytuł do chwały. Duży znak zapytania, czy i nas także stać by było na skuteczną konfrontację z własnym sumieniem. Wątpliwe, czy i nam także rozwierają się palce. Więc nie popluwajmy na faryzeuszy: to byli w gruncie rzeczy nie tacy najgorsi ludzie, uczciwsi może od nas, chociaż tak samo obciążeni obrzydlistwem.

Odchodzili, on zaś znów pisał palcem na ziemi litery, których nikt nigdy nie zobaczy i nie odczyta. Może to było jej prawdziwe imię, którego dotąd nie znała — i może nie trzeba, aby ktokolwiek z ludzi odczytywał je publicznie. A kiedy odszedł ostatni człowiek sądzącego kręgu, Jezus podniósł głowę po raz wtóry. Były jeszcze rzeczy do załatwie-

nia. Nie między ludźmi i tą kobietą. Nawet nie pomiędzy nią i Prawem; odeszli przecież ci, którzy Prawo to chcieli reprezentować, i żaden nie potępił jej. Ale były jeszcze sprawy bardzo osobiste pomiędzy nim samym i tą kobietą. Bo tamto postanowienie Prawa negujące cudzołóstwo nie spadło z księżyca, nie było wymysłem złych wrogów wolności i radości ani też fantazją Mojżeszowego widzimisię — podobnie zresztą, jak i inne ustanowienia. To Ojciec pomyślał ludzką wierność. A Mojżesz tylko chciał ją chronić — tak, jak umiał i tak, jak mu się to zdało skuteczne.

Byli przecież jedno, Ojciec i on. To był także i jego zamysł. Prawa nie można ani obrazić, ani urazić, ani też zawieść. Prawo można przekroczyć — jak płot, miedzę albo granicę. Prawo jest „czymś”. Ale za tym Prawem był Ktoś, kogo osobiście zawiodła, chociaż jej zaufał. Ludzie nie mieli prawa wyroku. On — miał. Były jeszcze bardzo osobiste sprawy do załatwienia pomiędzy nim i tą splakaną kobietą — teraz, kiedy Prawo zostało złamane, a ludzie odeszli, porzucając kamienie. Miał władzę i własne swoje, osobiste, sprawiedliwe prawo odrzucenia. Mógł powiedzieć: Zawiodłaś zaufanie Boga. Nie zawierzyłaś mu, że dla ludzkiego dobra uczynił wierność. Odrzuciłaś jego przyjaźń tak, jak odrzuca się rzeczy niepotrzebne. Jeśli chcesz, odejdz więc. I żaden na świecie trybunał nie udowodniłby mu nieprawdy albo niesprawiedliwości.

Stali naprzeciwko siebie. Powiedział: Nie

potępię cię. Idź w pokoju i nie grzesz więcej.

A to było tak, jakby ją umył. Tak, jakby przywrócił jej imię — to właśnie, którego nie знаła. Nikt dotąd tego nie uczynił.

A teraz — w ślad za faryzejskimi graczami, którzy mieli jednak odwagę przegrać z własnym sumieniem, powinni odejść także i ci, którzy uczynili zeń mgłę i pustkę. Ci dobrodusznicy, otwarci i tolerancyjni, dla których wszystko jest płynne, względne, zależne i okazjonalne; którzy rozmyją w ciepелku przytulnej mazi każde „tak” i każde „nie” i którzy chcieliby, aby pod wartką powierzchnią strumienia wydarzeń i postępów nie było żadnego głazu ustanowień.

Oni także powinni odejść. Czas. Nie mają tu nic do roboty. Sprawy rozegrały się pomiędzy Jezusem piszącym niewiadome litery na piasku i człowiekiem, który — obmyty — odszedł w pokoju. Niechże i ludzie odejdą.

A za Jezusem zostanie wielkie Izajaszowe świadectwo: „To mówi Pan, który dał w morzu drogę, a ścieżkę na bystrych wodach; który wywiódł wóz i konia, wojsko i mocnego; razem posnęli i nie powstaną, starci są jak len i pogaśli: «Nie wspominajcie pierwszych rzeczy i starodawnym nie przypatrujcie się. Oto ja czynię nowe rzeczy, i teraz wzejdą, zaiste poznacie je: położę na puszczy drogę, a rzeki na bezdrożu»”.

Tę położoną na pustkowiu drogę i rzekę na bezdrożach, ścieżkę na bystrej wodzie dni odnalazła kobieta z Łukaszowej Ewangelii wtedy, gdy odeszli ludzie i zostały po nich tylko porzucone kamienie.

Proroctwo Izajasza 50, 4—7

List do Filipian 2, 6—11

Ewangelia św. Łukasza 22, 14—23, 56 albo 23, 1—49

Niedziela Męki Pańskiej

Nie troszcz się

Tym razem nie sposób cytować pełnego tekstu Ewangelii Łukaszowej: na niedzielę Męki Pańskiej przewidziano bowiem cały dramat pożegnania, odejścia i śmierci, także wszystkie wielkie i nie całkiem możliwe do pojęcia sprawy, które się w owe dni rozegrały.

Więc Ostatnia Wieczerza w ciepłym jeszcze od bezpiecznych świateł wnętrzu domu, pożegnanie i ustanowienie Eucharystii. Słowa, które brzmią jak zaklęcie wieczności i jak pieczęć zbawienia świata: „To jest krew moja, która za was będzie przelana” — nad owocem szczepu winnego, ziemi i słońca; „To jest ciało moje, które za was będzie wydane” — nad skibką chleba: pokarmem, który koi głód.

A kiedy działy się i potwierdzały sprawy ocalenia, uczniowie swarzyli się: który z nich większy? I powiedziano im, że wielkość mie-

rzy się miarą posługi i umniejszenia. I powiedziano także najwierniejszemu, który był ustanowiony opoką Kościoła, iż nie minie noc, a po trzykroć zaprze się Pana. Nie wierzył Piotr, że tak się stanie.

A Jezus wyszedł w noc. Posnęli bliscy i nie czuwał nikt. Noc milczała i nie było głosu Ojca nad człowiekiem porzuconym w grozie zdrady, pojmania i śmierci.

A gdy go pojmano, rozproszyli się wszyscy i zanim minęła noc, Piotr zaparł się go po trzykroć: że nie zna człowieka.

Stawiony przed trybunałem Świątyni, a potem również przed Piłatem, obity i ubiczowany, z trzcina w ręce wetkniętą na pośmiewisko, cierniem ukoronowany, wyznający, że jest Synem Bożym i królem nadchodzącego świata, gdy Syn Człowieczy zasiądzie na prawicy mocy Bożej.

Na żądanie ludu skazany na śmierć.

Idący na miejsce kaźni i widzący grozę Dnia Ostatniego, upadający z belką krzyża i powstający cierpliwie. Obnażony i przybity do drzewa pomiędzy dwoma łotrami, z których jeden zbawiony został późną wiarą swoją i zalem u wrót śmierci. Kuszony przez ludzi podobnie, jak kiedyś przez szatana na pustkowiu.

A gdy skonał, ciemności uczyniły się nad ziemią. I wyznał go setnik rzymski, który postawiony był dla pilnowania, aby Syn Boży umarł dokładnie i na pewno.

Za zezwoleniem Piłata wydany Józefowi z Arymatei, człowiekowi sprawiedliwemu. Owinięty płótnem i złożony w skalnym gro-

bie bez omycia i namaszczenia: nadchodził bowiem szabat.

A potem przywalono wejście głazem i postawiono strażę.

I opowiada się o tym od wielu już setek lat. Ja wiem, że czasem już słuchać nie można tych wszystkich wielkich, pięknych, mądrych słów, którymi w najlepszych intencjach oplątujemy opisaną rzeczywistość Pisma. Stają się jak deszcz bębniący w blaszanej rynnie albo jak różnej miary szklane paciorki przesypane w palcach. Ale zrozum: może tu nie chodzi o żadne słowa — ani o piękne, ani też o brzydkie, wielkie albo małe, trafne albo też nietrafne. Może tu chodzi właśnie o tę rzeczywistość: twoją i moją. Rzeczywistość nas wszystkich.

Na świecie jest wiele domów ciepłych jeszcze od bezpiecznych świąteł. Ale w każdym bywają jakieś pożegnania i w każdym włóczy się po kątach pokraczny cień Judaszowy i żaden nie jest bezpieczny i w każdym kiedyś uczyni się pusto — tak, albo inaczej. Może w każdym ludzkim domu jest coś z Wieczernika? I może — aby ocalić dobry ludzki sens — potrzebne jest tamto zaklęcie wieczności?

W hebrajskiej starożytności krew była symbolem życia, „duszą życia”. Ciało ożywione krwią uosabiało samo istnienie. Cokolwiek słusznego i mądrego, głębokiego a niechby nawet i genialnego zostało i zostanie powiedziane o Eucharystii — nie daj się zaplątać w sieć słów, określeń, definicji i dowodzeń. One i tak będą obchodzić dookoła

rzeczywistość, która jest jedynie ważna. I dlatego lepiej może zachować pod powiekami obraz — i to wszystko, co poza nim musi pozostać milczeniem. Twarz Syna Bożego współistotnego Ojcu, pochylona nad czar ką wina, które powstało z ziemi i słońca, aby nieść ludziom radość. I usta, które mówią: „to jest krew moja”. Twarz Boga nad skibką chleba, owocem ziemi i pracy rąk ludzkich — i usta, które mówią: „to jest ciało moje”. Ta bardzo wielka i nieopisana rzecz stała się naprawdę. I to jest jedyna istotnie potrzebna świadomość: że to się stało.

My także jesteśmy wzięci z ziemi. I chociaż włóczy się po kątach świata cień Judaszowy i pustka — to także i nam ofiarowano tajemne przemienienie. A nie jest ono bardziej widoczne, niż w tajemnicy Chrystusa, gdzie krew pozostała winem, ciało pozostało chlebem. I gorszo się z niego. A on zagarnął wszystko.

Nie miejmy złudzeń: Piotr zaparł się go po trzykroć w jedną tylko noc pojmania. Nie byliśmy i nie jesteśmy lepsi od Piotra, zaś jedną z najgłupszych form zadufania są złudzenia, że nasze obietnice nadażą za realną ludzką rzeczywistością. Nie nadażą. Kiedy zaś przydarzy się to i nam także po siedemkroć i więcej, niech stanie się nam łaska jako Piotrowi: bo wejrzał nań Jezus, a do Piotra przyszedł żal.

Nie uciekniesz. Na każdego człowieka czeka taki czas, kiedy wchodzi w noc. Usną bliscy i nie będzie czuwał nikt — i noc człowieka zawsze będzie milczała. Zupełnie, jakby

nikt nigdy nie powiedział: „Ojczy”. Na każdego z nas przyjdzie także i czas obnażenia, i czas przybitych rąk: kiedy nie ma już nic do ukrycia i żadnego już gestu zrobić nie można. Nie uciekniesz: On i tak będzie z tobą. Choćbyś się nie modlił. Choćbyś nie wydukał ani jednego z pięknych, wyuczonych słów. A poza wszystkimi możliwymi słowami chodzi właśnie o tę rzeczywistość: że od tamtych jerozolimskich dni uciekać już nie trzeba.

Ziemia jest dobra. Nie troszcz się o tych, których oddałeś ziemi. Zupełnie wystarczy, że Bóg się o nich zatroszczył. Aż nadto. Nie troszcz się, że i twoje ręce przemienią się w proch. Ciało jest świątynią Boga, proch jest świątynią Boga — i tylko dlatego bywa tak bardzo piękny i tak bardzo wspaniały. A kiedy złożono Go w ziemi, zdało się, że umarła wszelka nadzieja. Nie troszcz się. Od niczego już uciekać nie trzeba. Nie ma takiej mocy, która wydarłaby Bogu ziemię i człowieka.

Posłuchaj: żył kiedyś człowiek imieniem Izajasz. Stało się zrządzeniem Pana, że został prorokiem: głosem mówiącym prawdy nie swoje. I cieszył się tym Izajasz prawie jak dziecko: „Pan mi dał język wyćwiczony, abym znużonego umiał wesprzeć słowem. Wzbudza rano, rano mi wzbudza ucho, abym go słuchał jak mistrza. Pan Bóg stworzył mi ucho, a ja się nie sprzeciwiam, nie cofnąłem się wstecz”...

Różne są dary. Nie troszcz się też i o to, że nie to narzędzie dano ci do ręki, które

zdało się najspodobniejsze albo też najbliższe upodobaniom. Niechże każdy czyni dobro, które czynić można tam, gdzie go postawiono albo też i tam, gdzie losy niechciane zaprowadziły. Bo właściwie tylko ta rzecz jest ważna: ten Izajaszowy gest, czyniony z prostą radością: aby twarzy nie odwracać, aby ręki nie cofać wstecz.

Dzieje Apostolskie 10, 34a i 37—43
List do Kolosan 20, 1—9 albo 1 Kor. 5, 6b—8
Ewangelia św. Jana 20, 1—9 albo Mat. 28, 1—10
wieczorem Ewangelia św. Łukasza 24, 13—36

Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego

Pusty grób

Na niedzielę Zmartwychwstania czyta się przekaz ewangeliczny św. Jana:

„A pierwszego dnia tygodnia rankiem, gdy jeszcze był mrok, przyszła do grobowca Maria Magdalena i ujrzała kamień odsunięty od grobu. Pobiegła przeto i przyszła do Szymona Piotra i do drugiego ucznia, którego miłował Jezus, i rzekła im: Zabrano Pana z grobu, a nie wiemy, gdzie go położono. Wszedł tedy Piotr i ów drugi uczeń i przyszedli do grobu. I biegli obaj razem, a ów drugi uczeń wyprzedził Piotra i pierwszy przybył do grobu. A nachyliwszy się ujrzał leżące prześcieradła, wszelako nie wszedł. Przeszedł tedy Szymon Piotr, idąc za nim wszedł do grobowca i ujrzał leżące prześcieradła oraz chustę, która była na głowie jego, leżącą nie razem z prześcieradłami, ale zwiniętą osobno na jednym miejscu. Wtedy więc wszedł i ów

uczeń, który pierwszy przybył do grobu — zobaczył i uwierzył. Nie rozumieli bowiem jeszcze Pisma, że trzeba było, aby on powstał z martwych”.

Jeszcze nie rozumieli Pisma. Jan — gdyż to on był owym uczniem, który wyprzedził Piotra — wespół z nim nie rozumiał nawet teraz, w świt Zmartwychwstania, że śmierć została zwyciężona zupełnie realnie i całkiem dosłownie: „pożarło śmierć zwycięstwo”.

Jeszcze przed brzaskiem przyszła do grobowca Maria Magdalena i ujrzała odwalony kamień. Więc jedno tylko przypuszczenie, które wydało się jej możliwe do przyjęcia: ktoś zabrał ciało Jezusa. Może ludzie Świątyni. Może władze rzymskie. „Zabrano Pana z grobu.” Biegący Piotr i Jan chcieli sprawdzić tylko tę właśnie wiadomość. Ujrawszy porzucone chusty i zawicia — uwierzyli, że grób istotnie jest pusty. Tyle tylko. Nawet do głowy im nie wpadło, aby aż tak dosłownie spełnić się mogły zapowiedzi; aby ów pusty grób mógł być realnym równoznacznikiem zmartwychwstania. Aby rzeczywiście martwe i oddane ziemi ciało mocą Bożą mogło przełamać bramy śmierci, które nigdy dotąd nie ugięły się przed życiem. „Nie rozumieli jeszcze Pisma”.

I ta świadomość faktu docierała do nich stopniowo, z wielkimi oporami i pod wpływem bardzo dotykalnych argumentów. Nie trzeba się tym gorszyć i nie należy się temu dziwić. Ludzkie możliwości uwierzenia są dość ograniczone. Jeśli ktoś mówi: „jam jest droga i prawda i żywot” — można to jeszcze

przyjąć, pocieszywszy się, że ostatecznie wymienione słowo ma zapewne jakiś daleki sens mistyczny albo metaforyczny. Jeśli powie: „przyszedłem, abyście mieli życie” — można przyjąć i to także w podobny sposób. Jeśli powie: „jam jest zmartwychwstanie i żywot” — można mieć na podorędziu koniec zdania: „kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie”. Będzie żyć — „gdzieś”, „jakoś”, całkiem niepojęcie, może tak „duchowo”. I już można zapomnieć to nieszczęsne słowo nazbyt twarde i dosłowne: „zmartwychwstanie”.

Ale stanąć nad pustą jamą i uwierzyć, że śmierć diabli wzięli, że wyłamano jej zęby, że ponad jej wielmożnym cieniem okazano realne i dotykalne rzeczy ostateczne — nie, to było za dużo. Zlitujcie się, to przecież byli ludzie chodzący dwoma nogami po ziemi. Oni wiedzieli, co to jest śmierć. Oni wiedzieli, że to jest bardzo wielka pani, która równa króla z niewolnikiem i obu jednako przemienia w proch. Oni wiedzieli, że najpiękniejsze kobiety i najodważniejsi zbrojni wojownicy, a także i ci, którzy życie poświęcili mądrości — równi są w śmierci głupcom, tchórzom, szakalom i trawie, gdyż jednaki koniec człowieka, zwierzęcia i rośliny. Toć nie tylko staremu Koheletowi chleb stawał się gorzki, gdy myślał o śmierci, która wszystko jednakowo topi w ciemnościach absurdu i sprawia, że równy jest w śmierci mędrzec głupcowi, a zbrodniarz świętemu.

To była bardzo wielka pani, bardzo twar-
da pani, jedyna niezwyciężona nigdy i przez

nic i przez nikogo, zawsze nadchodząca, zawsze powracająca.

A oni byli ludźmi chodzącymi po ziemi w jej cieniu. Jakże mogli uwierzyć, że stało się coś, co się stać nie mogło? Jak mogli uwierzyć, że sens zapowiedzi Pisma, że także i sens słów ich Nauczyciela wcale nie tonie we mgłę symbolicznej metaforyki?

Stali nad pustą jamą i wierzyli tylko w to właśnie: że naprawdę jest pusta. „Nie rozumieli Pisma.” Ktoś zabrał ciało.

O świcie dnia Zmartwychwstania płakała bezradnie Maria Magdalena. I stało się coś bardzo dziwnego: nie poznała Jezusa nawet wówczas, gdy stanął przed nią. Dopiero, gdy wyrzekł jej imię: dopiero wtedy stało się, że poznała. Powiedział coś niewytłumaczalnego: „Nie dotykaj mnie, jeszcze bowiem nie wstąpiłem do Ojca mego, ale idź do braci moich, i powiedz im: wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego, Boga mego i Boga waszego”.

Przyszła do owych braci. To znaczy: do ludzi. Powiedziała. A oni wieczorem zaryglowali drzwi.

Powoli i opornie docierała do nich dosłowna realność zmartwychwstania. Kiedy wszedł, wzięli Go za zjawę. Bardzo dotykalnie musiał udowadniać, że nie jest ani duchem, ani tym mniej — teologiczną metaforą. Stanęli przed faktem, który aż dotąd nigdy nie był dany doświadczeniu ludzkiemu; i nie będzie, aż do Dnia Sądu. W tym wypadku zwycięstwo nad śmiercią nie było cofnięciem procesów naturalnych, jak w wypadku Łazarza, który kiedyś umrzeć miał po raz wtóry.

Realne i dotykalne ciało Zmartwychwstałego było zapowiedzią rzeczy ostatecznych. Nie podlegało już aktualnym prawom natury, było materią przemienioną, materią przeniesioną w całkiem inne układy odniesień; fakt zmartwychwstania był równoznaczny z owym „wstąpieniem do Ojca” (czyli z tym, co język Pisma opowie jako „wniebowstąpienie”). Jednakże to ciało, które wobec aktualnego świata zachowywało się jak suwerenny pan wobec niewolnika — było realną i dotykalaną materią. Czymś, co w słońcu rzuca cień.

A nam jeszcze pozostał czas, jeszcze pozostało przemijanie, jeszcze pozostała śmierć. Tyle tylko że śmierć nie jest już bardzo wielką Panią Absurdu.

„Jesteście bowiem umarłymi i życie wasze ukryte jest z Chrystusem w Bogu.” Tak to i jest: umarłe są wszystkie pokolenia ziemi, zanurzone jest w śmierci wszelkie życie, dopóki trwa świat, który jest. Odkąd jednak nasza śmierć stała się sprawą Syna Bożego, jego życie stało się sprawą synów ludzkich, a poprzez nich — także i wszelkiego świata: bo ziemię nosimy w sobie. Zmartwychwstanie stało się ziemi, wszelkiemu życiu, wszelkiemu stworzeniu i nam także.

A jednak zostaliśmy ci sami, tacy sami. My też ryglujemy nasze drzwi. My też szukamy ucieczki w metaforę, w symbol, we mgłę. Uroczyście odmawiamy w kościołach nasze *Credo*, ale nie ma w nim ani jednego stwierdzenia, którego na swój własny, światły oczywiście sposób nie roztopilibyśmy w mglistych enigmatach. Gromko i *una voce*

skandujemy w kościele: „Bóg z Boga, światłość ze światłości, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego, (...) współistotny Ojcu” — ale to bywa oficjałka. Na elitarne ucho szepczemy sobie, albo też i pisujemy całkiem otwarcie, że to jest chyba inaczej, że człowiek Jezus sam w sobie był niczym; że on był tylko „przeźroczysty na Boga”. Albo wyklejamy pracowicie takie ładne sformułowańko: „Bóg wyraził się w sposób — w kategoriach ludzkich — doskonały w człowieku Jezusie”, a to wcale nie jest to samo. To jest całkiem coś innego. I bąkamy o „pustym grobie” — byle tylko nie więcej. Byle nie wszedł przez nasze zaryglowane drzwi. Byle nie rzekł, jak uczniom w drodze do Emaus: „o, głupi i leniwego serca”. Byle nie wysmiał naszych subtelnych dowodzeń i wielce uczonych koncepcji i zamiast metafory nie kazał podać sobie ryby i miodu.

Ale tamci z Dnia Zmartwychwstania byli przynajmniej rzetelnie szczerzy. Nie ukrywali, dlaczego ryglują drzwi. Nie ukrywali swojego lęku. Nie ukrywali swojej małej wiary. Postawieni nad pustą jamą — nie fabrykowali teologii ze swojej niemożności. A my się zgrywamy, wypinamy nasze watowane bicepsy: my światli, ekumeniczni, dialogowi, postępowi i licho wie jeszcze — jacy. I to się już stało lekko obrzydliwe.

Tamci ludzie, skoro raz dotarła do nich prawda, potrafili już mówić o niej z całym niewzruszonym spokojem:

„...my jesteśmy świadkami tego wszystkiego, co on czynił w krainie żydowskiej

i w Jerozolimie. Jego to zabili, zawiesiwszy na drzewie. Ale Bóg wskrzesił go dnia trzeciego i dozwolił mu ukazać się nie całemu ludowi, ale upatrzonym przez Boga świadkom, to jest nam, którzyśmy z nim jedli i pili po jego zmartwychwstaniu. I rozkazał nam, abyśmy głosili ludowi i świadczyli”...

Dzieje Apostolskie 5, 12—16
Objawienie św. Jana 1, 9—11a, 12—13, 17—19
Ewangelia św. Jana 20, 19—31

2 niedziela Wielkanocy

Klucze

To się stało w sam dzień Zmartwychwstania. Trwali w zamknięciu: bo tak już jest, że radość otwiera drzwi, nadzieja umie chodzić w samotności — ale lęk zbija ludzi w gromadę i rygluje drzwi. Lęk staje się łatwiejszy do zniesienia, kiedy dzieli go wielu.

I wtedy stanął pośrodku nich i powiedział: Pokój wam. Kazał oglądać swoje ręce i nogi ze śladami przebicia: iż jest ciałem, nie zaś zjawą. Kazał też podać sobie, jeśli by mieli, coś do jedzenia; a podano mu rybę i plaster miodu. Zjadł wobec nich i oddał im resztę. Dopiero wtedy uwierzyli, że naprawdę ciałem powstał z martwych. Zrozumieli Pismo: że to wszystko, co o zmartwychwstaniu mówiły Psalmy i przekazy Proroków, nie było marzeniem ubranym w poezję, przenośnię i baśń. Że także i w jego własnych oświadczeniach i zapowiedziach jest realność prawdy.

„A Tomasz, jeden z dwunastu, zwany Didymus, nie był razem z nimi, kiedy przyszedł Jezus. Powiedzieli mu tedy inni uczniowie: Widzieliśmy Pana. A on im rzekł: Jeśli nie ujrzę na rękach jego przebicia gwoźdźmi i nie włożę palca mego w miejsce gwoździ, i nie włożę ręki mojej w bok jego, nie uwierzę. A po ośmiu dniach byli znowu uczniowie jego w domu i Tomasz z nimi. Wszedł Jezus, a drzwi były zamknięte, stanął między nimi i rzekł: Pokój wam. Potem rzekł do Tomasz: Włóż tu palec swój i oglądaj ręce moje, i wyciągnij rękę twoją, i włoż w bok mój, a nie bądź niewiernym, lecz wierzącym. A odpowiadając Tomasz rzekł mu: Pan mój i Bóg mój. Rzecz mu Jezus: Uwierzyłeś dlatego, żeś mnie ujrzał, Tomaszu. Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli.”

Tak uczył ich — a i nas także — dosłownej rzeczywistości zmartwychwstania. Uczył jednak także i tego, iż nie jest ono powrotem w stary porządek rzeczy, jak powrotem było kiedyś wskrzeszenie Łazarza. Nie ukazywał im swej chwały, jak na górze Przemienienia; może nie czynił tego, aby nie naruszać w nich kruchego wciąż poczucia rzeczywistości faktu. Ale nie liczył się już z prawami starego świata i starej materii. I bywało także, że utajał się przed nimi. Gdy chciał, bywał nie poznany. Tak się przydarzyło uczniom idącym do Emaus. Tak było również i nad jeziorem Genezaret — w owej niepowtarzalnej scenie, gdy znakiem obecności była troska Nieznajomego, a potem chleb i ryba położona na węglach ogniska. Jest w tej scenie wielkie uci-

szanie. Ale także i coś onieśmielającego. Nie zapytał go nikt: Ktoś ty jest? Wiedzieli.

Jego zmartwychwstanie, jego życie, jego obecność — jest rzeczywistością o bardzo wielu twarzach. Po wielu latach apostoł Jan, starcem już będąc, spisywał to, co dane mu było ujrzeć w wizji na wyspie Patmos. I Chrystus z Janowej Apokalipsy znów jest inny. Już nie jest Nieznajomym, który u brzegu jeziora przyjaciółom swoim — iż są głodni — kładzie w ognisku rybę i podaje chleb. Tym razem nie jest nawet zachwyceniem oczu z góry Przemienienia. W Janowej wizji jest grozą.

Jan używa języka właściwego literaturze apokaliptycznej. Ale to na pewno nie jest przypadek; używa owej konwencji, gdyż najwidoczniej była ona najbliższa temu, co przeżył i doświadczył w swym widzeniu. To wszystko, o czym pisze — ów głos „jako szum wielu wód”, oczy podobne „płomieniom ognia”, twarz „jako słońce jaśniejące w mocy” i siedem gwiazd w prawicy — cóż: przecież bardzo jest trudno opisać wielką grozę. Ale to była groza. „I gdym go ujrzał, padłem do stóp jego niby martwy. A on położył na mnie prawicę swoją mówiąc: Nie lękaj się. Jam jest Pierwszy i Ostatni i Żywy. Byłem umarły, a oto jestem żyjący na wieki wieków, i mam klucze śmierci i piekła.”

Myślę, że nie na próżno Pismo gromadzi wszystkie te obrazy i zapisy. I jestem całkowicie pewny, że nie po to je gromadzi, abyśmy mieli w czym przebierać: które mile, a które nie, które sposobne do przyjęcia, któ-

re zaś możliwe do odrzucenia. Pismo nie jest placem jarmarcznym ani też magazynem mód.

A my takie przebieranie — o, lubimy. Mamy i chęci i skłonności do widzenia nazbyt cząstkowego i jednostronnego, przykrojonego i podretuszowanego. Jedni uczyniliby z Chrystusa „słodkiego nauczyciela pobożności”, inni zaś na odmianę kontestatora i rewolucjonistę czy pacyfistę; ci najświetlejsi widzą w nim dydaktyczny „wzór osobowy” do naśladowania — na miarę Sokratesa albo odkrywców bieguna południowego; zaś ci najbardziej uczeni — wzniosłą ideę kosmiczną. Jeśli już Zbawiciela, to w sensie charytatywnym: żył, umarł, zmartwychwstał, ocalał, wszystko pięknie załatwione, nie ma się już czym przejmować, od jutra będzie słońce. Są to wizje infantylne nawet nie tyle może z tego tytułu, jakoby nie było w nich ani krzty prawdy. Wzięły się one jednak z przykrawania na miarę naszych własnych doraźnych potrzeb i gustów. I dlatego są infantylne.

Bo rzeczywistość — jak należy się obawiać — jest zgoła inna.

Idzie obok nas nie poznany do Emaus, widzi i wie. I ma klucze Królestwa, śmierci i piekła.

Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli. Nie wyciągniemy ręki i nie włożymy jej w rozcięty bok. Ani palca w przebity nadgarstek. Nie będzie nas uczył swej realności i dosłowności inaczej, niż przez słowo. Ale to on ma klucze.

Jest rozpoznany i Nieznajomym, który o świecie kładzie na węglach ogniska rybę: „Dzieci, a macie co jeść?” Ale jest także i nieopisaną grozą z Janowej Apokalipsy. To także jest jego twarz, nie łudźmy się: dokładnie w tym samym stopniu prawdziwa. Gwiazdy wszechświata i los otchłani są w ręku tej grozy, w ręku Syna Bożego. On ma te klucze.

Nie patrzmy na wielowymiarowość tak, jak patrzy się na rzeczy płaskie. Jeśli rzeczywiście chcemy zbliżyć się do prawdy — przywołajmy zapisy i obrazy Księgi, zechcemy zrozumieć, że one wszystkie jednakowo są prawdziwe. Rzeczywistość Jezusa jest bowiem rzeczywistością wielu na równi prawdziwych twarzy, nie zaś jednej tylko: tej, którą wybraliśmy i poddali retuszom, aby dogadzała naszym koncepcjom.

Dzieje Apostolskie 5, 27b—32 i 40b—41

Objawienie św. Jana 5, 11—14

Ewangelia św. Jana 21, 1—19 albo 21, 1—14

3 niedziela Wielkanocy

Klucze losów

Gdy byłeś młody, układałeś sobie przyszłe koleje swego życia. I może nawet udawało ci się zamierzenia te zrealizować. Potem jednak pojawiały się elementy nieprzewidziane. Zdarzały się rzeczy niechciane.

Skończyłeś studia. Okazało się jednak, że praca w zawodzie nie daje ci zadowolenia. Realia okazały się odmienne od spodziewań. Może zmieniłeś pracę; może nawet zawód. A może nie. Ale tak czy inaczej — była to sytuacja nieprzewidziana i niechciana. Coś z tym trzeba było zrobić.

Cieszyłeś się świetnym zdrowiem. Mimo to zachorowałeś ciężko. Wyszedłeś z tego, ale wiesz, że już nigdy nie będzie z tobą, jak było. Zawsze już będziesz kwękał i cherlał. Nie możesz przywyknąć do tej sytuacji, nie chcesz się z nią pogodzić. Ale musisz. I ze zdumieniem patrzysz na reakcje bliźnich. Kiwają ze zrozumieniem głowami, ale tak naprawdę nie

rozumieją nic. Nie dziw się. Oni są zdrowi, oni nie siedzą w twojej skórze. Gdy byłeś zdrowy, reagowałeś jak oni. To jest inny świat.

Popatrz: twoim przyjaciółom małżeństwo nie wyszło. Właściwie nie wiadomo, dlaczego: oboje tacy sympatyczni. I tak się to dobrze zapowiadało, tak się kochali, tacy byli nierozłączni. Prześlizgujesz się ponad rafami w gładkiej rozmowie, bacząc pilnie, aby przypadkiem nie popełnić jakiejś niezręczności. Pilnujesz, aby stało się zadość regułom udawania, umowie przyzwoitego towarzyskiego kłamstwa. To męczące. Oni wiedzą, że ty wiesz. Ty wiesz, że oni wiedzą o tym, że ty wiesz. Jest ci głupio. Bo to jest tak, jakbyś się uśmiechał przy łóżku kogoś, o kim wiesz, że umiera — i jakbyście nawzajem udawali, że nic szczególnego się nie dzieje. Za drzwiami oddychasz z ulgą. Łapiesz się na odruchu litości. I jest ci podwójnie głupio: jakbyś kogoś znieważył.

A może to właśnie tobie się przydarzyło? Może to od twoich drzwi przyjaciele odchodzą z ulgą?

Któż by się spodziewał. Pamiętasz? — to już było bardzo dawno. Patrzyłeś wtedy na łepetynę pochyloną nad lekcjami z klasy trzeciej i myślałeś, co myślałeś. A potem wszystko ułożyło się zupełnie inaczej. Inaczej, niż chciałeś. Inaczej, niż miałeś prawo się spodziewać; bo przecież wcale nie myślałeś o rzeczach nieosiągalnych. Wiem: nikomu o tym nie mówisz, bo i po co? Kiedy jednak przerzucasz w ostatniej szufladzie biurka sta-

re swoje szpargały i rupiecie — przychodzi myśl, że właściwie twoje miejsce jest między nimi. I wiesz, że to ani neurasteniczne depresje, ani sentymenty. Tak będzie naprawdę: gdy umrzesz, wyrzucą na śmietnik nie tylko te szpargały. Ciebie też. I to, co było ci bliskie, potrzebne, swoje. Pusto. Zatrząskujesz szufladę.

...,gdy byłeś młody, przepasywałeś się i chodziłeś, dokąd chciałeś; lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce swoje, a kto inny cię przepasze i poprowadzi tam, dokąd ty nie chcesz”...

Powiedziano tak Piotrowi, gdy był jeszcze w pełni sił. A to jest równocześnie sytuacja twoja i nas wszystkich. Bo choćby nawet — co mało prawdopodobne — udało ci się przeżyć jedwabnie życie i oszczędzono ci zawodów, choćby nawet (co zgoła mało możliwe) bez niczyjej krzywdy życie słało ci się pod nogi wedle każdego zachcenia — to i tak kiedyś musi nadejść rzecz niechciana. Coś, co dotąd zdarzało się tylko innym. Starość. Niedołęstwo. Samotność. Śmierć.

Mówiłeś: los. To tak ładnie, tak melodyjnie brzmi: los człowieka. Może znaczyć bardzo wiele. Może znaczyć nic. Nie będziemy się sprzeczać o słowa. Ale może to zgoła Ktoś inny ukrywa się za grą wydarzeń na szachownicy życia? I może jest to gra o bardzo wielką stawkę? Może to jest gra nabrzmiała grozą?

My wszyscy dysponujemy tysiącnymi okazjami oszustwa. My wszyscy kieszenie mamy pełne fałszywych figur, zapasowych

panionów, podrabianych laufrów; króla i królową. Jesteśmy genialnie pomysłowi w wynajdywaniu przekonujących tłumaczeń, umotywowania, usprawiedliwień. Są mądre — tak — inteligentne, rozsądne, życiowe. Wmówimy je innym. Wmówimy je także i sobie, bo przecież bardzo szczerze chcemy uwierzyć w ich prawdziwość i rzetelność. A po drugiej stronie szachownicy nie widać nikogo. Może nikogo tam nigdy nie było? Może oszukujemy tylko ślepy los? A nad karkiem ani policjanta, ani prokuratora.

A może rzecz jest zgoła wzniosła: może stworzymy w ten sposób własną rangę, realizujemy prawdziwą wolność? Cóż może być godniejszego, niż stanowienie praw, decydowanie o dobrym i złym?

Więc: co zrobisz? Jak postąpisz? Powiedz, co teraz stanie się w tobie?

Trafiali się kibice. Mówili: nie wygłupiaj się, bądź rozsądny. Albo: że takie jest życie. Inni zaś nie mówili nic, ale zachowywali się tak, jakby twoja nieuczciwość była czymś oczywistym, mądrym i właściwym. Jakby świat był czymś oczywistym i pozbawionym podszewki i drugiego dna. Tych bałeś się najbardziej. My wszyscy boimy się śmieszności i posądzenia o uprawianie mrzonek. Jakże tu stanąć wobec mądrego świata, wobec ludzi i wydarzeń z tamtym starym, prościutkim, tak jakoś chłopsko naiwnym: „bardziej trzeba słuchać Boga, aniżeli ludzi”? To jest zbyt proste, aby mogło być łatwe.

Szukałeś może księży; nowoczesnych księży. Takich, którzy nie mówiliby ci o groź-

nym, starotestamentowym, niemodnym Bogu. Ci, do których trafiałeś, rzeczywiście tak nie mówili. Cicho, kojąco, jedwabnie mówili, że Bóg jest miłością.

Mieli rację. Ale powiem ci, co wówczas zrobiłeś z Boga. Nie oni razem ze swoimi najlepszymi intencjami, lecz ty sam. Zrobiłeś z Boga maszynkę do automatycznego wybaczenia. Mówiłeś jak umierający Heine: „Bóg mi wybaczy; to przecież jego zawód”. Niczego innego zrobić nie może. Choćby się nawet przez dziesiątki lat stwierdzało, że do niczego nie jest nam potrzebny. Choćby się Go nigdy nie wołało, nawet w nieszczęściu i samotności, nawet w śmierci. Jeśli jest, musi rzucić ci się na szyję. To jego zawód.

A to jest nieprawda.

„...A ujrzałem i posłyszałem głos wielu Aniołów wokół tronu i zwierząt i starszych, a liczba ich była tysiące tysięcy. I mówili głosem donośnym: godzien jest Baranek, który był zabity, otrzymać władzę i bóstwo, mądrość i męstwo, cześć, chwałę i błogosławieństwo.

I posłyszałem, jak wszelkie stworzenie, które jest na niebie i na ziemi, pod ziemią i w morzu i wszystko, co się w nim znajduje, jak wszystkie te stworzenia mówiły: Siedzącemu na tronie i Barankowi błogosławieństwo i cześć, chwała i potęga na wieki wieków.

A cztery żywe istoty mówiły: Amen. A dwudziestu czterech starców padło na oblicze i złożyło pokłon żyjącemu na wieki wieków.”

To jest bardzo stara żydowska pieśń o rze-

czach ostatecznych. Odrzuć z niej wszystko, co jest znamieniem jej konwencji formalnej. Tu przecież nie chodzi o słowa. Jeśli czujesz się zagubiony w tym tekście — odłóż na bok i przekaż w ręce specjalistów nawet jego symbolikę. Nawet i o to nie chodzi.

Tak naprawdę chodzi o tę jedną, ważną sprawę: że po drugiej stronie szachownicy wydarzeń siedział ukryty Ktoś, kto wprawdzie na pewno jest Miłością, ale równie na pewno jest także nieopisanym Majestatem. Jesteśmy prochem, który On ukochał aż do końca. Ale jesteśmy prochem.

Nie oszukasz Go figurkami, które chowasz w rękawie.

I nie miej złudzeń: On nie da się z siebie natrzasać.

Sam trzymasz w swoim ręku klucze swoich losów, choć nie zawsze jesteś winien swoim klęskom — podobnie, jak i sukcesy nie zawsze są twoją zasługą.

Bywa, że człowiekowi zostaje w ręku już tylko klucz ostatni. Bardzo proste i bardzo pokorne słowo: wróciłem.

Dzieje Apostolskie 13, 14 i 43—52
Objawienie św. Jana 7, 9 i 14—17
Ewangelia św. Jana 10, 27—30

4 niedziela Wielkanocy

Który zbiera

W jednym z polskich seminariów duchownych wprowadzono tytułem eksperymentu zwyczaj przerywania studiów na rok; w ciągu tego roku alumni podejmują zwykłą pracę zarobkową jako ludzie świeccy.

Eksperyment ten przyniósł owoce ze wszech miar dobre. Młodzi chłopcy mają okazję do praktycznej — bardzo praktycznej — weryfikacji swego powołania. Mają też okazję skonfrontowania swoich seminaryjnych wyobrażeń z konkretem życia, które ich otacza z zewnątrz, poza otoczką służby kościelnej. I ta konfrontacja także jest zbawienna.

Widzieli wypełnione kościoły, słyszeli gromki śpiew i nie mniej gromkie recytacje wedle nowego posoborowego rytuału. Wszystkie dawne obyczaje kościelne są w tamtych stronach pielęgnowane i twardo zachowywane; wszelkie nowe obyczaje i reformy przyjmowane w sposób zdyscyplinowany. Społeczny

status księdza zmienił się tu niewiele. Ofiara na tacę sypie się gęsto. Mówiło się: „nasz wierny katolicki lud”...

Na rok poszli w ów lud, pozbawieni wyodrębniającego znaku kleryckiej koloratki. Ale bardzo niedługo udawało się im zachować *incognito*. „Nie umieli żyć.” Nie chcieli podkładać i kłamać, nie chcieli pić, nie chcieli robić szacherek, nie umieli wchodzić w kliki i kliczki ani kopać dołków, ani korzystać z łatwych okazji. Z reguły już przed upływem tygodnia mówiono im podejrzliwie: „eee, toś ty wariat czy ksiądz?”

Wtedy zrozumieli, że obraz, który wynieśli z tłumnych kościołów, był co najmniej niezupełny, jeśli już zgoła nie całkiem prawdziwy. Zrozumieli, że może istnieć rozdział, o którym dotychczasowe kleryckie doświadczenie nie mówiło nic. Ludzie, wśród których pracowali — byli najczęściej tymi samymi ludźmi, którzy w niedzielny poranek recytowali gromko teksty liturgiczne. Teraz zaś z grzecznym, nieco sceptycznym uśmiechem słuchali kleryckich przedłożeń. Mówili wprost: „Kościół jest kościół, życie to jest życie”. Jedno swoją drogą, drugie swoją drogą. Osobno.

To nie była rzecz do gorszenia się. Jednakże mieli o czym rozmyślać. Bywało im ciężko. Kiedy zaś po roku przywdziali z powrotem koloratki — nie mieli już tych samych co dawniej, łatwych wyobrażeń. Już nie mówili: „nasz wierny katolicki lud”. Już nie mówili: „ci inni”.

Już wiedzieli — namacalnie, dowodnie,

dziś — że naprawdę nie starcza owo „Panie, Panie”. Choćby nawet było mówione wedle wszelkich wymogów i przepisów nowej liturgii. Po polsku. Nie po łacinie. Twarzą do ludu i twarzą do księdza.

„Wam przede wszystkim miało być głoszone słowo Boże, ale że je odrzucacie (...), oto zwracamy się do pogan. Tak bowiem nakazał nam Pan: Ustanowiłem cię światłością dla pogan, abys był ku zbawieniu aż po krańce ziemi.”

Kiedys dawno, w czasach apostoelskich, to preadresowanie ewangelicznego posłania musiało wzburzać i gorszyć tych wszystkich, którym się zdawało, że głośnym werbalnym wyznaniem kupili zbawienie raz na zawsze, utwierdziwszy je rygorem obyczaju świętecznego. Byli zdumieni i zaskoczeni, gdy mówiono im twardo: „odrzucacie słowo Boże”. Wydawało się im, że jest to niesprawiedliwe posądzenie. Bo czyż nie wysłuchiwali grzecznie i cierpliwie owego słowa? Czy nie zachowywali przepisów wyznaniowych? Czyż nie wierzyli? Nie akceptowali? Nie wspomagali grosiwem? Jakże więc można ofiarowywać poganom rzeczy, które winny być zastrzeżone ludowi wybranemu? Czymże w takim razie jest lud wybrany? Czyżby był czymś więcej, niż formalną grupą religijno-wyznaniową? Czyżby miał być czymś innym?

Stało się wedle przepowiedni ewangelicznej: kamień na kamieniu nie pozostał ze świątyni jerozolimskiej, zastygły bramy Synagogi, przyszli poganie ze wschodu i zachodu, północy i południa, zajęli w Kościele

miejsce prawowiernych. To oni stali się ludem wybranym.

...,„ujrzałem rzeszę wielką, której nikt nie mógł zliczyć, ze wszystkich narodów i pokoleń, ludów i języków...”

„A nie zginą na wieki, ani ich nikt nie wyrwie z ręki mojej.”

Tak było, tak jest, tak będzie. Albowiem poganie ze wschodu i zachodu, północy i południa, ze wszystkich narodów i pokoleń stali się prawdziwie światłem dla tych, którzy Boga nie znali.

Trzeba uważać. Trzeba bardzo uważać, gdyż przepowiadanie ewangeliczne dzieje się także i dziś. Powiedziano o Bogu dziwne słowa: że zbiera, kędy nie zasiano. Na każdym miejscu obudzić się mogą wybrani Boży; także i pośród kamieni. Z czterech krańców ziemi przychodzić będą, którzy Boga nie znali; a dadzą Mu świadectwo czynkami, nie mową, i staną się światłem ku zbawieniu świata. My zaś możemy pozostać z naszymi śpiewami i recytacjami, obrzędami, sprawozdaniami, pełną tacą, odnowioną liturgią — puścić i nikomu niepotrzebni.

5 niedziela Wielkanocy

Proch ziemi

„I ujrzałem nowe niebo i nową ziemię. Albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły. (...)

(...) I usłyszałem z tronu głos donośny mówiący: Oto przybytek Boga z ludźmi i zamieszka z nimi. Oni będą ludem jego, a sam Bóg z nimi będzie ich Bogiem. I otrze Bóg wszelką łzę z oczu ich, a śmierci już nie będzie ani smutku, ani wołania, ani bólu już nie będzie, bo dawne rzeczy przeminęły. I rzekł ten, który siedział na tronie: Oto wszystko nowym czynię.”

Wielu nie jest w stanie uwierzyć. I mówią niektórzy: oto jeszcze jedna wielka ludzka legenda o miłości silniejszej niż śmierć. Zaś inni: oto jeszcze jedno łatwe pocieszenie słabym.

Dziwne. Dlaczego nie mówi się, że nasz człowieczy żywot pod niebem z gwiazd, z pięcioma zmysłami pod rękę, jest łatwym pocie-

szeniem po niebycie, z któregośmy wyszli? Albo dlaczego suponuje się, że odnowienie świata jest rzeczą bardziej nieprawdopodobnie cudowną, aniżeli jego aktualne i tak bardzo dotykalne istnienie? Wiele jest rzeczy możliwych do pomyślenia, które mogłyby istnieć, lecz nie istnieją. Wiele także i takich, które są, choć równie dobrze mogłoby ich nie być. To cudowne, że są. Jednakże tkwiąc nieustannie w cudzie stawania się i istnienia, przywykliśmy doń tak dalece, że przestaliśmy go zauważać: zblazowane dzieci wywołane z nicości. Panie, Ty wiesz: tak trudno rybie uwierzyć, że woda naprawdę jest mokra. Bo i jak, skoro nie zaznała niczego, co suche? Więc wybacz, Panie, niedowiarkom.

Trudno jest zauważyć ślad na piasku, jeśli śladem jest każde z krzemionkowych ziaren. Cokolwiek istnieje — jest, ponieważ Ty jesteś; i właśnie z tej przyczyny jesteś nieuchwytny. Dobrześ się ukrył, Panie spoza wszechświata; i prawdziwie mamy prawo mówić „wierzę”, nie zaś „wiem”. Tak dobrześ się ukrył, że nawet poniektórzy wyznawcy mogą bezpiecznie zakrzyknąć: „Patrzcie no! Bóg umarł, ponieważ nie mamy już świadomości, że żyje!” I szybko napisać kolejną dysertację doktorską.

Człek nie wie, że ma oczy, dopóki nie poczuje piasku pod powiekami. Nie wie, że ma serce, dopóki nie zabije mu mocniej albo nie zatrzyma się w ułamkowym skurczu bólu w połowie drogi. Nie wie, że ma nogi, dopóki mu same o tym nie przypomną. Nie wie, że świat...

Na każdego przychodzi czas poznania, czas przypomnienia. „Każesz człowiekowi powrócić do prochu i mówisz: — powróćcie, synowie człowieczy. Albowiem tysiąc lat w Twoich oczach jest jak dzień wczorajszy albo jak straż nocna. Unosisz ich jak wodę i stają się podobni porannym snom — trawie, która się zieleni; o poranku zieleni się i rośnie, a wieczorem więdnie i usycha.” Taka, a nie inna jest prawda i dobrze ją podpatrzył Psalmista. Prawda piasku pod powiekami, prawda zmęczonych stóp i ustających serc człowieczych, prawda przemijania.

I taka jest prawda świata. Wielkiego i wspaniałego, po stokroć cudownego i dobrego świata, Bożego świata. Świata straszego i bolesnego, przeżartego jak rakiem wielką tajemnicą zła. Świata splugawionego także i przez śmierć.

Prawda świata, który trwa i przemienie, ale który nie może już być ten sam po ciszy Wielkiej Nocy: ponieważ w przemienionym ciele Zmartwychwstałego odnowiony został skrycie w przyszłą niewyobrażalną wielkość także i proch ziemi.

Prawda człowieka, który wraca do ziemi, ale nie jest już ten sam: stało się bowiem jawne, że nie jest wszechmocne zło i krucha jest śmierć.

Panie, cóż uczynisz ze światem? Nie wiemy, Ty wiesz: może nieznośnie ciche świństwa, oślizłe ludzkie szalbierstwa, błysk noża, płomienie pożarów, cień stryczka, cuchnący dym krematoriów wyżej sięgają, niż wieże gotyckich katedr i bohaterstwo zwy-

czajnych i modlitwy świętych Twoich? Oddałeś ziemię człowiekowi, aby czynił ją sobie poddaną; cóż uczynisz z ziemią splugawioną człowiekiem?

Nie wiemy, Ty wiesz: ile ludzkiego wolań i skamieniałego milczenia, ile niewiadomych smutków i bied, ile niewidzialnego opuszczenia i krzywd, skrytego bólu, niewyżnanego głodu. Cóż uczynisz ze światem, odkupionym także i niedolą błogosławionych Twoich?

Co uczynisz z kalekimi rękami małych dzieci, zaślinionymi wargami niedołączonych, zmaconymi źrenicami obłąkanych — ze wszystkim złem, które zdaje się absurdem? Podnoszą Ci je przed oczy, jak hostię nigdy nie przemienioną. Przebacz niedowiarkom. Ich także boli świat.

Cóż z nim uczynisz, kiedy dojrzeje krawędź przemijania i nadejdzie Dzień Twojego Słowa?

Dzieje Apostolskie 15, 1—2 i 22—29
Objawienie św. Jana 21, 10—14 i 22—23
Ewangelia św. Jana 14, 23—29

6 niedziela Wielkanocy

Jądro uciszenia

To wielka i dobra rzecz: gdy człowiek umie się cieszyć. Ale niedobrze, gdy staje się cały radością. Niedobrze, gdy staje się cały smutkiem albo rozpaczą. Bo to jest tak, jakby był liściem, który wiatr miecie.

A człowiek powinien być jak drzewo.

Napisał nie całkiem dawno człek mądry, mnich prawosławny, tak:

„Tylko cisza zapładnia słowa. (...) Czyni z człowieka drzewo spokoju, drzewo u brzegu rwących wód. Masakrowano drzewa. Mówiono, że niczemu nie służą — aż okazało się, że tam, gdzie ich nie ma, ziemia przestaje być żywicielką. Naszym czasom potrzeba ludzi jak drzewa. Trzeba im uciszonego spokoju. Wszyscy ciągną do człowieka, przy którym czują się prawdziwi”.

To prawda. W drzewach jest mądrość. Najbardziej szalona wiosna nie sprawi, aby

spękana kora nie uchowała uciszzonej pamięci ogołocenia. Kiedy zaś nadejdzie zły czas — miotłom z patyków podobne chowają w sobie cierpliwy spokój oczekiwania. Człowiek powinien być jak drzewo.

Życie przynosi dobro, życie niesie zło. Jest czas nadziei i czas utraty, czas ufności i czas upokorzenia, czas triumfu i czas klęski, czas rozrzutności i czas zmęczenia, czas dawania i czas pustych rąk. Nie ma na świecie siły, która uchroniłaby człowieka przed dobrem. Nie ma na świecie mocy, która wyrwałaby go z jego losu człowieczego i zawsze osłoniła przed złem. Taki jest porządek rzeczy.

Ale pod najbardziej burzliwą radością — taką nawet, która świat przesłania — dobrze, jeśli jest w człowieku miejsce nienaruszone. Dobrze, jeśli jest w człowieku nie nazwana strefa ciszenia także i w czas smutku, czas ogołocenia. Ten pokój radości nie zgasi, smutku nie przekreśli. Ale trzeba, aby był. Niewidoczny i nienaruszalny. Niedobrze, gdy cały człowiek staje się smutkiem. Niedobrze, gdy radość nie pozostawi w człowieku ni skrawka; gdy nie wtopi się w uciszony pokój. Bo potem przyjdzie lęk oderwania i zagubienia. Lęk liścia miotanego wiatrem.

„Pokój mój zostawiam wam, pokój mój daję wam; nie jako daje świat, ja wam daję. Niech się nie trwoży serce wasze ani się nie lęka.”

Nie: nie było żadnych cudów do oglądania. Wszystko zostało, jak było. Życie przechodziło nad pokoleniami: czas ludzkich

trosk, radości i dramatów. I tylko w tych, którzy zechcieli przyjąć, był tamten pokój. Mądry pokój wkorzenionych drzew, przyjaznych ludziom. Ukryta najgłębiej nie naruszona niczym strefa uciszenia.

Pracowali na życie. Kuszeni po wielekroć, potrafili patrzeć sceptycznie na fajerwerki kolorowych słów, których nigdy nie brakło. Czynili dobrze najprościej, zmęczeniu na przekór. Nie wstydzili się prawdy i fałszu nie ubierali w pozory: byli prawdziwi. Prości jak chleb, potrzebni jak chleb. Jeśli już konieczne przychodziło być odważnym, to bardzo po ludzku: z oporami, dławiąc strach. Jeśli upadali pod brzemieniem zbyt wielkim, to także po ludzku: cieniawie powstając. Jeśli bywali wierni, to nie bardziej, niż Piotr. Tak: grzeszyli i zapierali się po trzykroć w ciągu jednej nocy. A potem płakali w skrytości. Mogli tańczyć bez pamięci, jak Dawid przed arką przymierza miotany radością: u spodu był pokój wkorzenienia. Mogli także prawować się z Bogiem ciężką krzywdą Hioba; gdy ucichł warkot słów nazbyt wielu, zostawało mądre uciszenie. Nie zabrał ich nikt ze świata, bo i po co? I naprawdę nie było żadnych cudów do oglądania. Była rzecz bardzo prosta i bardzo nie do wiary — pokój ludzi, trzymany ręką Boga.

Jeśli taka droga pisana człowiekowi, niech nie będzie miejsca na ziemi, które mógłby nazwać domem. Jeśli taka natura mu dana, niech się włóczy jak przelotny ptak. Kanwa dalekich dróg człowieczych nie tylko dla nas pisana. Może i tacy są potrzebni?

A ziemię i tak człowiek dźwiga w sobie,
cały świat; trzeba, aby był także jak drze-
wo — wkopany w tę ziemię.

„Pokój mój daję wam, pokój zostawiam
wam.”

Jeśli chcesz, weź.

Dzieje Apostolskie 7, 55—59

Objawienie św. Jana 22, 12—14, 16—17 i 20

Ewangelia św. Jana 17, 20—26

7 niedziela Wielkanocy

Dłoń Boga

Prawdziwym sceptykiem wcale nie jest ten, kto wątpi we wszystko. Jest nim raczej człowiek, który dopuszcza realność także i rzeczy w swoim mniemaniu niemożliwych; tych, w które nie wierzy. Znaczy to bowiem, że zapatruje się sceptycznie także i na swoje własne wątpliwości oraz przekonania. Ten, o którym opowiadają Dzieje Apostolskie, wielki Gamaliel — był prawdziwym sceptykiem. Był nie tylko uczony. Był także mądry. I dlatego obronił Piotra i jego towarzyszy, gdy chciano ich zgładzić za wyznawanie i nauczanie wiary w Zmartwychwstałego. Gamaliel, jak wolno sądzić, nie wierzył w ich naukę. Powiedział jednak: zostawcie nazarejczyków w spokoju. Jeśli ich sprawa od ludzi wyszła, pójdzie w niwecz także i bez waszej interwencji, zwykłą koleją ludzkich spraw. Jeśli jednak jest z Boga, wy jej nie zniszczycie, zabijając wyznawców, a tylko okaże

się, że walczycie z Bogiem. Tak, Gamaliel naprawdę był sceptykiem: wiedział i dopuszczał, że może być prawdą od Boga coś, co jemu samemu, Gamalielowi, wydaje się niemożliwe.

Tym razem jednak zabrakło Gamaliela. A może nie chciano już słuchać jego głosu? Ze Szczepanem więc stało się tak:

(...) „I rzekł: oto widzę niebiosą otwarte i Syna Człowieczego stojącego po prawicy Bożej. A krzyżąc głosem wielkim zatkali sobie uszy i wszyscy razem rzucili się na niego. I wyrzuciwszy go z miasta kamienowali, a świadkowie złożyli szaty swoje u stóp młodzieńca zwanego Szawłem”.

Dziś już raczej nikogo się nie kamieniuje. Kultura współżycia wyszlachetniała, jak wiadomo, znacznie. Oburzenie aż tak pełne pasji jest ogromnie fatygujące i nie przynosi żadnych profitów; trudno je więc pojąć ludziom, których tolerancja wynika głównie ze zobowiązania. Widoczny we wszystkich dziedzinach postęp pozwolił zresztą na wynalezienie o wiele bardziej dyskretnych metod eliminacji ludzi, w związku z czym z usprawiedliwioną niechęcią i odrazą patrzymy na barbarzyńskie i rozwrzeszczane praktyki starożytności. No i wreszcie komuż — jak Szczepanowi — wpadłoby do głowy, aby przed gromadą rozjątrzonych mężczyzn reprezentujących bądź co bądź władzę przekraczać granice osobistego bezpieczeństwa?

Ludziom tak pracowicie zajęтым kamienowaniem człowieka nierozsądnego musiało snadź być ciepło, skoro zrzucili wierzchnie

odzienie. Pilnował owych szat bardzo zdolny i obiecujący młody człowiek ze szkół rabinackich, Saul *vel* Szaweł. Ten Szaweł miał potem w służbie Świątyni spełniać zadania i funkcje o wiele bardziej odpowiedzialne: śledził i porywał z domów ludzi na więzienie i śmierć. Był kimś w rodzaju uczonego, ideowego i gorliwego oberpolicjanta. Czynił to z przekonania, mniemając, że służy Bogu. Aż któregoś dnia stało się coś takiego, że zawrócił. I poszedł drogą ukamienowanego Szczepana. Dziwna historia.

Nie minęło tak znów wiele lat, kiedy na mocy wyroku cesarskiego ścięto obywatela rzymskiego Pawła z Tarsu: tego samego który kiedyś asystował przy egzekucji Szczepana. Nie był już nadzieją uczonych kół rabinackich. Był teraz starym, zmęczonym człowiekiem. Był ponadto Apostołem Narodów. Dziwnie czasem ciskał Bóg ludzi w ręce Syna.

(...) „Ojcie sprawiedliwy, świat cię nie poznał. Ale ja cię poznałem, a i oni poznali, żeś Ty mnie posłał. (...)

Ojcie, chcę, aby i ci, których mi dałeś, byli ze mną tam, gdzie ja jestem, aby oglądali chwałę moją, jaką mi dałeś, boś Ty mnie umiłował przed stworzeniem świata. (...)

A nie tylko za nimi proszę, ale i za tymi, którzy dla ich słowa uwierzą we mnie.” (...)

Mówione to jest w wielkim, bliskim ucieszeniu, bardzo po ludzku.

„A chwałę, którą mi dałeś, przekazałem im, aby byli jedno.”

Chwałę „Syna Człowieczego, stojącego po

prawicy Bożej”, jak widział go w uniesieniu Szczepan? Tę właśnie chwałę — wyznawcom? Ludziom?

Padną potem w Objawieniu św. Jana słowa inne jeszcze. Wielkie, ogromne ponad galaktykami i czasem, przygniatające:

„Jam jest Alfa i Omega, pierwszy i ostatni, początek i koniec”.

Nie można się dziwić zagubieniu wielu wyznawców, rozpiętych pomiędzy ziemią i niebem. To się zaczęło już w pierwszych latach Kościoła i trwa do dziś. Byli i są, którym bliski jest człowiek imieniem Jezus. Wielki, może nawet najszlachetniejszy z ludzi, ale tylko człowiek. Nie są w stanie przyjąć na serio i dosłownie Jego bóstwa. Szukają wyjścia i redagują enigmatyczne formuły w niedopowiedzianym zamiarze „pogodzenia” Ewangelii z własnymi umniejszonymi wymogami i przekonaniem. Są też inni, porzucający cichaczem realne człowieczeństwo Jezusa. Pozostaje w końcu już nawet nie ogromny Janowy Alfa i Omega; jedynym, którego mogą zaakceptować, jest dla nich całkowicie abstrakcyjny Jezus — idea kosmiczna.

Chrześcijański Jezus jest jednak zawstydzająco katechizmowy, bardzo prosty i całkowicie niepojęty: prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek. I trzeba pozostać w rozpięciu pomiędzy niebem i ziemią także za cenę pokory, nie uciekając nigdzie, w żadne przytulniejsze i łatwiejsze formułki. Syn Boży jest taki, jaki jest — nie zaś taki, jakim chcieliby Go mieć „do przyjęcia” wedle wymiennych formułek zmęczeni mędrcy.

Ostateczne rzeczy człowieka mogą być bardzo wielkie. Mogą być chwałą niewyobrażalną; mogą być nawet chwałą Zmartwychwstałego „po prawicy Ojca”. Jednakże wiemy, że w chwałę swoją wprowadzi ludzi żywa i dotykalna dłoń Syna Bożego, dłoń najprawdziwiej człowiecza. I będzie to dłoń Boga.

Chyba dlatego właśnie warto być nierozsądnym bodaj w sytuacjach granicznych. Nawet tak nierozsądnym, jak Szczepan.

Niedziela Zesłania Ducha św.

Tenże Duch

..., „A gdy nadeszły dni Pięćdziesiątnicy, byli wszyscy razem na tym samym miejscu. I stał się z nagle z nieba szum jakby nadchodzącego wichru gwałtownego i napełnił cały dom, gdzie siedzieli. I ukazały się im rozdzielone języki na kształt ognia i spoczął na każdym jeden z nich. I wszyscy napełnieni byli Duchem Świętym, i poczęli mówić różnymi językami, jako im Duch Święty mówić dawał. A przebywali w Jerozolimie Żydzi, ludzie nabożni ze wszystkich narodów, jakie są pod niebem. Gdy tedy rozległ się ten szum, zbiegło się mnóstwo ludzi i osłupieli, bo każdy posłyszał ich mówiących swoim językiem. Toteż zdumiewali się wszyscy i mówili zdziwieni: Czyż ci wszyscy, którzy mówią, nie są Galilejczykami? Jakże więc słyszymy, i to każdy z nas, swój własny język, w którym się urodziliśmy? Partowie i Medowie, Elamici i mieszkańcy Mezopota-

mii, Judei i Kappadocji, Pontu i Azji, Frygii i Pamfilii, Egiptu i ziem libijskich leżących koło Cyreny, i przybysze z Rzymu, Żydzi też i prozelici, Kreteńczycy i Arabowie — słyszeliśmy ich mówiących w naszych własnych językach o wielkich sprawach Bożych.”

Rzecz zdumiewała. Niektórzy zaś śmiali się, mówiąc: opili się młodym winem. I Piotr chyba nie musiał się oburzać, bronić i argumentować, słysząc to. Nie musiało być bowiem nic obraźliwego w tym posądzeniu. Czy działanie Ducha Świętego — choćby i było jawnie cudowne — musi być działaniem z rodzaju solennych? Czy nie wolno Poczieszycielowi porywać ludzi, jak wino? Czy jego obecność nie może oszalać?

Od owego dnia minęło bardzo wiele dziesiątków lat i Pismo, opowiadające o wielkich sprawach Bożych, przetłumaczono na wszelkie możliwe języki ziemi, aby mogło być przepowiadane wszystkim. A jednak pomimo to wciąż od nowa potrzebny jest cud Zesłania. Wciąż od nowa potrzebne jest to samo zdumienie — może tylko nieco inaczej zanotowane. Ot, może na przykład tak:

...,Zbiegło się mnóstwo ludzi i osłupieli, bo każdy posłyszał ich mówiących swoim językiem. Pytali więc w zdumieniu: czy ci wszyscy, którzy mówią, nie są wyznawcami i sługami Kościoła? Jakże więc dzieje się, że każdy z nas słyszy zrozumiałe słowa? Wychowankowie i adepci rozlicznych dyscyplin wiedzy humanistycznej, robotnicy, rzemieślnicy i sprzedawcy, technicy, fizycy i chemicy, inżynierowie, matematycy i logicy, ekonomicy

ści i specjaliści od spraw gospodarczych, na koniec zaś całkiem zwyczajni ludzie — my wszyscy, którym tak trudno zrozumieć się wzajemnie, gdyż te same słowa miewają dla nas odmienny zgoła sens i coraz więcej jest słów, których nie pojmujemy — oto słyszymy ich mówiących dla każdego zrozumiale o wielkich sprawach Bożych. Zdumiewają się tedy i w podziwie mówią jeden do drugiego: cóż to ma znaczyć?”

Tego zdumienia nikt oczywiście w tej formie nie zanotował. Ale tak bywa dziś. Może nie za często, ale jednak na szczęście bywa. Jeśli nie wszędzie — cóż: trzeba wówczas prosić o zesłanie Ducha Świętego. Prosić cierpliwie razem z Apostołami. Prosić zwyczajnie i pokornie — pamiętając, że tego wielkiego i zaiste cudownego daru nie zastąpi ani urząd, ani wiedza przypieczętowana tytułami, ani nawet sama tyłko pobożność, choćby i najprawdziwsza; bo przecież i Apostołowie byli pobożni przed dniem Zesłania. A tym bardziej daru tego nie zastąpi sam tyłko ornamentalny kunszt słowa. Już zaś najmniej — własnoręcznie upichcone solenne namaszczenie.

Na szczęście nie każdy ma obowiązek mówienia. I nawet nigdzie nie jest powiedziane, jakoby ów obowiązek i przywilej mówienia miał być czymś specjalnym, godnym zazdrości i wywyższenia.

...,Są różne dary łaski, lecz tenże Duch. I różne są rodzaje posług, lecz tenże Pan. I różne są rodzaje działania, lecz tenże Bóg, który sprawia wszystko we wszystkich.

A każdemu dostaje się objaw Ducha dla ogólnego pożytku.”

Kto tedy filozofuje, niechże to czyni dla pożytku ludzkiego, bacząc pilnie, aby snadź nie zgłupiał z mądrości swojej. A niechże też nie utrzymuje, że z przyczyny nadzwyczajnej głębi mroczne i ciemne muszą być słowa. Gdyż nie muszą. Jako pisał Apostoł: „Bo przecież nawet przedmioty martwe dźwięk wydające, jak flet albo cytra, gdyby nie wydawały tonów wyraźnych, skądże będzie wiadomo, co się nuci na flecie albo na cytrze? (...) Tak i wy, jeśli językiem w rozumiały sposób nie przemówicie, jakże kto zrozumie, co się mówi? Na wiatr mówić będziecie. Wszakże tyle jest na świecie języków rozmaitych, a nie masz żadnego bez słów. Jeśli tedy nie będę wiedział, co znaczy słowo dla tego, do którego przemawiam, będę barbarzyńcą”.

A kto naucza, niech nie będzie wrogiem nauczanych. Kto leczy — niech sprawuje swą służbę sumiennie, a także z pamięcią, że najciekawszy nawet przypadek nie przestaje być żywym człowiekiem. Kto buduje most albo dom, niech to czyni ku słusznej pochvale ludzkiej. Kto jest badaczem — niechże nim będzie bez zarozumiałości; kto zaś korzysta z wyników cudzych badań, niech ich nie lekceważy w mniemaniu, że nic nie kosztowały. A niemądre jest wywyższanie się i dziecinna licytacja pozycji. Boć rzetelność ma równą wagę w myśleniu, jak i w pracy rąk, zaś dobry but może być stokroć więcej wart, niż kiepska literatura.

„Różne są dary łaski, lecz tenże Duch.”
Niech będzie uwielbiony za wszelkie dobre
ludzkie działanie. Niech będzie uwielbiony za
myśl i za sprawność rąk, i za najprostszą
uczciwość serca, za wszelką użyteczność i za
wszelkie talenty — Ten, który sprawia wszyst-
ko we wszystkich. Niech będzie uwielbiony.

Księga Przypowieści 8, 22—31
List do Rzymian 5, 1—5
Ewangelia św. Jana 16, 12—15

Uroczystość Trójcy Świętej

Mądrość Boża

„Pan mnie posiadał na początku dróg swoich, pierwiej niżli co uczynił od początku. Od wieku jestem ustanowiona, od dawna, pierwiej niżli się ziemia stała. Jeszcze nie było głębin, a ja już poczęta byłam; jeszcze źródła wód nie wytrysnęły, jeszcze góry swym ciężkim ogromem nie stanęły — przed pagórkami jam się rodziła; jeszcze był ziemi nie uczynił ani rzek, ani zawiasów okręgu ziemi. Gdy gotował niebiosa, byłam przy tym; gdy według dokładnego prawa kołem otaczał głębin, gdy niebiosa utwierdzał w górze i ważył źródła wód, gdy zakładał morzu granice jego i ustawę dawał wodom, aby nie przestępowały granic swoich; kiedy zawieszał fundamenty ziemi. Z Nim byłam wszystko urządzając i rozkoszowałam się każdego dnia, igrając na okręgu ziemi. A rozkoszą moją być z synami człowieczymi.”

Jest to urywek rozdziału ósmego Księgi

Przypowieści — i może nie całkiem dobrze się stało, że tylko ten fragment przewidziano do czytania na uroczystość Trójcy Świętej. Jest to bowiem bardzo wielki i bardzo piękny tekst; tekst z rodzaju tych, których nie można kawałkować bez szkody.

Tak przemawia w Starym Testamencie Mądrość Boża. Przedwieczna, nieopisanie ogromna ponad wszechświatem. A równocześnie ta sama, która mówi „przy drodze, pośrodku dróg stojąc, przy bramach miejskich i w samych drzwiach”. Prawdziwie wszechobecna. Bo usłyszemy także i to: „moja jest rada i prawość, moja jest roztropność, moje jest męstwo”. Także i to, że „rozkoszą moją być z synami człowieczymi” — „a którzy rano wstają do mnie, znajdą mnie”. Przed chwilą zaś słyszeliśmy: „gdy gotowałam niebiosy, byłam przy tym”...

Są ludzie, którym trudno jest uwierzyć w osobowego Boga. Jest coś z paradoksu w fakcie, że niejednokrotnie ci sami ludzie bez oporów i trudności kontemplują Mądrość Bożą.

„Życie wydawałoby mi się puste (...), gdyby nie pociąg do tego, co jest wiekuiście nieosiągalne w dziedzinie sztuki i dociekań naukowych” — pisał Albert Einstein. „Tajemnica jest najpiękniejszym naszym przeżyciem. Stanowi ona zasadnicze odczucie, które towarzyszy prawdziwej sztuce i wiedzy od samego ich zarania. Kto nie zna tego uczucia i nie umie się już dziwić, kto nie potrafi się już zdobyć na zdumienie, tego muszę uznać za martwego, ponieważ oko jego zga-

sło. (...) Świadomość istnienia czegoś dla nas niedocieczonego, owego objawienia najgłębszej mądrości i olśniewającego piękna, dostępnego dla naszego umysłu jedynie w swym najpierwotniejszym kształcie (...) stanowi o prawdziwej religijności." A potem: „Religijność badacza polega na ekstatycznym podziwie, jaki wywołuje harmonijność i prawidłowość wszechświata, w którym objawia się wyższa mądrość, sprowadzająca wszelkie rozumne myśli i urządzenia ludzkie do poziomu znikomego swego odbłasku". Tak pisał Albert Einstein — i w tych stwierdzeniach bez trudu odnaleźć można nuty współbrzmiające z cytowanym wyżej tekstem biblijnym.

Ale Biblia jest nieopisanie większa od intuicji genialnego fizyka. I nieco inaczej patrzy na rzeczy. Opisuje wielkie sprawy królów i prawodawców, sprawy ludzi dyktujących historię — a zaraz obok dzieje dziewczyny moabickiej, Ruth. I te ostatnie wcale nie są mniej ważne. Są po prostu faktem tej samej rzeczywistości, ani o cal mniejszym. Biblijnemu Tobiaszowi towarzyszą anioł i pies. Anioł opowiadać będzie bardzo wielkie sprawy Przedwiecznego, ale zanim się to stanie, „przybiegł naprzód pies, który był z nim w drodze i jakby poseł przyszedłszy, cieszył się, kręcąc ogonem"... Biblia nie widzi w tym zestawieniu niczego szokującego; po prostu opisuje pewną rzeczywistość.

Biblijna Mądrość Boża jest tą samą Mądrością, przed którą w kontemplacyjnym zachwycie korzył się wielki umysł Einsteina; jednakże rozumne myśli ludzkie nie są jej

„znikomym odbłaskiem”, jak suponował. Ona sama jest w nich.

Groza biblijnego tekstu o Mądrości Bożej nie tkwi w owych stwierdzeniach, opisujących rzeczywistość narodzin wszechświata — owego gotowania niebios, owego ustanawiania zawiasów okręgu ziemi. Groza wstaje dopiero wówczas, gdy ta sama przeraźliwa wielkość staje „w samych drzwiach” i mówi: „Głos mój do synów człowieczych. (...) Słuchajcie, bo o wielkich sprawach mówić będę. (...) Ja, Mądrość, mieszkam w radzie i w myślach rozumnych przebywam”. Tak: wtedy wstaje groza. Bo to jest tak, jakby w czerepie ludzkim, który przecież także zamieni się w proch — wstało coś większego, niż wszechświat. To jest tak, jakby Bóg dotknął ręki człowieczej. „Pychę i hardością, i drogą złą, i usty stujężycznymi brzydzę się. Moja jest rada i prawość, moja jest roztropność, moje jest męstwo.” A to jest tak, jakby prawa prostota ludzkiego serca przesłoniła kosmos. I dopiero wtedy wstaje groza. O ileż łatwiej, o ileż lżej znieść einsteinowską supozycję o „znikomym odbłasku” — anizeli to spokojne stwierdzenie: to ja sama, Mądrość Boża, przebywam w myślach rozumnych. To ja sama, Mądrość Boża, jestem w prawości ludzkiego serca. Ja, która byłam przed początkiem. Ja, która wypełniam wszechświat. „A rozkoszą moją być z synami ludzkimi.” Trzeba bardzo wielkiej i prostej pokory, aby zrozumiałwszy — znieść to. Gdyż te słowa wałą się na stworzenie wielkim ciężarem świętości Boga.

Mówił Jezus: „Wiele jeszcze mam wam powiedzieć, ale teraz znieść nie możecie. Lecz gdy przyjdzie ów Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy. Bo nie od siebie mówić będzie, ale cokolwiek usłyszy, powie, i co ma nadejść, oznajmi wam. On mnie uwielbi, bo z mego weźmie, a wam oznajmi. Wszystko, co ma Ojciec, moim jest”.

To mogą być rzeczy wielkie i trudne. To mogą być rzeczy zaskakujące — jak owa przedwieczna Mądrość, napotkana po drodze albo niespodzianie stająca w drzwiach. To mogą być także rzeczy pełne ukrytej grozy. I trzeba je będzie znieść w prostocie.

2 Księga Samuela 12, 7—10 i 13
List do Galatów 2, 16 i 19—21
Ewangelia św. Łukasza 7, 36—8, 3 albo 7, 36—50

Niedziela 11 per annum

Żal

Dwie historie ludzi grzesznych:

Starotestamentowa historia króla Dawida, który, ogarnięty pożądaniem, wysyła na śmierć męża swej kochanki, aby nikt już nie mógł stanąć pomiędzy nim i Betsabą. „Postawcie Uriasza na czele szeregów, gdzie najcięższa bitwa, a opuście go, aby zabity zginął.” Sam Uriasz, wierny żołnierz królewski, niesie pod mury obleganego miasta ów list z własnym wyrokiem śmierci — nie zdając sobie sprawy, co niesie. Podle i płasko zagrał król Dawid. Uriasz zginął. Król może bez przeszkód spać z żoną człowieka, którego zglądził.

Czy zdaje sobie sprawę ze szpetoty swego czynu? Dziwne, ale chyba nie. Król Dawid zachowuje się tak, jakby uczynki jego znajdowały się w strefie nie podlegającej wartościowaniu etycznemu; jak gdyby musiały

być słuszne z tej tylko racji, że są uczynkami królewskimi.

Przychodzi doń Natan i opowiada mu własną jego Dawidową historię. Opowiada ostrożnie i oględnie, poprzez przypowieść, bo nigdy nie wiadomo, co może uczynić król. Mówi więc tak: „Dwaj mężowie byli w jednym mieście, jeden bogaty, a drugi ubogi. Bogaty miał owiec i wołów bardzo wiele, lecz ubogi nic zgoła nie miał oprócz owcy jednej maluczkiej, którą był kupił i wychował, i która wzrosła u niego razem z synami jego, chleb jego jedząc i z kubka jego pijąc. (...) A gdy jakiś podróżny przyszedł do bogatego, on nie chcąc wziąć z owiec i z wołów swoich, aby uczynić ucztę (...), wziął owcę męża ubogiego”...

Uniósł się wielkim gniewem król Dawid i rzekł: „Żyje Pan, że synem śmierci jest mąż, który to uczynił!” A wtedy usłyszał od Natana: „Ty jesteś tym człowiekiem. (...) Żonę jego wzięłeś sobie i zamordowałeś go mieczem synów Ammona”.

Natan bardzo ryzykował. Król mógł uśmiercić człeka nazbyt bezczelnego, który mówił mu rzeczy bardzo nieprzyjemne i nazbyt zuchwale prawdziwe. Król mógł wynaleźć dziesięć usprawiedliwieńomalże prawdopodobnych i jeszcze ponadto dwadzieścia innych, prawie niezbitych; gdyż człowiekowi — zwłaszcza dzierżącemu władzę — równie łatwo bywa świństwo popełnić, jak też mieć się za przekonująco wytłumaczonego. Dawid jednak czyni rzecz inną: taką, której królowi czynić raczej nie wypada. Zrozumiał,

że Natan mówi prawdę. Zrozumiał także, że to, co uczynił — nie jest ani do wytłumaczenia, ani też do usprawiedliwienia. I jeszcze: że Prawo, jeśli istotnie jest Prawem, musi być jedno tylko dla wszystkich. Zrozumiawszy zaś, mówi bardzo zwyczajnie i prosto: „Zgrzeszyłem Panu”. I dla tej trudnej prostoty zostaje mu wybaczone. Dla prostoty — i dla wolności od ludzkiego kłamstwa.

Zaś obok nowotestamentowa historia miejskiej prostytutki:

...,gdyby ten był prorokiem, wiedziałby zaiste, co zacz jest ta kobieta, która go dotyka. (...)

— Szymonie, mam ci coś do powiedzenia. (...) Pewien wierzyciel miał dwóch dłużników: jeden był mu winien pięćset denarów, a drugi pięćdziesiąt. I gdy nie mieli z czego oddać, darował obydwóm. Któryż tedy bardziej go miłuje? A Szymon odpowiadając rzekł: Sądzę, że ten, któremu więcej darował. A on rzekł: dobrześ osądził. I zwróciwszy się ku kobiecie rzekł Szymonowi: Widzisz tę kobietę? Wszedłem do domu twego, nie podałeś mi wody do nóg, a ta łzami skropiła stopy moje i włosami swymi otarła. Pocałunku mi nie dałeś, a ta, odkąd weszła, nie przestała całować nóg moich. Nie namaściłeś oliwą głowy mojej, a ta olejkiem nogi moje namaściła. Dlatego powiadam ci: odpuszczone są liczne jej grzechy, bo wielce umiłowała. A komu mniej odpuszczają, mniej miłuje. Rzekł tedy do niej: Odpuszczają ci się grzechy” (...).

Musiało jej być bardzo trudno uwierzyć.

A potem zawrócić aż tak; diablo daleka droga, nie do uwierzenia daleka. Bo w życiu bywa inaczej, niż w sentymentalnych powieściach. I trzeba było wiele odwagi, aby z tą swoją wielką wiarą wejść między tych uczonych w Piśmie, tak dalece zajętych teologią, że nie widzieli już ani Boga, ani człowieka: „wszedłem do domu twego, nie podałeś mi wody do nóg”...

W domu Szymona nie było żadnych tłumaczeń, usprawiedliwień, zaklinań, jęków i babskiego wielosłowa. Były tylko te fakty ryzykowne, najprostsze i jedyne możliwe. Gdyby zmuszono tę kobietę do mówienia, zapewne wydusiłaby z siebie tylko tamte dwa słowa, które kiedyś powiedział król Dawid: „Zgrzeszyłam Panu”. I zapewne — jak on — pozostawiłaby resztę w milczeniu. Bo nic więcej nie było do powiedzenia.

Powiedział jej: „Idź w pokoju”. Więc poszła. Zaraz w następnym rozdziale Ewangelii Łukaszej widzimy Marię Magdalenę, idącą za Nim. Gdzież niby miała pójść?

Był czas, kiedy układano złote średnio-wieczne legendy o świętych królach i królowkach; potem zaś opowieści o świętych nędzarzach. Był czas, kiedy pisano o świętych dziewicach. Poczekawszy mało wiele, czytaliśmy w naszym wieku także opowieści oomalże świętych paniach swawolnych.

Tylko że biblijny król, stanawszy w obliczu Pana, potrafił być aż tak wielki, aby zachować się jak ubogi prostak, który nie ma nic na swoje usprawiedliwienie. Tylko że biblijna jawnozgrzesznica potrafiła być aż tak

mała, aby wróciwszy z daleka, niemodnie prawdziwymi łzami obmyć stopy swojego Króla — nie oglądając się ani na własne życie, ani też na cudzy sceptycyzm. Tylko że tych dwoje było w jednakowej sytuacji: „a gdy nie mieli z czego oddać...” Jak i my wszyscy.

I dlatego to jest życie — tamto zaś literatura.

Proroctwo Zachariasza 12, 10—11

List do Galatów 3, 26—29

Ewangelia św. Łukasza 9, 18—24

Niedziela 12 per annum

Stracić życie

„Wszyscy bowiem jesteście synami Bożymi przez wiarę w Chrystusa Jezusa. Bo wszyscy, którzyście zostali ochrzczeni w Chrystusie, przyoblekliście się w Chrystusa. Nie masz Żyda ani Greka, nie masz niewolnika ani wolnego, nie masz mężczyzny ani kobiety. Albowiem wszyscy wy jedno jesteście w Chrystusie. A jeśli jesteście Chrystusowi, toście potomstwem Abrahama i dziedzicami według obietnicy.”

W wielu miejscach Pismo mówić będzie o wielkości owego dziedzictwa. Niezmiernie jednak trudno jest mówić ludzkim językiem o rzeczach niedostępnych aktualnemu ludzkemu doświadczeniu. Więc — opłątane i skrepowane swą ograniczonością — Pismo mówić o tym będzie przez porównania. Będzie mówiło o skarbie ukrytym w roli. O perle drogocennej, za którą warto oddać wszystko inne. O czymś, co jest bliskie jak życie

i drogie jak życie. Jeśli zaś powie, że w perspektywie powołania do owej chwały ostatecznych przeznaczeń wszelkie aktualne podziały tracą sens, jeśli oświadczy, że „nie masz Żyda ani Greka, niewolnika ani wolnego” — to poprzez owe stwierdzenia także przebija ta sama wielkość rzeczy ostatecznych.

„Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało”: to brzmi jak baśniowy zwrot, opisujący sprawy nierzeczywiste. Gdyby jednak miała to być bajka, gdyby miała to być baśń, odnaleźlibyśmy niechybnie także i wszelkie inne baśniowe konwencje i warunki gry: jakieś wielkie potyczki ze złymi czarodziejami, jakieś magiczne talizmany i stokrotne przemiany, i całkiem niewiarygodne ocalenia. Bardzo wiele kolorów, skryta podszywka ludzkich tęsknot rozbita w tęczę. Taka jest żelazna konwencja baśni, niezmienna jak podział ról w westernie.

A tu inaczej. Tak zupełnie inaczej. Szedł do tamtej chwały, której oko nie widziało i ucho nie słyszało — „A do wszystkich mówił: Jeśli kto chce iść za mną, niech zaprze się samego siebie i weźmie krzyż swój na każdy dzień. (...) Kto by chciał życie swe ocalić, straci je; a kto by stracił życie swoje dla mnie, ocali je”.

Nic z bajki. To przez bolące żylaki na każdy dzień ludzie zdobywają tamtą chwałę, przez ręce splekane i bolący grzbiet. Przez wszystkie braki i przypadłości odczuwane jako krzywda i przez człowiecze nudne słabości, które chciałoby się zrzucić z siebie i wobec

których tak często traci się cierpliwość. To przez zwykłe ludzkie biedy tamta chwała.

To przez garbaty los ludzie zdobywają zbawienie. Nie wyszło tak, jak wyjść miało. Wszystko powinno być inaczej i tak pięknie. A jest, jak jest, zwyczajnie. I tak trudno odłożyć na bok to instynktowne wyczucie braku. I tak by się chciało cisnąć to w diabły, wymazać z pamięci, zacząć od nowa. „Czy nie mam prawa?” Masz. Oczywiście, że masz. Ale co z tego? — może czasem mądrzej jest nie dbać zanadto o własne ocalenie? Może warto przyjąć własnowolnie zwykły, nieudany dzień?

To przez codzienność ludzie zdobywają tamtą wielkość; przez codzienność nie zawsze zresztą i niekoniecznie tak całkiem garbatą. Może czasem udaną, może także i nie pozbawioną pogody. Może nawet „wysoko postawioną”. Ale my przecież wiemy, jak jest i jaka jest cena rzeczy. My wiemy, jak często bywa właśnie tak: że trzeba się zaprzec samego siebie, aby być najzwyczajniej uczciwym. Coś zrobić — albo czegoś zaniechać. Aby się nie bać za bardzo, nie bić pokłonów, nie ślinić. Że często trzeba się zaprzec samego siebie, aby wydusić z siebie tę krzywą prostoty, dobroci i życzliwości. A także i refleksji. Że trzeba się zaprzec samego siebie, aby nie myśleć w kółko: „ja, ja, ja, we mnie, dla mnie, przy mnie, do mnie”. A dookoła zwykły dzień i żadnych baśniowych tęczy w nagrodę. I nawet nie bardzo widać, że to aż tak: że w końcu tamto wszystko w Jego imię. Bo niby skąd? A już całkiem niepraw-

dopodobne, że jeśli dla Niego, to i dla siebie. Całe szczęście, że nikt nie prawi wielkich słów.

Dookoła tak wielu kandydatów do wielkości, do nadzwyczajności, do piedestału choćby i kameralnego, bodaj do szmerku pochwalnego i bodaj do jednego „och” i „ach”. Czy nikt nie stanie w kolejce do zwyczajności? Bo w tamtej pierwszej naprawdę rzadko dają nadzwyczajność, często natomiast — śmieszność. Biedną ludzką śmieszność zawiedzionych nadziei i spodziewań. Ale i ona także może być krzyżem, ta śmieszność. Bardzo ciężkim.

Tacy jesteśmy skłopotani. I to są prawdziwe kłopoty, niekłamane, nie nadymane. I to jest naprawdę bardzo ważne: że niedobre dzieci i niedobrzy rodzice, praca nieudana, miejsce nie to, a na wierzchu dłoni — patrz — już węzły żył. Nie było ich. Ale są. W sposób bardzo daleki od baśni przyrzeczono rzeczywistość, w której praca nieudana warta będzie tej udanej i „nie masz Żyda ani Greka”. Ale na razie tamto wszystko trzeba podjąć. Zwyczajnie.

Mówi Jezus: „Jeśli kto chce”. Bo wcale nie musi. Można przecież robić wszystko możliwe, aby życie swe ocalić.

1 Księga Królewska 19, 16b i 19—21
List do Galatów 5, 1 i 13—18
Ewangelia św. Łukasza 9, 51—62

Niedziela 13 per annum

Drogi człowiecze

...,I rzekł do innego: Pójdź za mną! A on odpowiedział: Panie, dozwól mi pierwiej odejść i pogrzebać ojca mego. Ale Jezus rzekł mu: Niechaj umarli grzebią swoich umarłych, a ty idź i głosź Królestwo Boże. A inny powiedział: Pójdę za tobą, Panie, lecz dozwól mi wpierw pożegnać się z tymi, którzy są w domu. A Jezus rzekł doń: Żaden, co przykładając rękę swoją do pługa wstecz się ogląda, nie nadaje się do Królestwa Bożego.”

Nie: wcale nie trzeba zdejmować ze ścian dawnych fotografii, wyrzucać na śmietnik starych albumów i książek, usuwać pamiątek. Nie trzeba też wyrzucać z pamięci wszystkiego, co pochodzi z przeszłości. To byłoby tylko niepotrzebne doktrynerskie gesty. I nie o to chodzi.

Naród pozbawiony historii staje się bezwolnym stadem baranów i można z nim zro-

bić wszystko. Człowieka z wymazaną, wypraną przeszłością można zaprowadzić wszędzie. Nie. Nie daj sobie wydrzeć przeszłości, nie daj sobie odebrać wspomnień. Za żadną cenę. I nawet więcej: nie dozwól, aby zamordowano w tobie to, co w największej skrytości zostało jeszcze z dziecka. Bo wielka bieda i nieszczęście z człowiekiem, który nie widzi już tego, co widzą dzieci i który nie umie się już cieszyć drobiazgami. Ludzie, którzy potrafią być już tylko dorośli, z a w s z e dorośli — bywają straszni.

Jednakowoż każda rzecz powinna mieć swój czas, każda rzecz powinna mieć swoje miejsce. Przyłożywszy rękę do pługa, nie należy oglądać się wstecz: ani na to, co było dobre, ani też na to, co było złe. Nie dlatego, jakoby przeszłość miała być wyklęta, ale zwyczajnie: to nie jest miejsce, to nie jest czas na wspomnienia. Niechże będą z człowiekiem, niechże one będą nauką, wsparciem i przyjacielem. Ale nie panem na dziś, nie dyktatorem ludzkiego jutra. Bo wczoraj — było, przeszłość jest przeszłością. A dziś jest dziś. Nawet ulicą nie sposób jest iść z twarzą na plecach.

„A każdemu dostaje się inny dar Ducha”. Nie należy mniemać, jakoby dzisiejsza Ewangelia stanowiła wyłączone orędzie dla duchowieństwa: że „chodź za mną i głosź Królestwo Boże”. Jezus był kapłanem, jednakże nie był klerykałem — a to z tego prostego powodu, ponieważ był mądry.

To nie tylko duchowni głosić mogą Królestwo Boże. Głosić je mogą także mądre po-

stanowienia prawodawców i sprawiedliwe wyroki sędziów; cisza rzetelnej pracy dla pożytku społecznego w laboratoriach naukowych i najprostszy trud rąk, i cierpliwa, mądra dobroć nauczycieli. Mnogie kunszty artystów, biegłość i solidność rzemieślników i nawet najprostsze wkuwanie uczniaka. „Różne są rodzaje działania, lecz tenże Bóg.” I nie ma na ziemi człowieka, któremu nigdy nie powiedziano by: „pójdź”. Jeśli zechcesz usłyszeć, na cóż potrzebne oglądanie się się wstecz? Tak to i jest: „niechaj umarli grzebią swoich umarłych”. Okrutne? Kiedyż wcale nie. Ojca, jeżeli oddałeś go ziemi, spotkać możesz już tylko w przyszłości, która nadchodzi w sposób zupełnie nieuchronny. To spotkanie jest przed tobą, nie zaś za tobą. Za człowiekiem zostają wspomnienia. Wszystko ma swój czas, wszystko ma swoje miejsce. Nie trzeba się wyrzekać przeszłości. I nie należy nią żyć. Zwyczajnie: trzeba iść w to swoje „dziś”, w to nasze „jutro”.

Na drogę zaś dostaliśmy rzecz wielką: wolność. Wolność synów Bożych. „Przeto, bracia, nie jesteście synami niewolnicy, lecz wolnej. Którą to wolnością Chrystus was obdarował. (...) Wy bowiem, bracia, jesteście wezwani do wolności...”

Wielka, szumna rzecz: wolność. A ludzie są ludźmi.

„I stało się, gdy dopełniły się dni jego odejścia, że postanowił niezłomnie udać się do Jerozolimy. I wysłał posłów przed sobą, którzy zdążając weszli do miasta samarytańskiego, aby mu przygotować gospodę. Jednak

nie przyjęto go, ponieważ szedł w stronę Jeruzolimy. A widząc to uczniowie jego, Jakub i Jan, rzekli: Panie, chcesz, a powiemy, aby ogień zstąpił z nieba i spalił ich. On jednak odwrócił się i zgromił ich mówiąc: Nie wiecie, czyjego ducha jesteście. Syn Człowieczy nie przyszedł zatracać dusze, lecz zbawiać. I odszedł do innej gospody.”

No, tak. Jeśli wybrani uczniowie Pana, dostawszy do rąk moc i wolność, tak ochoczo mówili o paleniu miasta wraz z jego mieszkańcami — nie można się dziwić, że nawet i najprawdziwszym ich następcom od czasu do czasu także przydarzało się miewać idee równie makabryczne — takie, co do których mniemać wolno, iż na pewno nie podobały się Panu.

A tym bardziej nie można się dziwić, że wyroki sędziów nie zawsze bywają sprawiedliwe i że cisza laboratoriów niekoniecznie służyć musi pożytkowi i nawet nauczyciele nie muszą być ani mądrzy, ani też dobrzy. Nawet chałturom dziwić się nie można.

Wszelako jedno jest pewne: że tamta wolność nie będzie ludziom odjęta.

Nie ma rzeczy bardziej nieuchronnej, niż ona. Ale też nie ma rzeczy bardziej ryzykownej.

Proroctwo Izajasza 66, 10—14

List do Galatów 6, 14—18

*Ewangelia św. Łukasza 10, 1—12 i 17—20 albo
10, 1—9*

Niedziela 14 per annum

Kapłaństwo

„A potem wyznaczył Pan także innych siedemdziesięciu dwóch i rozesłał ich przed sobą, po dwóch do każdego miasta i miejsca, dokąd miał nadejść. I mówił im: Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało. Proście tedy Pana żniwa, aby wysłał robotników na żniwo swoje.”

Bardzo wiele atramentu i czernidla drukarskiego zużyto dla dokładnego opisanie i głęboko wszechstronnego przeanalizowania zjawiska kryzysu powołań kapłańskich, a i niejedno sympozjum wcale foremne dało się wykroić ze związanych z tym problemem tematów. I tylko patrzeć, jak coś z tego wyniknie. A jeśli nawet niewiele wyniknie, to i tak dobrze się stało, gdyż lepsza jest trzeźwa świadomość stanu rzeczywistego, niż ułudę.

Jednakże seminaria, mniej lub bardziej •

wypełnione, istnieją i działają. I co roku święci się nowych kapłanów. A równocześnie co roku w progi seminaryjne wstępują nowi kandydaci. O ile mi wiadomo, Polska jest w tej chwili bodaj jedynym krajem na świecie, w którym liczba powołań kapłańskich jakoś nie chce spadać; niektórzy mędracy uważają to za niezbity dowód cywilizacyjnego i religijnego zapóźnienia w stosunku do awangardowych Kościołów zachodnich.

Idealny kleryk rzadko bywa dobrym księdzem. Dobry ksiądz prawie nigdy nie był idealnym klerykiem. Seminaria na ogół lubią idealnych kleryków — tak, jak każda szkoła lubi idealnych uczniów. Jednakże sens istnienia seminariów wcale nie leży w hodowaniu tychże idealnych kleryków. Z tego trzeba sobie zdać sprawę już na progu i wysnuć odpowiednio inteligentne wnioski.

Wspólne życie każdej zbiorowości jest rzeczą trudną i dlatego regulaminy są potrzebne dla uniknięcia rozłazącego się bałaganu. Ale beatyfikacja regulaminów i nabożne celebrowanie dzwonek wcale nie jest probierzem rzetelności powołania i zapowiedzią błogosławieństwa Bożego. Nie adoruj litery regulaminów i nie klękaj przed rytmicznością dzwonek, bo potem wejdiesz w nawę kościelną z kaprałskimi nawykami i bardzo się będziesz dziwił, że ci te rogi ludzie przytrą — i słusznie.

Posłuszeństwo jest bardzo potrzebne, gdyż alternatywą jest tylko anarchia i odstępstwo. Bądź posłuszny. Jeśli jednak przypadkiem gdzieś jeszcze mówią, jak *illo tempore* by-

wało: „kleryk jak dziecko: powinien być widziany, a nie słyszany” — nie wierz. Jeśli przypadkiem ktokolwiek chce zrobić z ciebie nabożną niuńkę, wiszącą rozpaczliwie na instrukcjach i tylko na instrukcjach oraz dobrych radach, bezradną bez nich, jak pijane dziecko we mgle — nie daj się. Nie jesteś dzieckiem. Za parę lat, jeśli wytrwasz, a Bóg pozwoli — będziesz pouczał ludzi, także i starszych od siebie. Kto wie, czy nie mądrzejszych. A na pewno bardziej życiem doświadczonych. Jeśli pójdziesz do nich z infantylnym gaworzeniem, odwrócić się mogą nie tylko od ciebie. To straszna odpowiedzialność. Nie dla dzieci: za ciężka.

Potrzebne ci jest odosobnienie, abyś w hałasie ulicy nie zagubił rzeczy ważnych; potrzebna jest cisza i spokój, aby przyjęły się i umocniły. To nie powinna być sprawa pilnowania. To powinna być sprawa zrozumienia i własnej potrzeby. Ale jesteś „spomiędzy ludzi wzięty” i będziesz „dla ludzi postawiony”. Nie wolno ci zdradzić ani nieba, ani ziemi. Bacz, abyś nie usnął w tej swojej ciszy, nie ogłuchł i nie oniemiał. Abyś nie stał się obcym. Nie daj wyizolować się nikomu. Musisz znać ludzi, znać sprawy życia takiego, jakie realnie w świecie jest — nie zaś takiego, jakie według podręczników być powinno. Dany będziesz ludziom do posługi, zaś światu na znak sprzeciwu; tak mówi Pismo. I choćby dlatego świat i ludzie muszą ci być znajomi.

Jeśli dają ci wiedzę potrzebną duchownym, bądź wdzięczny po stokroć. Jeśli przy-

padkiem opychają cię formułkami — trudno: nie poprzestań na nich. Szukaj sam. Ale spokojnie i bez nerwowej czkawki. Nie ma „starej teologii” i „nowej teologii”: to całkiem bzdurny podział. Jest tylko dobra albo kiepska teologia. W przeszłości trafiała się jedna i druga. Dziś także się trafia. A i mody także bywają. Bacz na owoce. Na to, co konkretnie wynika z tez. Na to, co zostaje po odsianiu dętych słów. Reszta — wiatr i plewy. Doprawdy: nie jesteś dzieckiem. Czy wiecznie będziesz czekał, aby przybiegł ktoś i utarł ci teologicznie nos? Aby powiedział: „to stare be” i „to nowe cacy” albo na odwrót?

Już w seminarium możesz się dochrapać „urzędu”. Już na wikariacie możesz mieć samochód, chociaż klerykałna gadka twierdzi, że wikary to tyle samo, co „wio, kary”. Jeśli szybko dochrapiesz się urzędu i pieniędzy, będzie to znaczyło, że jesteś obrotny i umiesz dbać o swoje interesy. Przyjacielu, dlaczego nie zostałeś sklepikarzem? — przecież to także uczciwy zawód i hańby nie przynosi. Jeśli kiedyś po latach ciężkiej harówki dostaniesz oschły list od przełożonych, jeśli anonimy obleżą cię jak wszy, jeśli będą cię posyłać tam, gdzie chudo i ciężko — podziękuj Bogu. Najprawdopodobniej jesteś dobrym księdzem, pożytecznym sługą Pana.

Kapłaństwo jest wielką rzeczą. Tej wielkiej rzeczy, gdy przyjdzie, ukłoń się bardzo nisko, do ziemi. I ukryj ją w sobie. Nie obnoś jej na pokaz, nie nadymaj się, nie bądź śmieszny. Bądź prosty.

I, widzisz, to jest tak: robotnik po fajrancie może nie być robotnikiem, sędzia po rozprawie może nie być prawnikiem, wojskowy po służbie może nie mieć nic wspólnego z rzeczami militarnymi. Ale dla ciebie nie będzie godziny, w której mógłbyś odłożyć na bok swoje kapłaństwo. I nie będzie miejsca, w którym mógłbyś nie być księdzem. Nie wytrzymasz tego, staniesz się tylko żalonym aktorem partolącym rolę nie swoją, jeśli tego kapłaństwa nie będziesz miał uczciwie w sobie, we wnętrzu swojego wnętrza.

Wszędzie są ludzie, a donosy trafiają się czasem nawet w seminariach. Przyjacielu, jeśli naszła cię chęćka „kablować” do przełożonych (tak się to nazywa, prawda?) — odejdz, przesiądź się do innego tramwaju. Bo choćbyś czapką i papką prześliznął się nawet i do prałatury, wierz mi: bardzo zasadniczo pomyliłeś się z powołaniem i zasługujesz tylko na litość.

To się bardzo rzadko trafia. Jednakowoż rzadkość zjawisk krańcowych wcale nie obala słuszności rzeczy zasadniczych. Pamiętaj: kiedyś, gdy postawią cię między ludźmi i dla ludzi — bardzo wiele rzeczy ludzie gotowi będą ci wybaczyć: głos barani w śpiewie, kiepskie kazania, luki w wiedzy i doświadczeniu, brak talentów administracyjnych, na prawdę wiele rzeczy. Nie wybaczą ci tylko dwóch: braku świadczenia wierze oraz nieuczciwości. To są wielkie słowa, ale nic nie można poradzić, że tak właśnie jest: będziesz świadkiem, postawionym na świeczniku. Niczego nie ukryjesz, nie miej złudzeń.

„Nie noście trzosa ani torby, ani sandałów i nikogo w drodze nie pozdrawiajcie. A do któregokolwiek domu wejdziecie, najprzód powiedzcie: Pokój temu domowi; a jeśliby przebywał tam syn pokoju, spocznie na nim pokój wasz; a jeśli nie, do was powróci. W tymże domu zostańcie, jedząc i pijąc, co jest u nich: albowiem godzien jest robotnik zapłaty swojej. Nie przechodźcie z domu do domu. A do któregokolwiek miasta wnieście i przyjmą was, jedzcie, co przed wami położą i uzdrawiajcie chorych, którzy są w nim i mówcie im: Zbliżyło się do was Królestwo Boże”.

Tak ustanawiano reguły dwa tysiące lat temu. A dziś? Jak sądzicie, co się w nich zmieniło? Gdyby trzeba było dziś dawać wskazania, gdyby to wam kazano je sformułować — cóż powiedzielibyście?

Tu już nie ma nic do podpowiadania. Na brodę świętego Piotra — to wasza sprawa.

Niedziela 15 per annum

Blisko ciebie

Czyta się dziś ewangeliczną opowieść o człowieku złupionym i poranionym przez złoczyńców; relację o obojętności kapłana Świątyni jerozolimskiej i o podobnej obojętności lewity. Bardzo znaną przypowieść o miłosiernym Samarytaninie: członku wrogiej Żydom społeczności, który jednakże zajął się tamtym człowiekiem, okazując mu miłosierdzie.

„Idź, a czyn i ty podobnie”.

W odległości trzydziestu metrów od bloku mieszkalnego zabito człowieka, który wołał o pomoc. Musiano słyszeć ten krzyk. Nie otworzyło się żadne okno i żadne drzwi, do rana nie wyszedł nikt. Rano zastano trupa. W porównaniu do opisu biblijnego sytuacja o tyle się zmieniła, że w tamtej prymitywnej epoce ratowanie człowieka poranionego przez złoczyńców nie było związane z ryzykiem osobistym, natomiast w naszych wysoce cy-

wilizowanych i wszechstronnie pospinanych porządkowymi paragrafami czasach miłosiernej Samarytanin sam mógłby się znaleźć w ciężkiej opresji, jako ten, który śmie ratować napadniętego. Najwidoczniej bandyci się zmienili. Czym jednak wytłumaczyć inną notatkę prasową: tę o człowieku chorym na serce, który przez parę godzin umierał na skwerze ulicznym — i nikt z przechodniów nie zainteresował się leżącym? Tu już nie było strachu przed gangiem dzielnicowych bandziorów. Była tylko głęboka obojętność. A może niechęć do wtrącania się w czyjekolwiek sprawy osobiste? Może wzięto go za pijaka? Pijak, wiadomo, rzecz święta. Czy człowiekowi nie wolno napić się za własne pieniądze? Czy człowiekowi nawet nie wolno spokojnie umrzeć? No, jak jest właściwie: wolno, czy nie? Więc właśnie umarł pomiędzy ludźmi, którym bardzo się spieszy i którzy są na tyle delikatni, że nie wtrącają się w sprawy nie swoje.

„Idź, a czyni i ty podobnie”. Tak: miłosierdzie naprawdę jest obowiązkiem wiary. Ale i to także bywa prawdą: nie zawsze dokładnie wiadomo, gdzie kończy się miłosierdzie, a zaczyna co najmniej wścibstwo. Czy nigdy nie byliśmy w sytuacji uszczęśliwiających na siłę i nawet wbrew własnym chęciom przez ludzi tak kolosalnie miłosiernych, że o niczym innym nie myśleli, jak tylko o naszym szczęściu? Albo czy nie spotkaliśmy ludzi aż tak życzliwych, że — przejęci naszymi kłopotami — gotowi byli nawet spać pod naszym łóżkiem, aby tym lepiej i dokład-

niej kłopoty owe zbadać? Trudną rzeczą bywa prawdziwe miłosierdzie. Ale na szczęście istnieje probierz jego prawdziwości. Jezus nie mówił: „opowiedz mi wszystko dokładnie”. Pytał natomiast: „co chcesz, abym ci uczynił?” W czym mogę ci pomóc? A złych rzeczy nie czynił. Tym bardziej za nikogo nie decydował i nikogo nie przymuszał. Nawet tam, gdzie szło o rzeczy ostateczne. Mówił: „jeżeli chcesz”. Zastanów się, czy naprawdę chcesz; i czym rzeczywiście jest rzecz, której pragniesz.

To mogą być sprawy trudne w realizacji. Ale przynajmniej sam nakaz jest prosty. I słusznie w Starym Testamencie zapisano to tak:

„Przykazanie, które ja dziś daję tobie, nie jest gdzieś nad tobą ani nie jest daleko odległe, ani położone na niebie, żebyś mógł mówić: «Któż z nas może wstąpić do nieba, aby je znieść do nas i żebyśmy słyszeli i czynem wypełnili?»; ani za morzem leżące, abyś się wymawiał i mówił: «Kto z nas będzie mógł przepłynąć morze, a przynieść je do nas, abyśmy słyszeli i czynili, co jest przykazane?». Ale bardzo blisko ciebie jest słowo, w ustach twoich i w sercu twoim, abyś je pełnił”.

Człowiek, który to spisywał, posłużył się formułą opisową. Może nazbyt opisową. Może nawet nieco przegadaną. Mówił jednak prawdę. Kiedy zaś mówił o owej bezpośredniej bliskości czynów miłości Boga i człowieka, o owym prawie, które „bardzo blisko ciebie jest” — kto wie, czy nie siadło mu na

karku zrozumienie pełne grozy, skoro za moment wykrzyknął:

„Wzywam dziś na świadków niebo i ziemię, zem położył przed wami życie i śmierć, błogosławieństwo i przekleństwo”. Tak woła człowiek, który zorientował się nagle, że dotknął rzeczy ostatecznych. I wie.

Cóż jest miłosierdzie? Nienależny gest łaski? Coś o smaku charytatywnych poczynań? A może to całkiem inaczej i więcej: może miłosierdzie znaczy przede wszystkim sprawiedliwość? Czy człowiekowi skrzywdzonemu nie należy się sprawiedliwie miłosierdzie od ludzi, pomoc od ludzi? Czy nie jest to po prostu coś, co się sprawiedliwie należy? I może to nie jest wyłącznie tylko sprawa prywatna i osobista? Bo przecież istnieją także niemilosiernie w swej niesprawiedliwości warunki życia, niemilosiernie warunki pracy, niemilosiernie stosunki grupowe i społeczne. Może czasem warto także pojąć, że nikt nikomu specjalnej łaski nie robi, czyniąc sprawiedliwą rzecz miłosierną? A już na pewno świadomość taka uchroni przed jedną z najbrzydszych na świecie rzeczy: przed pychą sprawiedliwych. „Ach, jaki ja jestem dobry”... Nie jest to zresztą jedyne ryzyko brzydoty, z drugiej strony bowiem przydarzyć się może także leniwe zadufanie tych, którzy przywykli żyć na kredyt z cudzego miłosierdzia. To jest problem ludzi poratowanych, którzy już na stałe chcieliby wisieć u szyi miłosierdnych, także i wtedy, gdy nie jest to już konieczne; wydało im się to bowiem rzeczą bardzo wygodną. To jest także sprawa in-

nych, którzy — czyniąc świadomie świństwo po świństwie — z obrzydliwą i nieprawdziwą naiwnością pytają: „czyż Bóg nie jest miłosierny?” Jest. Ale nie da się z siebie wyśmiewać.

„Wzywam dziś na świadków niebo i ziemię, żem położył przed wami życie i śmierć”.

Księga Rodzaju 18, 1—10
List do Kolosan 1, 24—28
Ewangelia św. Łukasza 10, 38—42

Niedziela 16 per annum

Maria i Marta

Nieskończone karawany samochodów na taśmach europejskich autostrad, na międzynarodowym lotnisku Orly co minuta startuje lub ląduje samolot. Uśmiech stewardessy wliczony w koszty biletu — podobnie, jak na całym świecie entuzjizm, przejęcie oraz smutek speakerów radiowych wkalkulowano w opłatę. Opasłe brzuchy domów towarowych wypływające na stoiska uliczne nadmiar towarów. Czy istnieje jakiś związek pomiędzy decybelem i imbecylem oraz debilem? Tempo, tempo. Eksperci od reklamy, eksperci od spożycia, eksperci od prania mózgow. Dziewięcioraczki w Australii. Wszystkie umarły. Podobno kwestia zaburzeń hormonalnych. Pigułka antykoncepcyjna. Codziennie tony papieru na rotacyjnych maszynach.

„I stało się, gdy szli, że wszedł do jednej osady”...

Eksperci od gumy, eksperci od nafty, eks-

perci od wzruszeń osób nieletnich. Strajk śmieciarzy, metropolia tonie w górach niezniszczalnych odpadków: folie, plastik. Słowa, słowa, słowa odmierzane, gładkie, nieme. Tankowiec trząsł u wybrzeży, zdychają ptaki z piórami sklejonymi ropą. Na kiedy przewidziano strajk kanalarzy? Kolory reklam, kolory książek, środki uśmierzające, środki podniecające, środki uspokajające. Woda śmierdzi. Mała chemia, wielka chemia, jaśnie wielmożna chemia. Biskup Montevideo powiedział. Minister udzielił wywiadu. Kardynał zaprzeczył, jakoby. Umarł taki jeden; zawód — działacz społeczny. Kiedy zostanie wprowadzona transkontynentalna komunikacja naddźwiękowa? Nie można wiecznie wlec się po świecie z tą sakramentalną dziewięćset na godzinę. Ale dlaczego nie można?

„I stało się, gdy szli, że wszedł do jednej osady, a niewiasta pewna imieniem Marta przyjęła go do domu swego. A ta miała siostrę imieniem Maria”...

W Porto Montecuculo obradował Światowy Kongres. Stu dwudziestu uczestników. Należy koniecznie. Jest rzeczą oczywistą, że. Ustalono, że postępowe przemiany. Różnice poglądów. Podkreślono. Przeanalizowano. Odesłano do komisji ekspertów. Pierwszy świat, drugi świat, potrzeby trzeciego świata. Czwarty świat. Nie ma? *Pardon*. Wielka szkoda. Lepiej byłoby, gdyby tak do pary. An gażujemy się. Więc kto właściwie uporządkowuje deltę Gangesu? Pięć milionów ludzi uciekło z Bengal. Pięć — czy sześć? Baga-tela: milion różnicy. To mało czy dużo? Mgła-

wicowo rozlatane ręce na perkusji. Madame Dupont odwiedziła Polskę i stwierdziła w wywiadzie dla telewizji belgijskiej, że w tym ogromnie zacofanym kraju bardzo trudno jest znaleźć katolika marksistę. Ludzie mrą na cholere. Pada deszcz. Jutro także będzie padał deszcz.

„I stało się, gdy szli, że wszedł do jednej osady, a niewiasta pewna (...) Marta zaś krzątała się wokół różnych posług (...) Czy nie ma dla ciebie znaczenia?”...

Cóż za kretyn wymyślił tranzystory? Wczoraj było tu zboże, dziś budują dom. To dobrze. Bezplatna oświata. System ubezpieczeń, leczenie bezpłatne. To dobrze. Podwyżka emerytur. Dobrze. Izba wytrzeźwień: umyją, odczyszczą, wyprasują, troska o człowieka, rachunek spory, to dobrze. Masa towarowa. Kontraktacje. Mechanizacje. Elektryfikacje. Dobrze, bardzo dobrze. Ponadto struktura. Odsiew. Punkty. Równouprawnienie. W gazecie pisali, że ekspedienci są nieuprzejmi i że znów rozkopano skwery, żeby położyć rury, chociaż już pół roku temu kładziono rury i potem nikt nie sprzątnął, co za porządki. Prezes powiedział, że społeczna rola dziennikarza jest doniosła. Z taśmy zesła stumilionowa para butów. Zawarliśmy umowę o dostawę dwustu pięćdziesięciu statków pełnomorskich. Anastazja L., pokątna handlarzka świeżą rzodkiewką, została ukarana przez Kolegium Orzekające. Wykryto gang w klozetach miejskich: wymienione babki nie wydawały kwitów złotówkowych za korzystanie. Dnia 14 marca profesor K. K. opuścił wspól-

notę żyjących. A świat się kręci, kręci, kręci. .

„I stało się, gdy szli, że wszedł do jednej osady, a niewiasta pewna imieniem Marta przyjęła go w domu swoim. A ta miała siostrę imieniem Maria, która też siedząc u stóp Pana słuchała słowa jego. Marta zaś krzątała się wokół różnych posług, a zatrzymując się rzekła: Panie, czyż to nie ma znaczenia dla ciebie, że siostra moja zostawiła mnie, abym sama posługiwała? Powiedz jej przeto, aby mi pomogła. A odpowiadając rzekł jej Pan: Marto, Marto, o bardzo wiele rzeczy troszczysz się i kłopotujesz, a przecież jednej tylko potrzeba”...

W domu mojej matki nie zapalano o zmierzchu lampy. Dziś już nie pamiętam ani jednej rozmowy z owej szarej godziny, gdy nikt nie musiał strzec swojej twarzy, a cisza dzwoniła świerszczami. Wydaje mi się, że to były rzeczy bardzo ważne. Ale nie pamiętam.

Niewiele jest rzeczy zupełnie złych albo całkiem niepotrzebnych wśród tych wielu, bardzo wielu, które spadają ludziom na kark. I nawet na pewno bardzo wiele jest dobrych i pożytecznych. Ale człowiek jest jeden, a ich jest za wiele. I tak łatwo jest ogłupieć — właściwie bez winy; stracić się, zgubić, ogłuchnąć. I tak trudno odnaleźć.

Bo w gruncie rzeczy my dobrze wiemy, że tak właśnie jest: że tylko jednej rzeczy potrzeba naprawdę.

Księga Rodzaju 18, 20—32
List do Kolosan 2, 12—14
Ewangelia św. Łukasza 11, 1—13

Niedziela 17 per annum

Bóg niewysłuchanych modlitw

„I stało się, gdy modlił się był na miejscu niektórym, że skoro skończył, rzekł doń jeden z uczniów jego: Panie, naucz nas modlić się, jako i Jan nauczył uczniów swoich. I rzekł im: Gdy się modlicie, mówcie: Ojcze, święć się imię twoje. Przyjdź Królestwo twoje. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy, bo i my odpuszczamy każdemu winowajcy naszemu. I nie wódź nas na pokuszenie”.

W Ewangelii św. Mateusza tekst Modlitwy Pańskiej zanotowano w innym nieco, pełniejszym brzmieniu, składającym się z wezwania i siedmiu prośb. W Mateuszowej też wersji Modlitwa Pańska odmawiana jest we wszystkich językach ziemi.

„I ja wam powiadam: proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a będzie wam otworzone. Każdy bowiem, kto prosi, otrzymuje; kto szuka — znajdzie,

a kołaczacemu będzie otworzone. A jeśli który z was prosi ojca o chleb, czyż da mu kamień? Albo o rybę — czyż zamiast ryby poda mu węża? Albo jeśli poprosi o jajko, czyż da mu skorpioną? Jeśli przeto wy, będąc złymi, umiecie dawać dobre dary dzieciom waszym, jakoż daleko więcej Ojciec wasz z niebios da dobrego ducha tym, którzy Go proszą”.

Owe dobre dary ducha istotnie bywają udzielane wszystkim wytrwale kołaczącym; zaś uparcie szukający istotnie znajdują. Jednakże nie tylko o dary ducha nawykliśmy prosić. I nie tylko o powszedni chleb na dziś, o odpuszczenie win i o to, aby darowane nam były doświadczenia nazbyt dojmujące — jako że nie tylko Hiob wodzony był na pokuszenie zrzędzeniami Pana.

Prosimy także i o inne rzeczy. Jeśli się nam spieszy — prosimy, aby pociąg przyszedł wedle rozkładu; albo też, aby się opóźnił, jeśli to nam akurat dogadza. Jeśli nam za mokro — prosimy o słońce; albo też o deszcz, jeśli nam za sucho. Gdy drogę wytyczają — aby uszczupliła podwórko sąsiada, nie nasze; kiedy zaś stary dom słusznie ulec ma rozbiorce — aby decyzja ta nigdy nie była wykonana, nie mamy bowiem ochoty na przeprowadzkę. A także i o to prosimy, aby udało się nam dostać skierowanie na wczasy nie do Słupska, lecz do Drawska. Mamy tych próśb wiele na podorędziu, zaś w zanadrzu przygotowane coś w rodzaju łapówki: „jeśli mnie wysłuchasz”... Wtedy świeczkę postawimy w kościele.

Tak: istnieje Bóg niewysłuchanych modlitw. Czy to naprawdę takie dziwne w tego rodzaju wypadkach?

Bóg niewysłuchanych modlitw... Szeptanych w gorączkowym napięciu modlitw o zdrowie umierającego dziecka. Modlitw o powrót. Modlitw o ocalenie. Modlitw o przemianę. Modlitw o cud.

Przez wszystkie karty Ewangelii idzie za Jezusem nieprzeliczone wołanie tłumów o cud, o przemianę, o ocalenie, o życie i o zdrowie. Ale nie wszystkim paralitykom powiedziano: „weź łożo swoje i idź”. Nie wszyscy trędowaci Judei zostali oczyszczeni, nie wszyscy ślepcy ujrzeli światło, nie wszystkie uschnięte ręce obrosły mięśniami. I tylko dwoje dzieci powstało z łoża śmierci: chłopak z Naim i córka Jaira. Dlaczego nie wszyscy? Dlaczego nie inni? Dlaczego akurat oni? Nie wiem. Nikt nie wie. I myślę, że trudno pytać. W podobny sposób niewiedoma musi pozostać tajemnica powołania Szymona czy Andrzeja nad brzegami jeziora Genezaret — nie jedynych przecieź, którzy trudzili się tam przy sieciach. Dlaczego Szymona uczyniono Kefasem-skałą? I próżno też pytać o mroczną tajemnicę Judasza. A przecieź i on, żalem zdjęty, wołał: „zgrzeszyłem” — czemuż więc przyszła rozpacz ze sznurem wisielca i czemu powiedziano o nim „syn zatracenia”? Nie wiem. Nikt nie wie.

Wiem tylko, że ten, który uzdrawiał, wskrzeszał i wyzwalał — nie uczynił cudu, kiedy ludzkie szyderstwo, niewiara i nadzieja krzyczały z ziemi: „zejdź z krzyża,

a uwierzemy!" I dlatego On jest wśród tych, których wszechmoc Niepojętego nie odpięła z krzyża.

I wiem, że własne swoje „bądź wola Twoja” poznał nie tylko od strony nauczającego. Poznał je także i od drugiej strony. W Getsemani szła nań ostatnia groza i ostateczne osamotnienie. Modlił się: „jeśli to możliwe, oddal ode mnie”. Jeśli możliwe? „Abba, Ojczy, wszystko u ciebie możliwe, oddal ode mnie ten kielich.” Ale Bóg milczał, a ludzie spali. Powiedział: „nie jako ja chcę, ale jako Ty”. I to nie była rezygnacja. To było zaufanie.

Ogromnie trudne bywa to zaufanie. Ale Jemu też było trudno. Nikt już nie jest sam w obliczu Boga niewysłuchanych modlitw.

Księga Eklezjastes 1, 2 i 2, 21—23
List do Kolosan 3, 1—5 i 9—11
Ewangelia św. Łukasza 12, 13—21

Niedziela 13 per annum

Człowiek szukający

Cierpka i smutna mądrość Koheleta, zasłuchanego w przytłaczający rytm mijającego czasu:

„Pokolenie przemija i pokolenie nadchodzi, a ziemia na wieki stoi. Słońce wschodzi i zachodzi, i wraca się do miejsca swego, i tam znowu wschodzi, krąży na południe i skłania się ku północy. Przebiegając wszystko wokół idzie wiatr i wraca do kręgów swoich. Wszystkie rzeki płyną do morza, a morze nie wylewa: do miejsca, z którego wyszły rzeki, wracają się, aby znowu płynąć. Wszystkie rzeczy trudne, nie może ich człowiek wypowiedzieć. Nie nasycy się oko widzeniem ani się ucho nie napełnia słyszeniem”.

Krokiem zmęczonym, krokiem nienasyconym przemierza zawsze te same drogi człowieka szukania: bada mądrość, wiedzę i umiejętność, błędy, głupoty i szaleństwa,

bogactwa, rozkosze, potęgi i prace. Zaś na dnie swego trzeźwego poznania odnajduje smutek. I znów nienasycenie i znów niepokój. „I obaczyłem, że tak dalece mądrość przewyższa głupotę, jak różne jest światło od ciemności. Mądrego oczy są w głowie jego, głupi w ciemności chodzi; i poznałem, że jednaki jest obu koniec. I rzekłem w sercu swoim: Jeśli jednaki będzie koniec głupiego i mój, cóż mi pomoże, żem się więcej o mądrość starał? I rozmawiając z sercem swoim zobaczyłem, że i to jest marność. Nie będzie bowiem pamięci tak mądrego jak i głupiego na wieki, a potomne czasy wszystko zarówno pokryją zapomnieniem: umiera uczony jak i nieuczony. I dlatego obmierzył mi żywot mój”.

Szuka wciąż, szuka uparcie, bada i odrzuca, wciąż nienasycony, daremnie. Zaś ponad nim, a także i w nim samym, w świadomości zmęczonego człowieka — trwa żelazny rytm przemijania. Nikt nie potrafił wyrazić tego bardziej prawdziwie:

„Wszystkie rzeczy mają swój czas i swym zamierzonym biegiem przemija wszystko pod słońcem. Czas rodzenia i czas umierania, czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono, czas zabijania i czas leczenia, czas rozwalania i czas budowania, czas płaczu i czas śmiechu, czas narzekania i czas tańczenia, czas rozrzucania kamieni i czas zbierania, czas uścisków i czas wstrzymania się od uścisków, czas nabywania i czas tracenia, czas chowania i czas odrzucania, czas darcia i czas zszywania, czas milczenia i czas mówienia,

czas miłowania i czas nienawidzenia, czas wojny i czas pokoju. — Cóż więcej ma człowiek z pracy swojej?”.

Zdawało się, że nic już nie uratuje szukającego. I że, sięgnąwszy jeszcze głębiej, odnajdzie u samego dna już tylko milczącą rozpacz bezsensu. Stało się jednak inaczej.

U krańca swoich szukających dróg stary, mądry Kohelet odnalazł radość. Nie umie o niej mówić tak przekonująco, jak mówił o swoim szukaniu, nienasyceniu i smutku. Nie umie jej uzasadnić. On jej nawet nazwać nie umie. Zupełnie, jakby mu przyszło mówić o rzeczach niewyraźalnych. A może nawet takich, które nie bardzo mogą być nazwane.

Kohelet mówi nieporadnie rzeczy, zdawałoby się, zawstydzająco naiwne. Mówi o prostej ludzkiej dobroci. O ludzkiej dobrej pracy, o ludzkich dobrych myślach, o ludzkich dobrych czynach. Mówi o tym, że ludzka dobroć i prawość jest mądra. O tym, że jest większa niż wszechświat. „Człowiekowi, który jest dobry przed oczyma jego, dał Bóg mądrość i naukę i wesele. (...) I poznałem, że nie ma nic lepszego, jak weselić się i czynić dobrze za żywota swego. (...) Poznałem, że wszystkie sprawy, które Bóg uczynił, trwają na wieki; nie możemy nic przydać ani ująć tym rzeczom, które Bóg uczynił”. To mówi ten sam człowiek, który przed momentem z przygniatającym spokojem swego trzeźwego rozeznania powtarzał swoje „*vanitas vanitatum*”. Ten sam, nad którym nadal bije zegar człowieczego przemijania — owego „cza-

su, który jak cień przemija". Ale coś się w nim przemieniło. Nie zapomina o niczym i żadnego smutku nie traci z oczu, mówi o nich, grzęźnie w nich. Z tą samą trzeźwością stwierdza o człowieku: „Jak wyszedł nagi z żywota matki swojej, tak się wróci, a nie weźmie nic z sobą”. A jednak coś się przemieniło. „I obaczyłem, że nic lepszego nie ma dla człowieka, jeno weselić się w uczynkach swoich, i że to jest dzieł jego”.

Stary Kohelet nie uzasadnia, nie umie uzasadnić swej radosnej pewności, choć tak mądrze umiał uzasadnić smutki. On po prostu wie. Wie tak jakoś niezachwianie, że pozwala sobie nawet na coś, co w tym bolącym tekście podobne jest do szczeniackiego pokazania języka: „Lepsze jest pacholę ubogie i mądre, niżli król stary i głupi, który nie umie opatrzeć się na przyszłość”.

Na przyszłość? O jakiej przyszłości mówi ten człowiek, na którym tak przeraźliwie ciąży śmierć?

Nie ma w nim żadnych euforii i nic z przystępnych wzruszeń. Kohelet do końca zachowa swoją cierpką świadomość rzeczy. „Są sprawiedliwi i mądrzy i uczynki ich są w ręku Bożym, a przecież nie wie człowiek, czy jest miłości, czy nienawiści godzin”. Widząc jednak z całą ostrością „wszystkie rzeczy trudne” — równocześnie z niezachwianą, instynktowną pewnością, na przekór całej gniotącej mądrości świata wypowiada Kohelet swoją ubogą i prostą, wbrew spodziewaniu odnalezioną, całkiem inną mądrość, która przemieniła świat, ofiarowując mu sens.

Mówi, że poza przygniatającym rytmem mijania, przemielającym w marność wszystkie rzeczy człowiecze — jest nieopisana przyszłość, w której nic nie zaginie, prócz zła i śmierci. I że w jej obliczu rzeczą najwyższej mądrości jest czynić dobro. Stary Kohelet dopłynął do portu i jest w nim radosny spokój: „Idźże tedy, a jedz swój chleb z weselem i pij wino swe z radością, bo uczynki twoje podobają się Bogu”.

I ta sama przeczuwana, ostateczna mądrość, której dotknął Kohelet — po wielu setkach lat pełnym głosem przemówi w Ewangeliach. To o niej będą mówiły przypowieści. Także i ta, którą zanotował Łukasz: o bogaczu, nieustannie gromadzącym dobra, z których nie pozostanie nic; o bogaczu, który jest szalony, ponieważ nie zna porządku rzeczy.

I ta sama mądrość jest zawarta także w lapidarnym stwierdzeniu apostołskiego listu: „Jesteście bowiem umarłymi i życie wasze ukryte jest z Chrystusem w Bogu”.

Księga Mądrości 18, 6—9

List do Hebrajczyków 11, 1—2 i 8—19 albo 1—2
i 8—12

Ewangelia św. Łukasza 12, 32—48 albo 35—40

Niedziela 19 per annum

Oczekiwanie

Wśród współczesnych wydarzeniom ewangelicznym uczniów i wyznawców Chrystusa, a także i długo po nich, żywa była nadzieja, że bliski jest Dzień Pański, dzień powtórnego przyjścia, a potem i przemienienia wszechrzeczy. Oczekiwano owego dnia, spodziewano się go, czujnie badano znaki. Lecz lata mijały, a nie nadchodził.

„Syn Człowieczy nadejdzie w godzinie, w której się nie spodziewacie.”

Mijały dziesiątki lat. Spłonęła Świątynia jerozolimska, powalone mury świętego miasta obrosły lasem krzyżowych szubienic: lecz i to nawet nie był ów *Dies irae*, dzień gniewu. I znów szły lata.

Mijały także wieki. Rok tysięczny nie był Dniem Pana. Bo i niby dlaczego miałby nim być? Zaś Fryderyk II Hohenstauf, *Stupor Mundi* — Zadziwienie Świata, Dur Świata, tak go nazywano — nie był Antychrystem,

choć tak wielu ludzi gorąco w to wierzyło i chociaż rzeczywiście w ciosach, zadawanych przezeń Kościołowi, było coś zadziwiającego. W perspektywie wieków okazało się jednak, że był tylko „bardzo zdolnym wielkim panem o wybitnym umyśle” i wybujałych ambicjach, jak orzekł jeden z jego biografów.

Niepostrzeżenie mijały lata. Ludzie rodzili się i umierali, kochali i nienawidzili, zdobywali, tracili, filozofowali i spijali wino. Wielcy panowie fundowali zamki, rzemieślnicy tworzyli piękno nie zawsze świadome, chłopci orali ziemię, mieszczanie warowali przy mieszkach albo rujnowali się na katedry większe od zamków. Panujący troszczyli się o trony w dynastycznej rodzinie — zupełnie jakby świat był gildią ich prywatnych interesów. Uczni teologowie usiłowali gospodarzyć w tajemnicach Boga z tym większą i bardziej natarczywą pewnością siebie, im który był mniejszy; gdyż wielkim teologom starczało rozumu i pokory. Pobożni zaś prawnicy, rozsiałszy się w Piśmie, budowali formułki coraz bardziej zawiłe, przenikliwym swym umysłom na chwałę. Cieniutką strużką jak piasek w klepsydrze ciekły lata, zmieniało się wiele, coraz więcej. I tylko ludzkie instynkty zawsze te same, te same niedostatki i niedosyt, ta sama wielkość człowiecza i nędze i wiekiście nudne grzechy człowiecze.

„I wy bądźcie gotowi, bo Syn Człowieczy nadejdzie w godzinie, w której się nie spodziewacie. I rzekł do niego Piotr: Panie, czy do nas mówisz tę przypowieść, czyli i do wszystkich?”

To było mówione do wszystkich. Może wiele jeszcze wieków upłynie, zanim się stanie Dzień Pański. Może — nie. Może staruszka ziemia zdąży zaludnić galaktykę. Może — nie. Niewiadome wyroki. Lecz pewne jest: w owej strudze bezszelestnie mijającego czasu, niepostrzeżony i nieuchronny skrada się tamten Dzień Pana jak złodziej, aby ukraść ludziom ziemię pod stopami i znajomy firmament nad głową: świat, który się zestarzał. Aby go przemienić na podobieństwo Zmartwychwstałego. Jest w Ewangelii niewytłumaczalne zawołanie Chrystusa: „Jakże jestem ścieśniony, dopóki się to nie stanie”.

A stanie się na pewno.

„Niechaj biodra wasze będą przepasane i pochodnie gorejące w rękach waszych. A sami bądźcie podobni do ludzi oczekujących powrotu Pana swego z godów weselnych: aby, gdy nadejdzie i zakołace, natychmiast mu otworzyć. Błogosławieni słudzy owi, których pan, gdy nadejdzie, zastanie czuwających. Zaprawdę powiadam wam, że przepasze się i każe im zasiąść, a przechodząc usługiwać im będzie. I czy przyjdzie o drugiej straży, czy też o trzeciej straży nadejdzie, a tak zastanie: błogosławieni są słudzy owi.”

Zadziwiająca. Gdy położy się ostrożne palce na tym tekście... W Starym Testamencie rozmawiał Mojżesz z Panem „jak zwykł mówić człowiek do przyjaciela swego”; gdy jednak powracał Mojżesz z góry świętej — z nim razem szła atmosfera grozy i odwracano głowy, gdyż powracał z bliskości Nie-

wypowiedzianego. W Starym Testamencie stanąć miał Pan przed wszystkim ludem na górze Synaj. Powiedziano wówczas Mojżeszowi: „Wymierzysz ludowi granicę wokół i powiesz im: Strzeżcie się, abyście nie wstępowali na górę ani dotykali granic jej; każdy, kto by dotknął, śmiercią umrze”. Filologicznym szaleństwem byłoby mniemać, że jakikolwiek człowiek z tego kręgu kulturowego mógłby wymyślić rzecz tak niesłychaną, jak ta ewangeliczna wizja Boga, który „przechodząc, usługiwać będzie”. Ale też i nie jest to ludzki wymysł. To tylko człowiek zanotował słowa nie swoje. Jeśli się to naprawdę zrozumie — pęka w szwach również przyciasna konwencja przypowieści, bo i jakież pan usługiwał kiedykolwiek nawet i najlepszym sługom swoim? Zawodzi także i sama kanwa ludzkiego słowa, które chciało wyrazić bodaj cień Rzeczywistości ukrytej poza skradającym się nieuchronnie Dniem Pana. Te słowa są ściszone i błogosławiące — a przecież jest w nich także groza obecności.

„Błogosławiony ów sługa, którego pan, gdy nadejdzie, znajdzie tak czyniącym. Zaprawdę powiadam wam, że postawi go nad całą majątnością swoją. Jeśli by jednak sługa ów rzekł w sercu swoim: Zwleka z powrotem pan mój...”

A gdy nadejdzie, czy znajdzie na ziemi nadzieję, wiarę i miłość?

Proroctwo Jeremiasza 38, 4—6 i 8—10
List do Hebrajczyków 12, 1—4
Ewangelia św. Łukasza 12, 49—53

Niedziela 20 per annum

Rozdwojenie

„Ogień przyszedłem rzucić na ziemię”...

Bardzo to jest krępujące, niezręczne i nie pasujące do wizji miłosiernego i łagodnego Jezusa, ulubionej przez egzegetów. Tak dalece krępujące i niezręczne, że najchętniej widzi się w tym powiedzeniu jedynie daleki sens metaforyczny: iż chodzi tu o „ogień miłości”.

Może i chodzi. Jednakże zaraz po owym zdaniu następują inne, które trudno już przekładać na język metafor:

„Czyż sądzicie, że przyszedłem ustanowić pokój na ziemi? Bynajmniej, powiadam wam, ale rozdwojenie. Odtąd bowiem będzie pięcioro w jednym domu podzielonych: troje przeciwko dwojgu i dwaj przeciwko trzem powstaną: ojciec przeciw synowi, a syn przeciw ojcu swemu, matka przeciw córce, a córka przeciw matce, świekra przeciw synowej swojej, a synowa przeciw świekrze”.

To już jest dość jednoznaczne i trudno byłoby mniemać, iż słowa te mogą znaczyć co innego, niż znaczą. Rozdwojenie znaczy rozdwojenie, podział znaczy podział. Łagodny i miłosierny Jezus rzuca tu stwierdzenia, które doprawdy dla wielu wydać się mogą kłopotliwe.

Zostawmy na boku ów kłopot. I zapytajmy przede wszystkim: czy to prawda? Czy rzeczywiście przyście Chrystusa przyniosło rozdwojenie i podział?

To jest kwestia faktów, nie zaś deklaracji ani mniemań. Gdy u początków swej publicznej działalności przybył Jezus do rodzinnego Nazaretu, przyniósł tam rozdwojenie. I chciano go zrzucić ze skały. Wypędzono go. Szły za nim złorzeczenia. Ale także i błogosławieństwa. Także i wierni ludzie.

Ta sytuacja powtarzała się stale. „Pokój mój daję wam” — tak; ale ten pokój, o którym mówił, że jest jego darem odrębnym i odmiennym od pokoju, który daje świat — ten pokój wcale nie był równoznaczny z miłą zgodą. Ten pokój szedł w parze z rozdwojeniem i podziałem. Szła za nim miłość jednych, nienawiść drugich. Szło zaufanie — i podejrzliwość. Wiara — i podejrzenia o szalbierstwo. Jedne ręce podnosiły się w geście podziękowań i błogosławieństwa, inne ręce — w geście groźby albo i z kamieniem. Tak przecież było i nie trzeba wyobraźni, aby przypuścić, że owe linie podziału musiały przebiegać także i w poprzek grup rodowych czy organizacyjnych. Toć nawet w Sanhedrynie istniało „zawinione” przezeń rozbitcie opi-

nii i postaw; dlatego właśnie Jezusa ujętego w Ogrodzie Oliwnym sądził trybunał kadłubowy, w bardzo niepełnym składzie, pośpiesznie zwołany bez powiadomienia tych, którzy mogli stanąć po jego stronie. Nawet tam doszło rozdwojenie. Czemuż nie miałyby go być również i w rodzinach, również i w domach ludzkich?

Jezus powiedział prawdę: szedł za nim niepokój, szło rozdwojenie i podział. I kwestia miłosierdzia, dobroci, łagodności nie ma tu nic do rzeczy.

Takie są fakty. A jakież ich sens?

Tyle na świecie rozbicia, niezgody i podziałów, tyle swarów i konfliktów. I tyle krwi, tyle smutku i nieszczęść, które wynikły z rozbicia. Czyż nie jest rzeczą szczytną i najpotrzebniejszą właśnie to: żeby jakaś zgoda, żeby jakaś jedność?

Tak. Zapewne. Przytłaczająca większość wynikłych z rozbicia swarów i konfliktów jest niepotrzebna, możliwa do uniknięcia: tak się rzeczy mają w naszym świecie społecznym czy politycznym. Jednakże już nie w świecie naszych mniemań i przekonań, gdzie chodzi o jakąś prawdę. Zobaczmy realia:

Cóż mieli począć biedni ludzie z Nazaretu, którzy znali Jezusa z jego dziecinnych czy chłopięcych lat, a teraz usłyszeli nagle, że ma się za Syna Bożego i Mesjasza? Czy ci, którzy wierzyli weń — dla świętego spokoju mieliby krzyczeć razem z innymi „precz”? Albo też ci, którzy nie byli w stanie uwierzyć i widzieli w nim wicherzyciela — czy dla milej zgody powinni byli kiwać

głowami i błogosławić wbrew swemu przekonaniu? Cóż warta byłaby taka zgoda, jedność i pokój, oparte na kłamstwie i fałszu, na nieszczerości albo strachu? Czy w tych warunkach zgoda, pokój i jedność istotnie byłyby wartościami rzetelnymi i godnymi pochwały?

Czy ci, którym przywrócił wzrok, uleczeni trędowaci, ludzie wyciągnięci z nieszczęścia, albo też i Maria Magdalena — czy wszyscy oni mieliby mu złożyć tylko, że złożyli mu mądrzy uczeni z Jerozolimy? Ci uczeni słudzy Świątyni istotnie byli przewodnikami narodu i ostoją jego jedności. A jedność narodu pozostającego pod obcą władzą istotnie jest rzeczą bardzo ważną i dobrą. Czy w imię tej jedności należało złożyć prawdzie?

A Nikodem. A Józef z Arymatei. A wielu bezimiennych sprawiedliwych: czy istotnie powinni byli zrezygnować ze swej wiary i swojej prawdy dlatego tylko, że stała ona w opozycji do przekonań innych ludzi, a zdawało się, że także i w opozycji do interesów społeczności? A nawet i owi faryzejscy uczeni, nawet i ci, którzy montowali sprawę Golgoty. Można współczuć ich ślepotie; gdyż na pewno rażącą ślepotą było ominięcie faktu, że Jezus nikomu z ludzi zła nie wyrządził, a wielu wyrządził dobro. Można nie bezpodstawnie mniemać, że ich koncepcje religijne były niejednokrotnie błędne — i żałować, że wykazali aż tak wielką, sklerotyczną sztywność postaw. Ale Jezus, umierając, powiedział o nich: Ojcie, wybacz im, ponieważ nie

wiedzą, co czynią. A jeśli istotnie nie wiedzieli, jeśli istotnie w ich linii postępowania były nie tylko elementy nieświadomości, ale także i subiektywnie dobrej woli: jeśli mianowicie mniemali, że skazując Jezusa na śmierć ratują od niebezpieczeństw naród, bo „lepiej, aby jeden umarł za naród”? Co wtedy? Można oczekiwać od ludzi i domagać się zmiany postaw i poglądów w imię prawdy. A jeśli owej prawdy nie rozumieją? Jeśli prawdę widzą inaczej? Czy rzeczywiście należałoby mniemać, że powinni iść za tym, co w ich mniemaniu prawdą nie jest?

Sprawy ludzkiego sumienia często bywają mroczne, a nigdy prawie nie są proste. My, którzy staramy się być ludźmi uczciwymi, bywamy w sumieniach swoich rozdwojeni i podzieleni nawet wówczas, gdy chodzi o prawdy raczej małe i podręczne. I dopóki nasze zawierzenie własnym prawdom nikomu krzywdy nie wyrządza — nie jest nawet rzeczą gorsząca to, że jeden mniema tak, zaś drugi inaczej.

Gdy pojawiła się na świecie prawda tak bardzo wielka jak Jezus i równocześnie tak trudna uwierzeniu i zrozumieniu — wraz z nią musiało przyjść rozdwojenie i rozbicie o wiele bardziej dotkliwie. Był i jest ów podział; nawet i wewnątrz grona tych, którzy uwierzyli. Można żałować, że jest. Można słusznie mniemać, iż jest on zgorszeniem i skandalem. Można się starać, aby różnice mniemań nie łączyły się z niechęcią albo nawiścią: aby ludzie umieli pięknie się różnić i bez złości nie zgadzać z sobą. To na

pewno są szlachetne i sensowne dążenia. Na pewno warto się starać o ich realizację.

Jednakże trzeba sobie powiedzieć także i to: prawda jest ważniejsza od zgody i jedności. I jeśli jedność ma być rzetelna i trwała — musi być ona jednością w prawdzie. Każda inna jedność, każda inna zgoda jest pozorna, krucha i udawana.

Proroctwo Izajasza 66, 18—21

List do Hebrajczyków 12, 5—7 i 11—13

Ewangelia św. Łukasza 13, 22—30

Niedziela 21 per annum

Znak sprzeciwu

Cokolwiek słusznego dałoby się powiedzieć o szczytnych zdobyczach ludzkiej kultury albo też o niewiarygodnym wręcz postępie wiedzy i techniki — prawa świata, także ludzkiego świata, pozostają pierwotnymi prawami biologii i nie widać w nich nic, co mogłoby potwierdzać łatwy optymizm ojca Teilharda de Chardin, wierzącego w naturalne spełnienie czasów i ewolucyjne nadejście Królestwa Bożego.

Silniejszy pożera słabszego; chyba że ten słabszy posiada kolce niestrawne nawet dla mocnych. A różnica w tym zakresie pomiędzy człowiekiem i wszelkimi organizmami niższymi ta tylko, że zwierzęta nie potrafiły wymyślić tysiąca kłamliwych pozorów dla osłonięcia owego pożerania ani też nie produkują kłamliwych słów dla udowodnienia sobie i wszystkim, że rzecz się ma zgoła inaczej zarówno w skali dyplomacji światowej, jak

i w perspektywie małego referenta, który naraził się sekretarce szefa.

W przyrodzie ten, który w walce o byt nie może grozić — zawsze bywał bardzo grzeczny, bardzo gładki, upodabniający się wedle potrzeby do liścia albo do patyka, albo do kory drzewnej, zmieniający skórę i kolory, łatwo znikający. Człowiek też. Ale nie należy lekceważyć człowieka. Człowiek, czyniąc ze swej małości element aktywny, wymyślił rzecz nieznaną światu zwierzęcemu. Wymyślił wazeliniarstwo, odwiecznie swoje własne, niezmiennie w ciągu wieków i nie podlegające żadnej ewolucyjnej regresji. Uzupełnił w ten sposób i zaokrąglił prawa świata.

Nie tylko nad Nilem żyją ptaki, wydziobujące resztki padliny z porozumiewawczo otwartych paszcz krokodylich. I nie tylko w Pacyfiku trafiają się owe osobliwe ryby, wiernie eskortujące rekiny; ryby za małe, aby pobudzić apetyt protektora i wystarczająco duże, aby korzystać z resztek jego jadła. Także i to leży w zakresie praw świata, również i ludzkiego świata, w którego obrębie obserwuje się zjawiska całkowicie zbieżne z opisanymi.

Nie należy jednak nie doceniać człowieka. Osadzony tak mocno w świecie praw swych zwierzęcych braci, prześcignął je nieskończenie. Obdarzony intelektualną refleksją, nie tylko bywa posłuszny prawom świata. On je także rozbudowuje i uzupełnia, udoskonala i tworzy, przekreśliwszy zwierzęcą niewinność. Pyszny, nadęty, płaszczący się, sprzedajny, obłudny i kłamliwy, zachłanny, wiel-

biący siłę i władzę, głupi aż do samouwielbienia, podgarniający pod siebie niezależnie od realnych potrzeb, żyjący niesprawiedliwością — korona stworzenia, człowiek mądry mądrością świata.

Świat kocha swoich. W nieustającej grze egotycznych interesów ofiarowuje im ostry smak podkradań, zabiegów, walki. Ofiarowuje im także i sukcesy, także spełnienia, podziw, szacunek i strach. Szerokie drogi, przestronne bramy.

„I rzekł ktoś: Panie, czy mało jest tych, którzy będą zbawieni? A on rzekł do nich: Usiłujcie wejść przez ciasną bramę, bo powiadam wam, wielu będzie chciało wniknąć, ale nie będą mogli. Skoro bowiem wejdzie pan domu i drzwi zamknie, będziecie stać na zewnątrz i kołatać do drzwi mówiąc: Panie, otwórz nam. A odpowiadając rzecze do was: Nie wiem, kto jesteście. Wtedy poczniecie mówić: Jadaliśmy i piliśmy wobec ciebie i nauczałeś na ulicach naszych. I powie wam: Nie wiem, skąd jesteście. Odstąpcie ode mnie wszyscy, którzy czynicie nieprawość.”

Wielki i piękny jest świat, pełna jest także i ziemia chwały Pana. Na wszelkie piękno i dobro, i chwałę stworzenia trzeba mieć oczy otwarte. Trzeba mieć oczy otwarte także i na obecną w świecie niewytłumaczalną tajemnicę zła, kaleczącego wszelkie stworzenie i pomniejszającego ludzi. Trzeba czuć także i ciężar świata.

Człowiek z Nazaretu, Syn Boży, dany został na znak sprzeciwu. Ci, którzy naprawdę poszli za Nim, dani zostali na znak sprzeciwu,

w imię nowej ziemi i nowego nieba. Świat, który jest, nie będzie ich pieścił. Odrzuci i wydrwi, ponieważ ich mądrość nie jest mądrością świata; jest jej zaprzeczeniem, jest sprzeciwem. Więc nazwie ich głupimi, powie: człowiecze, nie umiesz żyć.

A Bóg nie ześle im żadnego różowego anioła we śnie. I nie będzie ludzkiego strachu i ludzkiej czołobitności: uznania świata. A Bóg będzie im zastępował drogę co dnia.

„...a zapomnieliście o pocieszeniu, z jakim zwraca się do was jak do synów, mówiąc: Synu mój, nie odrzucaj karania Pańskiego ani nie upadaj na duchu, gdy cię strofuje, Bóg bowiem karci tego, kogo miłuje, nie szczędząc uderzeń temu, kogo uznaje za syna.”

Kto może, niechaj pojmuje.

Księga Syracha 3, 19—21 i 30—31 (BT 17n, 20 i 28n)

List do Hebrajczyków 12, 18—19 i 22—24

Ewangelia św. Łukasza 14, 1 i 7—14

Niedziela 22 per annum

Wezwani

Sprawca włamania stulecia albo też bandyta nazwany królem gangsterów — będzie się czuł zaszczycony. Poczuje się jednak dotknięty powiedzeniem, że mimo wszystko jest całkiem z w y c z a j n y m bandytą. Czy to takie dziwne? Przecież i my także nie lubimy zwyczajności, uważając ją za coś bliskiego poniżeniu. Taka jest ludzka natura. Tużinkowy mord skłonni jesteśmy karać szubienicą i otaczać odrazą; jednakowoż sprawca śmierci dziesiątków tysięcy niejednokrotnie bywał wielkim mężem stanu albo wręcz Człowiekiem Historii, choćby nawet sprawiedliwie zginął jak pies. Albowiem jego przestępstwa stały się n a d z w y c z a j n e. My zaś kochamy wszelkie nadzwyczajności i w ich imię skłonni jesteśmy wybaczać milcząco bardzo wiele. A nic nie zdoła dotknąć nas boleśniej, niż posądzenie, że jesteśmy zupełnie zwyczajni.

Jeśli czynimy jakąkolwiek rzecz dobrą i pożyteczną, nie zadowolili nas proste stwierdzenie tego faktu: tęsknimy podświadomie za czymkolwiek westchnieniem: „ach, jesteś nadzwyczajny”. Jeśli czynimy rzecz złą, koronnym argumentem obrony będzie wyjątkowość owej rzeczy złej. Będziemy sobie tłumaczyli, że albo okoliczności są wyjątkowe i niepowtarzalne, albo też że wyjątkowa jest skala uczynku dalekiego od banału. Jeśli nie dysponujemy urodą — dalibyśmy bardzo wiele, aby nasza brzydota była bodaj ciekawa i oryginalna; jeśli zaś przypadkiem jesteśmy śliczni, z trudem trawimy świadomość, że inni bywają również śliczni. Ludzie mówiący o rzeczach zwyczajnych muszą to robić nadzwyczajnie, jeśli chcą liczyć na wysłuchanie, sukces zaś bywa udziałem tych, którzy bardzo dziwnie mówią o rzeczach nadzwyczajnych. Dla znawców zresztą musi to być człek mówiący niezrozumiale o rzeczach bardzo dziwnych: jest to najprostszy sposób zostania gwiazdą sezonu. A wszystkim wiadomo, że każdy z nas stworzony jest do wielkich i wyjątkowych rzeczy; ci zaś, którzy nas o tym umiejętnie przekonują, uważani są za ludzi wysoce inteligentnych. Na dłuższą metę bywa to męczące.

Może się zdarzyć, że — rozejrzawszy się pilnie — nie widzimy wreszcie wokół siebie nikogo, kto świadomie chciałby być zwyczajny i nieduży. Spojrzawszy zaś w lustro widzimy osobnika, który w swoim własnym cichym mniemaniu jest stanowczo niedoceniany. Jeśli zaś przypadkiem ktoś docenia owego

osobnika, możemy być pewni, że już jutro dziesięciu innych nabierze przekonania, iż obiekt został na pewno przeceniony. Gdyż wielu bliźnim nasza doceniana osoba wydaje się krzywdą osobistą (jako i nam w sytuacji odwrotnej) oraz obrazą Boską.

I tak by się chciało spotkać wreszcie kogoś, kto byłby na tyle mądry, aby być zwyczajnym. I tak by się chciało naprawdę szczerze rzec swemu odbiciu w lustrze: stary, nie wygłupiaj się, nie udawaj, nie bądź taki ważny, nie bądź taki nadzwyczajny.

„A przyglądając się, jak pierwsze miejsca wybierali, powiedział zaproszonym przypowieść, mówiąc do nich: Gdy będziesz zaproszony na gody weselne, nie siadajże na pierwszym miejscu, aby snadź nie był zaproszony i godniejszy od ciebie. A wówczas ten, który ciebie i jego zaprosił, nadchodząc rzekłby ci: Daj temu miejsce. Wtedy byś ze wstydem począł ostatnie miejsce zajmować. Ale gdybyś był wezwany, idź, usiądź na miejscu ostatnim, aby skoro nadejdzie ten, który cię wezwał, rzekł do ciebie: Przyjacielu, posiadź się wyżej. Wtedy będziesz miał chwałę u współbiesiadników: bo każdy, kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się unią, wywyższony będzie.”

Niebo i ziemia przeminą, ale ludzka natura chyba je przetrwa i zmieni się ostatnia: z czego zdaje się wynikać, że w Niewypowiedzianym jest także i iskra humoru. I dlatego — jak powiada Pismo — w nowej Rzeczywistości Pana, na nowej ziemi i w obliczu odnowionego nieba ujrzymy także i ostatecz-

ne wielkie porządki. Ujrzymy mianowicie sprawiedliwych, tłocznie zajętych zajmowaniem Pierwszych Miejsc. A zaraz potem nie jeden wielki teolog będzie musiał ustąpić miejsca bardzo zwyczajnej wiejskiej babinie albo listonoszowi — ku zdumieniu swych wielbicieli. I wielu błyskotliwych poszarzeje jak zdmuchnięta świeczka. Z ukrycia miejsc ostatnich przyjdzie bardzo wielu niezmiernie interesujących ludzi zwyczajnych i równie wielu zwyczajnych świętych, o których pies z kulawą nogą nie wiedział na ziemi i za których nikt złamanego grosza by nie dał w dawnym życiu, które przeminęło. I okaże się nagle, że Bóg przygarnął bardzo wielu, których ludzie odrzucili. Odrzucił zaś niejednego z tych, co do których byliśmy prawie pewni, że swoją wielkość przemyca poza próg śmierci.

„A mówił i temu, który go zaprosił: Gdy wyprawiasz obiad albo wieczerzę, nie wzywajże przyjaciół swoich ani braci swoich, ani krewnych, ani bogatych sąsiadów, żeby cię czasem i oni nawzajem nie wezwali, a otrzymałbyś nagrodę. Ale gdy wyprawiasz ucztę, wezwij ubogich, ułomnych, chromych i ślepych, a błogosławionym będziesz, bo nie mają ci czym odplacić: odplacone ci będzie przy zmartwychwstaniu sprawiedliwych.”

Wezwij ubogich. Wezwij ułomnych. Wezwij chromych. Wezwij ślepych. Zwyczajnych, jako i ty. Bo i tobie nie dostaje; bo i ty kulejesz; bo i ty niedowidzisz. Boś i ty biedny. Może masz im coś do ofiarowania.

Księga Mądrości 9, 13—19
List do Filipian 2, 9—10 i 12—17
Ewangelia św. Łukasza 14, 25—33

Niedziela 23 per annum

Miłość i nienawiść

Wzniosły filozof, błogosławiący moralista. Łagodny marzyciel wędrujący wraz z gro-nem uczniów wśród rozkwitłych łąk galilejskich, pomiędzy ciężkimi od kłosów łanami zbóż, pod niebem bardzo błękitnym. A tam lilie, a tu znów drzewo figowe i cień. Od-pocznijmy.

Takim mniej więcej widział kiedyś Jezusa prostoduszny i pełen najlepszej woli Renan. Racjonałiści często zresztą bywają wzrusza-jąco poczciwi i pełni dobrej woli. Czyż nie był takim również i dziadzio Rousseau, tak naiwnie i dziecięco ufający naturze?

A życie jest inne. A prawda chadza inny-mi drogami i nie tak wygląda. Renanowski oleodruk Chrystusa także jest obrazkiem nie-prawdziwym. Bo w rzeczywistości — „Szły za nim rzesze wielkie. I obróciwszy się rzekł do nich: Jeżeli kto przychodzi do mnie, a nie ma w nienawiści ojca swego i matki, żony,

dzieci, braci i sióstr, a nadto i życia swego, nie może być uczniem moim”.

Twarda jest ta mowa i któż jej może słuchać bez sprzeciwu?

Czyż nie powiedziano: „Czcij ojca swego i matkę swoją”? Czy on sam nie mówił po wielokroć i z naciskiem o miłości — w przypowieściach i wprost? Czy nie kazał wielkim weselem czcic powrót zaginionych synów marnotrawnych i czy nie uświęcał niczym niewzruszonej miłości ojca? Czy nie potępił po wielokroć nienawiści? O czymże mówi teraz? Jeśli nawet ten rabbi z Nazaretu jest Synem Przedwiecznego — o czym myśli, kazać nienawidzić? Niektórzy z nas wiedzą przecież aż nadto dobrze, jak wygląda nienawiść i jak smakuje. Niejeden z nas zaraził się nienawiścią jak trądem. Niejeden zna ten zimny spazm wrogości ostatecznej. Więc o czym on mówi?

To bardzo istotne: wiedzieć, o czym mówi.

Jeden ze starotestamentowych Proroków zanotował słowa Przedwiecznego: „Ezawa miałem w nienawiści”. Zajrzyjmy do Pisma, zobaczmy sami: jak to było z Ezawem? Cóż: darzyło mu się we wszystkim, żył bezpieczny i zasobny pod ręką Pana. Nic zgola nie wskazuje, aby ciążyła na nim jego nieprzyjaźń. Jedno tylko daje się zauważyć: kiedy nadeszła sytuacja na rozdrożu i ktoś musiał być wybrany i postawiony na pierwszym miejscu — to Jakubowi przyznano pierwszeństwo, nie jemu. To Jakub został patriarchą, nie Ezaw. To wszystko. Nic więcej. I tę właśnie sprawę wyboru i przełożenia postawiono

w Piśmie na płaszczyźnie miłowania i nienawiści. Tak wyglądała nienawiść Pana, o której mówi Pismo. Inaczej, niż nasza. Całkiem inaczej. To trzeba zrozumieć. Bo może o takiej właśnie nienawiści mówi Bóg. Może właśnie o niej mówi tamten gwałtowny Nauczyciel rzeszom, które szły za nim w upale dróg?

W Ewangelii u Mateusza także powiedziano: „nikt nie może dwom panom służyć, bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował, albo przy jednym stać będzie, a drugim wzgardzi”. Znow to samo, ostro i krańcowo: miłowanie — nienawiść, wierność — wzgarda. A chodzi znow o to samo: o wybór, o przełożenie, o pierwszeństwo i służbę. Samo opowiedzenie się po którejś ze stron otrzymuje w Piśmie ciężar ostateczny, wagę miłości albo nienawiści, wierności albo wzgardy.

Filologia? Egzegeza? A może przede wszystkim — życie?

Uczyliśmy zawsze, domagaliśmy się posłuszeństwa dla rodziców. Załamywaliśmy ręce, że niedobrze. A jeśliby rodzony ojciec uczył pomaleńku kłamstwa, a jeśliby matka wdrażała w mądrość śliskiego życia — co wtedy? Co należy wybrać i czym wzgardzić? Bo jednak zawsze coś się wybiera. Zawsze od kogoś się odchodzi i do kogoś przychodzi. I jak to nazwać? Nienawiścią? Miłością?

Nie: my wcale nie jesteśmy tacy sataniczni. My jesteśmy dobrzy ludzie. Nawet najgorsze rzeczy czynimy w najlepszych intencjach: choćby z miłości dla bliskiego człowieka. „Dla ciebie wszystko”. Nawet bez dekla-

macji. Kradniemy dla naszych dzieci, aby miały wszystko i jeszcze trochę, bardzo się pilnujemy, aby — Boże broń — w niczym się im nie sprzeciwić; dajemy łapówki za nasze dzieci, aby nawet patyczek usunąć spod ich stóp i radzi byśmy do późnej starości trzymać parasole nad nimi, aby przypadkiem kropla deszczu nie spadła na nosy. Gotowi jesteśmy nawet sprzedać się — też dla dzieci. Jasne, że z miłości. A jeśli nie dzieci, to żona, a jeśli nie mąż, to ukochany. A nie tylko w podłych romansach gotowi jesteśmy dla bliskiego człowieka czynić także i rzeczy podłe. W życiu też. „Dla ciebie wszystko.” A jeśli już nie dla kogoś, to bodaj dla siebie: dla swojej wygody i świętego spokoju, satysfakcji i chwały. Też z miłości. A może jednak czasem należałoby rzec komuś albo i sobie, że: nie? Może czasem należałoby przełożyć coś albo kogoś ponad siebie i najbliższych?

Czy chcemy tego czy nie — zawsze i w każdym dniu od kogoś się odchodzi i do kogoś przychodzi. I zawsze ktoś jest pierwszy w sercu człowieka. Zawsze ktoś ma naszą miłość i ktoś bywa wzgardzony.

Zaś w tle nie ma idyllicznych łąk galilejskich. Jest nasze wczoraj, nasze zwykłe dziś i nasze jutro.

„I obróciwszy się, rzekł do nich: Jeżeli kto przychodzi do mnie, a nie ma w nienawiści ojca swego i matki, żony, dzieci, braci i sióstr, a nadto i życia swego”...

Tak, to prawda: ta mowa istotnie jest twarda. Ale przecież taka właśnie a nie inna jest rzeczywistość ludzkiego życia. Popatrz-

my uważnie: przecież nie ma dnia, aby ktoś nie był pierwszy i najważniejszy. Zawsze od kogoś się człowiek odwraca i kogoś wybiera.

A wiemy także i to: że bywają trudne miłości i trudne nienawiści.

„Bo któryż człowiek będzie mógł znać wolę Bożą? Albo kto się domyślić będzie mógł, czego chce Bóg? Myśli bowiem ludzkie są bojaźliwe i niepewne przewidywania nasze (...). A wolę Twoją kto pozna, jeśli Ty nie dasz mądrości? (...)”

Księga Wyjścia 32, 7—11 i 13—14
I List do Tymoteusza 1, 12—17
Ewangelia św. Łukasza 15, 1—31 albo 1—10

Niedziela 24 per annum

Syn marnotrawny

Istnieje taki obły i śliczny termin teologiczny: „ekonomia zbawienia”. Brzmi uczenie, zaś po drodze cichaczem narzuca niedomówione sugestie, iż w sprawach zbawienia tkwi element równie określonej i rachunkowej ścisłości, jak w ekonomice. Okoliczności te wystarczają najzupełniej dla wytkumaczenia popularności tego terminu w zawodowych kołach teologicznych i kaznodziejskich; jeśli zaś chodzi o świeckich wiernych, to i tak przyjmują oni ekonomię zbawienia z takim samym cierpliwym brakiem zrozumienia, jak na przykład oświadczenia lekarza, że cierpi się na dyspepsję. I tak nic nie wiadomo.

Jedno wszakże wydaje się pewne: że to, co w świetle Ewangelii zwykł był czynić Bóg dla zbawienia człowieka — jest bardzo nieekonomiczne. Nieopłacalne. Nie mieszczące się w ramach żadnych rozsądnych rachunków.

Oto przypowieść o pasterzu, który zostawia na pustyni dziewięćdziesiąt dziewięć owiec, aby pójść za jedną, która zginęła. „A gdy ją znajdzie, wkłada na ramiona swoje, radując się. I przyszedłszy do domu, zwołuje przyjaciół i sąsiadów, mówiąc im: Radujcie się ze mną, bom znalazł owcę moją, która była zginęła.” To rzecz ekonomicznie zupełnie nie wytrzymująca krytyki: ryzykować dziewięćdziesiąt dziewięć procent stanu posiadania w imię niepewnej możliwości odzyskania jednego procentu. „Powiadam wam, że taka będzie w niebiesiech radość z jednego grzesznika czyniącego pokutę, jak z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy pokuty nie potrzebują.” Wniosek, że jeden może być równowartością dziewięćdziesięciu dziewięciu, nie ma oczywiście nic wspólnego z rachowaniem. A więc także i z ekonomią, która nie istnieje poza rachunkiem i opłacalnością.

Oto przypowieść o kobiecie, która posiadając dziesięć drachm i zagubiwszy jedną z nich — przewraca cały dom do góry nogami i wymiata wszystkie kąty, aby ją odnaleźć. Jeśli nawet jest uboga — wolno suponować, że czas zużyty na to szukanie mógł być więcej wart w rachunku ekonomicznym, niż odnaleziona drachma. Ona jednak szuka mimo to. „A gdy znajdzie, zwołuje przyjaciółki i sąsiadki, mówiąc: Radujcie się ze mną, bom znalazła drachmę, którą straciłam. Tak, powiadam wam, radość będzie wśród aniołów Bożych nad jednym grzesznikiem pokutę czyniącym.” Który najwidoczniej tyleż

jest wart, co dziesięciu sprawiedliwych, którzy pokuty nie potrzebują.

I przypowieść o synu marnotrawnym. Chłopak jest zupełnie wyraźnie łobuzem: zabrał pieniądze i roztrwonił je wśród pań o profesji raczej niedwuznaczej. Do pracy wziął się dopiero wówczas, gdy stracił wszystko i głód zajrzał mu w oczy. Najwidoczniej nic nie umiał, skoro został pastuchem. „A rad by był napęłnić żołądek swój omłotem, który jadały wieprze, ale nikt mu nie dawał.” Cóż więc czyni w tej sytuacji obiecujący młody człowiek? Ano — zastanawia się: „Iluż to najemników w domu ojca mego ma dożyć chleba, gdy ja głodem przymieram. Wstanę i pójdę do ojca mego, a powiem mu: Ojcze, zgrzeszyłem przeciwko niebu i przeciwko tobie. Już nie jestem godzien zwać się synem twoim, uczyni mnie jakby jednym z najemników twoich. I powstawszy poszedł do ojca swego. A gdy był jeszcze daleko, ujrzał go ojciec jego i uzalił się. I przybiegł, i rzucił się mu na szyję, a ucałował go. I rzekł mu syn: Ojcze, zgrzeszyłem przeciwko niebu i przeciw tobie, już nie jestem godzien zwać się synem twoim. Ojciec wszakże rzekł do sług swoich: Rychło przynieście najlepszą szatę, a przyodziejcie go, dajcie też pierścieni na rękę jego, a sandały na jego nogi. I przywiedźcie cielca tucznego, i zabijcie, a jedźmy i weselmy się: albowiem ten syn mój umarł był, a ożył, zaginał był, a odnalazł się. I poczęli się weselić. A starszy syn jego był w polu. A gdy wracał i zbliżył się do domu, usłyszał muzykę i taniec. Przywołał tedy jednego

ze sług i spytał, co by to było. A ten mu rzekł: Brat twój przybył, a ojciec twój zabił cielca tuczzonego, że zdrowym go odzyskał. Oburzył się tedy i nie chciał wnijsć. Ale ojciec jego wyszedłszy począł go prosić. Lecz on odpowiadając rzekł ojcu swemu: Oto przez tyle lat służę tobie i nigdy nie przestąpił rozkazu twego, a nigdyś mi nie dał koźlęcia, abym ucztował z przyjaciółmi swymi. Skoro jednak przyszedł ten tu syn twój, który roztrwonił z nierządnicami majątność swoją, zabiłeś mu tuczzonego cielca. Ale on rzekł mu: Synu, tyś zawsze ze mną i wszystko, co moje, twoje jest. Należało wszakże weselić się i ucztować, gdyż to jest brat twój, który umarł był, a ożył, zaginął, a odnalazł się”.

Odczucia i reakcje starszego syna nie są pozbawione sprawiedliwej racji. Nie tylko emocjonalnych, również i — chciałoby się rzec — ekonomicznych, gdyż wieloletnia wierna i solidna praca warta była przecież nagrody niezależnie od faktu dziedziczenia. Ale i ojciec ma swoje racje. Racje pozaekonomiczne, może nawet ignorujące sprawiedliwość. Racje serca, racje miłości: „albowiem ten syn mój umarł był, a ożył, zaginął był, a odnalazł się. I poczęli się weselić”. Bo wrócił. Bo jest. Bo może naprawdę zmądrzał. Może już nie odejdzie na poniewierkę. Może zostanie. Syn.

W starotestamentowej Księdze Wyjścia jest tekst o gniewie Pańskim, wywołanym przewierstwem ludu wybranego. Padają wówczas dziwne słowa. Groźny Jahwe mówi do Mojżesza: puść mnie. „Puść mnie, aby roz-

gniewała się zapalczywość moja i abym ich wytracił.” Mizerny i przerażony, ale sprawiedliwy przed obliczem Pana człowiek „trzyma” Przedwiecznego tylko jednym: prośbą. Trzyma skutecznie. „I dał się ubłagać Pan.”

W Nowym Testamencie dzieją się rzeczy dziwniejsze. A może na inny sposób bardziej przerażające.

Trzeba uważać. Trzeba otrzepać się z hałasu niepotrzebnych słów i błahych wydarzeń, trzeba ucichnąć w sobie i bardzo uważać, aby nie przegapić. Bo może ktoś się zagubił i jest nad nim tylko ten wątył, ale nieustający i cierpliwy płomyk szukania. Tyle jest innych świateł jaskrawych — wiele, coraz więcej...

Bo może ktoś się zagubił. Bo może dany mu był moment, kiedy poczuł się niesiony z radością w ramionach Boga i poznał, że równocześnie dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych pozostawionych zostało na pustyni. I uczyniło mu się straszno, gdyż poznał, że to, co się dzieje, jest większe od sprawiedliwości.

A może się to stać jutro. A może się to zdarzyć u progu śmierci.

Może komuś trudno wrócić. A jeszcze trudniej powiedzieć: wróciłem, wybacz. Stoją obok tamci inni, na pewno dobrzy, pracownicy, wierni — nie tak, jak on. Będą się oburzać, będą się gorszyć, będą mówić, że to niesprawiedliwe. I może nawet będą mieli rację. Ale i Ojciec ma swoje racje: „albowiem ten mój syn zaginał był, a odnalazł się, umarł był, a ożył”. Wtedy także może się

zrobić straszno, gdyż w wielkiej miłości jest zawsze coś z grozy.

„A faryzeusze i uczeni szemrali, mówiąc: Że też ten przyjmuje grzeszników i jada z nimi.”

Można być zupełnie spokojnym: szemrają i dziś zupełnie tak samo. Mruczą, stękają, głowami kręcą i pracowicie skrobią donosy z nagłówkiem: „Najdostojniejszy...”

Proroctwo Amosa 8, 4—7
1 List do Tymoteusza 2, 1—8
Ewangelia św. Łukasza 16, 1—13 albo 10—13

Niedziela 25 per annum

Mamona niesprawiedliwości

Wzbudzająca tyle wątpliwości przypowieść o przewrotnym włodarzu: sprytnym człowieczku, który popełnił oszustwo, zalecając dłużnikom fałszowanie zapisów — po to, by pieniądze nieuczciwie zatrzymane przez nich były mu potem przyjacielem. „I pochwalił pan przewrotnego włodarza, że roztropnie uczynił.”

Jest to przypowieść o tyle bardzo ryzykowna, że wyglądać może na pochwałę oszustwa. Jednakże wywiedziony z niej morał nie zawiera pochwały oszustwa. Mówi się natomiast o zasadniczym braku zaufania i dyskwalifikacji ludzi popełniających podobne gierki: „Jeśli nie byliście wierni w nieprawej mamonie, dobra prawdziwe któż wam powierzy? A jeśliście w cudzym nie byli wierzni, któż wam da, co jest wasze?” Równocześnie jednak przypowieść o nieprawym włodarzu zawiera niewątpliwą pochwałę przewi-

dującej roztropności: „I ja wam powiadam: czyńcie sobie przyjaciół z mamony niesprawiedliwości, aby gdy pomrzecie, przyjęto was...”

Jest to rzecz diabła trudna: to czynienie sobie przyjaciela z potencji reprezentowanej przez pieniądź.

Za pieniądze można kupić wiele rzeczy dobrych: sytość, pewien stopień bezpieczeństwa, spokojny dach nad głową, kwiaty pod własnym oknem. Za pieniądze można kupić wiele rzeczy złych i bardzo wiele zła wyrządzić. Bo pieniądze szmacą ludzi. I o tym także nie trzeba nikogo przekonywać: wystarczy mieć oczy otwarte.

Takie stare, archaiczne wyrażenie: mamona niesprawiedliwości. Greckie słowo, upostaciowanie wszelkich możliwości zawartych w pieniądzu: mamona. Mówi człowiekowi zawsze to samo: weź mnie, będziesz panem wielu rzeczy, będziesz panem wielu ludzi, będziesz nimi kręcił jak kukielkami w teatrze. Będziesz widział, jak się im twarze układają w grymas serdecznej usłużności. Będziesz wolny w sposób absolutny: wolny od trosk, wolny od braków, wolny od lęku. A także wolny od ograniczeń. Wszelkich ograniczeń. Gdyż przepisy, nakazy i zakazy są dla ubogich. Sumienie także jest dla ubogich.

A potem człowiekowi zostają w ręku tylko pozory i dekoracje. Bo w rzeczywistości panem był kto inny: pieniądź. Dla pieniędzy człowiek robi wiele. Niektórzy zrobią wszystko. Ci, którzy nie są gotowi zrobić wszyst-

ko — nigdy nie będą mieli dużych pieniędzy; gdyż mamona jest panią zachłanną i absolutną. Więc raczej należałoby powiedzieć inaczej: to pieniądze nie będą miały tych ludzi.

Czy więc można uczynić sobie przyjaciela z mamony? To jest bardzo ryzykowna gra. I wcale nie przypadkiem to Judasz był tym, który dźwigał mieszek. On ich nie posiadał. To pieniądze miały Judasza: takie jest sedno ludzkiej rozpaczki. Przez wszystkie wieki ziemia jest pełna krwi sprawiedliwej wydanej za pieniądze. A nie masz nikogo, kto by się w jakiś sposób nie otarł o zdradę pieniądza. Jakże to: uczynić zeń przyjaciela?

Ewangelia jest pełna trzeźwych i bardzo niepopularnych wskazań dotyczących ubóstwa, zaś reguły wszystkich zakonów nieodmiennie przewidywały obowiązek ubóstwa. Jednakże był czas, kiedy stało się tak: zakonnik nie posiadał nic, zaś zakon miał majątności, wsie, folwarki, karczmy i folusze. A raczej to pieniądze miały zakon, to jest wszystkich ubogich zakonników w kupie i każdego ubogiego zakonnika z osobna. Gdyż każdy z nich — chciał czy nie — uwarunkowany był, związany i obozwładniony majątnością zakonu. Takie jest sedno ryzyka gry. „Żaden sługa nie może dwom panom służyć, bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował, albo do jednego przystanie, a drugim wzgardzi. Nie możecie Bogu służyć i mamonie.” Więc jakże to? Jakże z tym nakazem czynienia sobie przyjaciela z owej „mamony niesprawiedliwości”? Jakże to możliwe?

W swoich *Notatkach z nieudanych rekolacji paryskich* Konstanty Ildefons Gałczyński modlił się tak:

...,żebym w każdej chwili umiał się rozstać z pewnym abażurem, na którym jest wyobrażona bezsensowna ryba; żebym natychmiast ofiarował kanapę, moją pozłacaną kanapę, właścicielce bankrutującego baru, która skarżyła mi się, że po prostu nie ma na czym siedzieć; (...) żebym — jeśli za oknem moim którejs nocy mocniej zagra galilejska fletnia — umiał natychmiast odejść i porzucić majątek”...

Pozal się Boże: ten majątek Gałczyńskiego. Jedna mizeria. Ale to może właśnie o to chodzi: żeby umieć odejść, gdy trzeba. Żeby umieć porzucić. Może chodzi właśnie o to, aby mieć w sobie tę wewnętrzną wolność ubóstwa. Bo tylko w jednym jedynym wypadku człowiek jest realnie panem sytuacji: jest nim wówczas, gdy zdolny jest porzucić to wszystko, co daje albo może jeszcze dać potencja pieniądza. Jest panem wówczas, gdy jest w stanie uznać prawo biedaków do jego własnych pieniędzy; kiedy ich nazbyt nie ceni; kiedy nie czuje w palcach odruchu zgarbiania. Tylko w tym jednym wypadku mamoną może stać się mu przyjacielem: gdy jest poniżona i służebna. W każdym innym cicho i dyskretnie bierze go za twarz.

To dobra, bardzo dobra rzecz: znajomy abażur i ta poetycka pozłacana kanapa. Ale może się zdarzyć i tak, że trzeba odejść, chociaż odejść trudno („Nie mogę. Zrozum. Jestem mały urzędnik w wielkim biurze świata,

a Ty byś chciał, żebym ja latał..”). Może się zdarzyć, że trzeba się podzielić: bodaj tym ciepłym cieniem abażura. Bez żadnej specjalnej łaski i pańskich fumów: po prostu dlatego, że trzeba. To bardzo dobra rzecz: sytość, bezpieczeństwo, spokojny dach nad głową, kwiaty pod własnym oknem. Tak, to na pewno dobra rzecz. Ale może nie za każdą cenę? Jeśli zaś nie za każdą cenę, to może chodzi właśnie o tę ukrytą granicę, poza którą rzeczy dobre (i będące oczywiście kwestią pieniężną) stają się niepostrzeżenie oszustem, zdrajcą i wrogiem? I może znów chodzi o ewentualną umiejętność rezygnacji, która także jest odejściem i porzuceniem? Może chodzi o akceptację niewątpliwiej, bardzo nieprzyjemnej i bardzo zapomnianej prawdy, że każdy człowiek rodzi się nagi i odchodzi nagi, w związku z czym jedynie realną w życiu jest trzeźwa rola dysponenta, nie zaś posiadacza? Czy na pewno jest rzeczą poważną mówić „zdobyłem, mam”, skoro nie zabierze się ze sobą nawet dziurki od guzika?

Nie tak znów trudno złożyć zakonnikowi śluby ubóstwa: już mu tam potem pomogą i przypilnują. O wiele trudniej zarabiać pieniądze, a nie dać się im opanować i ogłupić. O wiele trudniej wytyczyć granicę pomiędzy słusznym szacunkiem dla pracy upostaciowanej otrzymaną zapłatą — i czolobitną czcią dla bożka mamony. Najtrudniej zaś zarabiać małe pieniądze i nie robić małych i płaskich głupstw; robić wielkie pieniądze, nie popełniając wielkich świństw. Ale może właśnie o to chodzi? A także o to przede wszystkim,

aby — dysponując potencją pieniądza — czynić dobro, nie zaś zło? Bardzo wiele dobra można uczynić, jeśli się dysponuje pieniędzmi. To jest ryzykowne, to bywa bardzo trudne, ale to jednak jest możliwe: „czyńcie sobie przyjaciół z mamony niesprawiedliwości”.

Możliwe, ale o wiele trudniejsze, niż ewentualność odwrotna:

„Słuchajcie, którzy trapiacie ubogiego, a czynicie, że giną biedacy na ziemi, mówiąc: Kiedy minie miesiąc, a będziemy sprzedawali towary, i sobota, a otworzymy zboże, aby umniejszać miary, a przyczyniać sykla, i podsuwać szale zdradliwe, aby dostać za srebro nędzarzy, a ubogich za buty, żeby plewy pszeniczne sprzedawać? Przysiągł Pan (...): Nie zapomnę aż do końca wszystkich uczynków ich!”.

Proroctwo Amosa 6, 1 i 4—7
1 List do Tymoteusza 6, 11—16
Ewangelia św. Łukasza 16, 19—31

Niedziela 26 per annum

Tajemnica wiary

Istniało wiele rzeczowych powodów, motywujących uruchomienie aparatu kontroli. Przystawał z nieczystymi i siadał do stołu z kolaborantami. Nie szanował szabatu. Uczonych w Piśmie i doktorów także nie szanował. Mówił o sobie rzeczy co najmniej dziwne. Że „jam jest światłość świata”. Że „pierwej nim Abraham był, jam jest”. Że „jam jest zmartwychwstanie i żywot”. Że „ja i Ojciec jedno jesteśmy”. No, to ostatnie mogłoby być jeszcze do przyjęcia, gdyby nie okoliczność, że owym Ojcem mianował Boga; a to tak, jakby rzekł „ja i Jahwe jesteśmy jedno”. Niesłychane bluźnierstwo, od samego słuchania można zostać grzesznikiem. Wszystko to pilnie notowano w kancelarii pałacu arcykapłana na długo przed procesem. Dla tych panów nie ulegało wątpliwości: zwodzielec i szarlatan. Ale ten człowiek oprócz tego rozkazuje burzom, oczyszcza trędowa-

tych, uzdrawia chorych. Wskrzesał chłopca z Naim i córkę Jaira, a ostatnio Łazarza. Niedawno były kłopoty z tym Johananem, który prawił ludziom impertynencje, a potem chrzczył w Jordanie. A teraz znowu. Ten człowiek jest groźniejszy, wodzi tłumy.

Ale na szczęście ludzie mimo wszystko zachowali zdrowy rozsądek. Na dziesięciu oczyszczonych trędowatych ilu wróciło, aby pozostać przy nim? Ilu go wyznało? J e d e n. I na dodatek to był obcy z Samarii, nie syn Izraela. No, proszę. Cuda cudami, ludzie bardzo lubią takie nadzwyczajne wydarzenia, zwłaszcza gdy na dodatek można jeszcze na nich skorzystać: ostatecznie nie takie proste — pozbyć się trądu. Ale dla rozsądnego człowieka to nie jest jeszcze powód, aby wrócić i powiedzieć: Rabbi, ty jesteś żywot i światłość świata. Ty jesteś prawdziwie Synem Bożym, ty jesteś jedno z Jahwe. I jeszcze potem się narażać. Prawda? Co ma jedno z drugim?

Od początku świata nie słyszano, aby śmierć oddała bodaj jednego z tych, których dotknęła. Z tym Łazarzem było rzeczywiście dziwnie. On naprawdę umarł. Kiedy odwalili kamień, cuchnęło jak wielkie nieszczęście: tam naprawdę był trup. I na głos tego człowieka śmierć odeszła jak pies z podkulonym ogonem, zaś Łazarz powstał z martwych. I co? No, niewiele. Tam było bardzo wiele ludu, tam były tłumy. Oni widzieli. Oni kiwali głowami, cmokali, jednym palcem dotykali Łazarza. Oni się bardzo dziwili. Jak można się nie dziwić? Śmierć zabiera nędzarzy,

śmierć także i królów chowa w prochu. Śmierć bardzo wielka pani. Jaka moc ma ten człowiek, jeżeli oddała mu Łazarza? Oni go dotykali palcem, ale ilu uwierzyło naprawdę? Dziesięciu? Dwudziestu? Co to jest na takie wielkie zbiegowisko? To jest nic.

On potem wjechał do Jerozolimy na święto, ludzie rzucali kwiaty, gałęzie, płaszcze i wołali „Hosanna!”. Kiedy jest święto, to ludzie są zadowoleni i lubią pokrzykiwać, to jeszcze nie jest takie wielkie nieszczęście. Ale i tak to była taka godzina, kiedy panom w kancelariach Sanhedrynu zrobiło się nawet bardzo nieprzyjemnie. Gdyby on był naprawdę Mesjaszem, to on by był mądry, a gdyby on był mądry, to on mógł wtedy narobić bardzo dużo kłopotu. Kto wie: on mógł zrobić powstanie. A gdyby on był jeszcze mądrzejszy, to on mógł zrobić po cichu zgodę. Starsi panowie postękaliby dla formalności, a potem oni by jemu dali całkiem dobre stanowisko, żeby tylko był spokoj. A co on zrobił? On się nagle zrobił całkiem zwyczajny — jakby nigdy nikogo nie uzdrowił i nigdy nikogo nie wskrzesił z martwych. On się zupełnie nie zna na taktyce. Dał się aresztować: a przecież tyle razy znikał jak widmo i ludzka ręka go nie dotknęła. Kiedy dał się aresztować, to oczywiście nawet tych jedynastu najwierniejszych uczniów uciekło i pochowało się po dziurach. Jemu już teraz nic nie pomoże. Choćby nawet ten Łazarz za nim przyszedł i świadczył.

Tak: na szczęście ludzie mają ten zdrowy rozsądek. Niebo na swoim miejscu, ziemia

na swoim miejscu, a żyć trzeba. Jeżeli ma być porządek, to niech każdy pilnuje własnych interesów. Ludzie niech zachowują przepisy, płacą podatki i szanują uczonych w Piśmie, zaś Elohim niech mieszka w swojej niedostępnej światłości i niech ma w swej pieczy naród wybrany.

„...ale gdyby kto z umarłych poszedł do nich, będą pokutę czynili. I rzekł: Jeżeli nie słuchają Mojżesza i Proroków, nawet choćby kto z martwych powstał, nie uwierzą”.

A jeżeli On był więcej niż Prorokiem?

Dziesięciu zostało oczyszczonych z trądu, powrócił tylko jeden — obcy. Ilu uwierzyło naprawdę, kiedy Łazarz powrócił, skąd się nie wraca?

Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny — ziemia jest pełna codziennych znaków Twoich, a oczy człowiecze są ślepe i nie widzą. Ludzie pragną nadzwyczajności i czekają cudu, jeżeli jednak cud zdarzy się naprawdę — z dziesięciu oczyszczonych jeden tylko powraca, aby wyznać Boga. A ten jeden nie jest z plemienia wybranych. Ludzie pragną nadzwyczajności, aż — znudzeni do ostateczności, wylazłszy z kolejnej piwniczki ezoterycznych wtajemniczeń — biorą z półki, co podłeci, choćby i to chrześcijaństwo, czemuż by nie. I zaczynają produkować własne malutkie, łaskotliwe cudeńka: religijny musical na Broadwayu albo i klub nocny „Jam Jest”. I znów jest głośno, głośno, głośno.

A gdzieś w całkiem innym miejscu, może i u obcych, lęgnie się jednak pod skorupą dnia niespodziane ziarenko wiary.

Proroctwo Habakuka 1, 2—3 i 2, 2—4
2 List do Tymoteusza 1, 6—8 i 13—14
Ewangelia św. Łukasza 17, 5—10

Niedziela 27 per annum

Twarze prawdy

Tyle pracy. Tyle pokonanych trudności. Godziny, kiedy chciało się cisnąć to wszystko w diabły: pustka w głowie i piach pod powiekami. Jedno lanie, drugie lanie od losu. I jeszcze trzeba wiedzieć, jak, z kim, którądy: cóż, życie. Tyle zmęczenia, zarwanych nocy, odrzuconych przyjemności. Ale nareszcie — wyniki. Potem — uznanie. Ciepłe słówka, jakieś ciekawe spojrzenia, szmerek. Ktoś się zrywa, ktoś otwiera drzwi, ktoś się kłania. Co tu gadać: przyjemnie. Zresztą rzeczywiście odwalilo się kawał dobrej roboty. O, proszę: tu są noty, wzmianki, listy, zaproszenia, sprawozdania. Duża satysfakcja. Tak. Więc co jeszcze? Może tytuł gustowny i długi jak nazwisko hiszpańskiego granda. Np. coś w typie: inżynier doktor docent habilitowany, laureat..., kierownik..., członek..., ekspert Komisji przy Organizacji etc., etc. Nie, to trochę parweniuszowskie. Trzeba inaczej:

całkiem bez tytułów. Bo już teraz i tak każdy wie. W każdym razie wiedzą przecież ci, którzy się liczą. Więc długi, wąski kartonik: imię i nazwisko. Więcej nic. Po latach życzliwy, łaskawy gest: och, proszę się naprawdę nie krępować, to głupstwo, było mi naprawdę bardzo miło. Gabinet, lampa, jakieś bardzo dziwne hobby, długi sznurek spokojnych dni. Ciepło, przytulnie.

I nagle biała mgła szpitalnych ścian, a w tej mgle bardzo zmartwiona twarz prymariusza. Klepsydra. Ciepły deszcz siąpi, wrony kraczą, mowy: „odszedł od nas człowiek wybitnej wiedzy, olbrzymich zasług i nieposzlakowanej uczciwości”. W głowie wdowy całkiem niedorzeczna myśl: „jak to możliwe, przecież dopiero tydzień temu sprawił sobie sztuczną szczękę”. Sznury hurgocą, gruda łomocze o wieko. Młode liście pachną. Dziecko płacze. Czterej dżentelmeni w czerni bardzo się spieszą. Sąsiad do sąsiada: Stary był trochę dęciak i łaskawca, ale rzeczywiście ma zasługi i zrobił dużo dobrego. Gdyby nie on... Popatrz: fiołki już kwitną. Tam, gdzie ten grobek ze złamanym krzyżem.

Skończył się żywot człowieczy.

Nie zawsze się uda aż tak pięknie. Czasem jest całkiem inaczej: że praca, zmęczenie, zarwane noce, skrywane skrętnie marzenia. A potem niewypał. Coś nie wyszło. Konkurencja. Potknięcie. Błąd. Pech. A może niezależne względy obiektywne. Droga nie ta, miejsce nie to: co ja tu robię? W powietrzu wisi kwaśny dym od wczoraj, w nocy woda kapie z zepsutego kranu regularnie jak me-

tronom. Czemu ta jędza tak się tam tłucze za ścianą? O szóstej trzeba wstać. I patrz: urwało się ucho od teczki. Życie, psiakrew. Wiesz, co mi powiedział ten katabas? — takie tam morały. Że nie bywa złej, nieodpowiedniej pracy, może być tylko źle wykonana praca. Że wszędzie można zrobić coś dobrego i pożytecznego. I że to się liczy. Mądrała. Do jasnej cholery, czy mnie się nie należy bodaj jakieś zadowolenie i satysfakcja z pracy — takiej, którą by się lubiło? Powiedz. Za dużo? Każdemu się sprawiedliwie należy. A co z tego, że się należy? Nic. Tom mu powiedział: księżę drogi, ksiądz tu w parafii robi swoją dobrą robotę, wiem, i ma wyniki, co? No, to i satysfakcję także ksiądz ma. Ja księdzu coś poradzę: niech się ksiądz dobrowolnie wyrzeknie tego zadowolenia. Który to byłby stopień doskonałości chrześcijańskiej? Szósty czy siódmy? A potem już nic, ojcie duchowny, tylko aureolę sidolem pucować.

Słuchaj. Słuchaj, jak ta woda kapie.

Autentyczny wyjątek z listu: „Sądzę, że na fali odnowy posoborowej należałoby wreszcie zrobić ostateczny porządek z historycznymi nawarstwieniami Ewangelii. Choćby to Panie, Panie. Panie Boże, Pan świata. Pan szabatu, Panie nie jestem godzien, Panie zmiłuj się. Jest rzeczą nawet zrozumiałą, że dokument powstały w określonych warunkach cywilizacyjnych i kulturowo-obyczajowych używa pojęć i określeń właściwych swej epoce, zachowując równocześnie zarysy charakterystycznych dla niej typów relacji

międzyosobowej. Takich np., jak pan — sługa. Nie jest to jednak zespół pojęciowy o obiektywnej wartości ponadczasowej, który w aktualnej sytuacji mógłby wyrazić jakieś istotne prawdy egzystencjalne”.

Serio?

..., „A któż z was, mający służbę oracza lub pasterza, powie mu, gdy ten wróci z pola: Pójdź zaraz i siądź u stołu. A nie mówi mu: Przygotuj mi wieczerzę, a przepasz się i usługuj mi (...), a potem ty będziesz jadł i pił. Czy dziękuje słudze onemu, że uczynił, co mu rozkazał? Nie sędzę. Tak i wy: gdy uczynicie wszystko, co wam rozkazano, mówcie: Słudzy my nieużyteczni, cośmy winni byli uczynić, uczyniliśmy”.

Tym razem nie jest to wizja ojca, wybiegającego naprzeciw synowi marnotrawnemu. Ewangelia miewa czasem specjalny talent mówienia rzeczy nieprzyjemnych. I robi to rzeczywiście w bardzo starej konwencji kulturowo-obyczajowej: to fakt.

Ale może i w tej wizji także jest prawda. Inna twarz tej samej prawdy. Może ten Ojciec istotnie jest Panem? Takim, który może dać albo nie. Obdarzyć i zabrać. Postawić tu albo tam; wymagać mało albo wiele. Takim, który w końcu przed nikim nie musi się tłumaczyć? Może ten Pan jest Ojcem, który każdemu daje jakąś szansę, czasem bardzo trudną do odgadnięcia, a jeszcze trudniejszą do przyjęcia — i czeka. I patrzy cierpliwie: co uczynisz. Co zrobisz ze sobą, co zrobisz z ludźmi. Czego chciałeś, o co się biłeś. Co wyszło z rąk człowieczych: jakaś

prawda czy jakiś fałsz. Może tylko plewy. Ludzie, coście zrobili ze światem?

Może w tej sytuacji warto porzucić wszystkie bibeloty pozorów i najmańdziej jest powiedzieć właśnie tak: Słudzy my nieużyteczni, cośmy winni byli uczynić, uczyniliśmy. A powiedzieć to bez kłamstwa: bardzo trudna rzecz. Któż może powiedzieć, że na pewno uczynił to właśnie, co powinien był uczynić — i wszystko, co powinien? I czy zawsze można być pewnym słusności swych uczynków?

Kto wie: może tu chodzi także i o wolność człowieczą, w którą tak trudno uwierzyć, nigdy bowiem nie wiadomo, gdzie rzeczywiście tkwią jej włókienka w gąszczu różnorodnych zewnętrznych i wewnętrznych ograniczeń i determinant? Możemy jednak powiedzieć: nie. Nie chcę. I możemy przecież powiedzieć inaczej: Panie, co chcesz, abyśmy uczynili? Przymnóż nam wiary i rozumu, abyśmy poznali. Do tego nikt nas nie przymusi: abyśmy tak właśnie sprawę postawili.

2 Księga Królewska 5, 14—17
2 List do Tymoteusza 2, 8—13
Ewangelia św. Łukasza 17, 11—19

Niedziela 28 per annum

Naaman Syryjczyk

Starotestamentowa historia Syryjczyka Naamana, który dowiedział się od małej niewolnicy izraelskiej, że jest w jej ziemi prorok, który mógłby go uzdrowić; był bowiem Naaman trędowatym. Gdy z pocztem swoim stanął wreszcie przed domem Elizeusza, ów, nie wyszedłszy nawet, przez sługę swego nakazał, aby Naaman po siedemkroć omył się w Jordanie, a będzie oczyszczony. Rozgniewał się Naaman i nie uwierzył słowu proroka: „Mniemałem, że wynijdzie do mnie i stojąc wzywać będzie imienia Pana, Boga swego, i dotknie ręką swoją miejsca trądu i uzdrowi mnie. Czyż nie lepsze są Abana i Farfar, rzeki Damaszku, niżli wszystkie wody izraelskie?” I rozgniewany odjeżdżał: gdyż Pan przychodził doń nie tą drogą i nie tak, jak sobie to Naaman był wyobraził. Wszelako słudzy wytłumaczyli mu, że żądania izraelskiego proroka nie są przecież wygórowane; cóż

szkodzi spróbować? Usłuchał Naaman: „Poszedł i omył się w Jordanie siedemkroć według mowy męża Bożego i naprawiło się ciało jego jak ciało dziecka małego i był oczyszczony”.

Naaman był cudzoziemcem, Naaman był obcym i nie wiedział nic o Bogu Izraela. Skoro jednak ów Bóg dotarł doń swoimi drogami, które były całkiem inne, niż sobie to wyobrażał — Naaman okazał się lojalnym: „A wróciwszy się do męża Bożego ze wszystkim swoim poczem, przyszedł i stanął przed nim i rzekł: «Prawdziwiem poznał, że nie masz innego Boga na wszystkiej ziemi»”. Miał srebro w jukach, miał bardzo wiele pieniędzy, cały majątek, zaś późniejsze wypadki wykazały, że nie był skąpy. Ten wielki pan najwidoczniej jednak zdawał sobie sprawę, że nie za wszystko można płacić srebrem. Rzekł tedy Elizeuszowi: „Proszę tedy, abyś wziął błogosławieństwo od sługi twego”. Gdy zaś Elizeusz wzbraniał się, rzekł mu Naaman: „Jak chcesz; ale proszę, dozwól mi, słudze twojemu, że wezmę z ziemi brzemię na dwa muły, bo sługa twój nie będzie więcej czynił całopalenia ani ofiary cudzym bogom, jeno Panu”.

Kiedy zaś odjeżdżał — pognał za nim Giezy, sługa Elizeuszowy, chciwością zdjęty: gdyż żał mu się zrobiło, że Elizeusz nic nie wziął od Naamana. I zażądał oszukańczo od Naamana talentu srebra, zaś Naaman z ochotą dał mu dwa. A wróciwszy, nie przyznał się Giezy Elizeuszowi, gdzie bywał. Jednakże Elizeusz rzekł: „Czy serce moje nie było

przytomne, kiedy się wrócił człowiek z wozu swego naprzeciw ciebie? Teraz tedy wziąłeś srebro i wziąłeś szaty, aby kupić oliwnice i winnice, i owce, i woły, i sługi, i służebnice. Ale i trąd Naamana przylgnie do ciebie i do potomstwa twego na wieki». I wyszedł od niego trędowaty jak śnieg”.

I tak Giezy, syn ludu wybranego, wraz z wyłudzoną majątnością wziął trąd na siebie: gdyż zdało się mu, że wolno piec prywatne swoje pieczenie na wielkim ogniu łaski i miłosierdzia Pana.

I tak Naaman Syryjczyk, obcy, odnowiony był w ciele swoim, chociaż nie wierzył słowu Elizeuszowemu; kiedy jednak stało się oczyszczenie mimo niewiary, wyznał Boga Jedyneho, a nie zataił przed nikim wiary swojej, która doń przysła. I zabrał ze sobą ziemię świętą do swojego kraju jak skarb. A ojczyzna jego z przyczyny bogów fałszywych stała się mu obca.

Obok zaś ewangeliczna historia o dziesięciu oczyszczonych przez Jezusa trędowatych. „A jeden z nich, skoro zobaczył, że był uzdrowiony, wrócił, głosem wielkim wielbiąc Boga i padł na oblicze do stóp jego, dziękując: a był to Samarytanin. A Jezus odpowiadając rzekł: Czyż nie dziesięciu było oczyszczonych? Gdzież jest dziewięciu? Nie znalazł się nikt, kto by wrócił i dał chwałę Bogu, jeno ten cudzoziemiec.”

Pisał Apostoł Paweł w liście swoim do Tymoteusza:

„Pamiętaj, że Pan Jezus Chrystus z rodu Dawida powstał z martwych według ewange-

lii mojej, dla której pracuję aż do więzów niczym złoczyńca. Ale słowo Boże nie jest związane. Przeto wszystko znoszę ze względu na wybranych, aby i oni dostąpili zbawienia, które jest w Chrystusie Jezusie w chwale niebieskiej. Niezawodna to nauka: bo jeśliśmy współumarli, razem też żyć będziemy, jeśli wytrwamy (...), a gdybyśmy się go wyparli, i on się nas wyprze. Choćbyśmy nie wierzyli, on pozostanie wiernym, samego siebie bowiem zaprzecić się nie może”.

Wybrani? Ci, którzy się nie wyparli? Także i Naaman Syryjczyk, który nie uwierzył słowu męża Bożego i został oczyszczony wbrew swej niewierze? I ten obcy z Samarii, jedyny, który wrócił, aby wyznać Boga? Zaprawdę: „słowo Boże nie jest związane”, nie kłamał Apostoł.

Cóż jest zbawienie? Cokolwiek przydarzyłoby się w niewyrażalnych i nie przekazywalnych doznaniach dusznych, gdzie waży się grzech i odkupienie, żal i wybaczenie — człowiek jest jeden w swej istocie. Człowiek jest także i ciałem. Wierzymy w realne zmartwychwstanie Jezusa, wierzymy w zmartwychwstanie człowieka, wierzymy w zmartwychwstanie świata. Wierzymy, że jedne i tożsame w swej istocie są przyrzeczone rzeczy ostateczne: chwała odnowienia. Wierzymy w nowe niebo, wierzymy w nową ziemię i przemienionego, a przecież tożsamego człowieka. A więc także i w chwalebne przemienienie materii. Wierzymy, że ocalony zostanie sens świata i nie pozostaną bez odpowiedzi wielkie biedy człowiecze, krzywdy

i bóle, które były, są i jeszcze będą. I wszystko to jest odkupieniem i wszystko to jest zbawieniem przez życie, ciało i śmierć Chrystusa i jego chwalebne zmartwychwstanie.

Wierzymy w oczyszczenie trądu dusz człowieczych i trądu, którym jest znikomość i ograniczoność ciała ludzkiego, a także i trądu, którym jest obojętna anonimowość prochu ziemi, gromadzącego w sobie wszelkie stworzenie.

Wierzymy w ostateczność życia, a nie śmierci. Wierzymy, że wszelkie ciało ostanie radosną i chwalebnią świątynią Boga na wieczność; gdyż dobre dzieła Pana zniweczone być nie mogą i nie na próżno Bóg wszedł w materię, stając się człowiekiem.

A jako do Naamana przyszedł Pan drogami niespodziewanymi, aby go oczyścić, wierzymy, że do wielu przyjdzie podobnie, nie bacząc na uroczyste prognozy i solenne spodziewania naszej głupiej ludzkiej uczości.

Gdyż prawdziwie słowo Boże jest wolne i nie związane, Bóg zaś wierny i siebie samego zaprzecić się nie może.

Księga Wyjścia 17, 8—13
2 List do Tymoteusza 3, 14—4, 2
Ewangelia św. Łukasza 18, 1—8

Niedziela 29 per annum

Teologiczne ciuszki

Prócz fragmentu starotestamentowej Księgi Wyjścia i przypowieści z Ewangelii św. Łukasza — czyta się dziś także urywek z listu św. Pawła Apostoła do Tymoteusza:

„Ty wszakże trwaj w tym, czegoś się nauczył i co ci zostało zwierzone, wiedząc, od kogoś się nauczył, znając od dzieciństwa Pismo święte mogące cię oświecić ku zbawieniu przez wiarę w Chrystusa Jezusa. Wszelkie Pismo przez Boga natchnione jest użyteczne do pouczania, do przekonywania, do napominania, do kształcenia w sprawiedliwości, by człowiek Boży stał się doskonały i do wszelkiego dobrego dzieła zaprawiony.

Zaklinam cię przed Bogiem i przed Jezusem Chrystusem, który będzie sędził żywych i umarłych, przez przyjście jego i przez jego Królestwo — głoś naukę, nalegaj w porę czy nie w porę, przekonywaj, proś, karć z wszelką cierpliwością i nauką”.

W tym miejscu tekst czytania liturgicznego urwano, nie cytując bliższego wyjaśnienia, dla jakich to konkretnych powodów w testamentarnym swym liście Apostoł tak uporczywie i gorąco nalega na ucznia swego i przyjaciela Tymoteusza, biskupa Efezu. Następne zaraz zdanie brzmi:

„Bo nadejdzie czas, że zdrowej nauki nie ścierpią, ale według swych pragnień zgromadzą sobie nauczycieli, a żądni tego, co lechce ucho, odwrócą słuch od prawdy i obrócą ku baśniom. Ale ty czuwaj (...). Bądź rozsądny”.

W ówczesnym Efezie okazji do lechtania uszu było istotnie wiele: kultury perskie i babilońskie, azjatyckie i afrykańskie, apokaliptyczne żydowskie i kabalistyczne dociekania, a jeszcze najróżniejsze ezoteryczne wtajemniczenia misteryjne tudzież nieodmiennie duży urodzaj na ludzi skłonnych do zapominania o roztropnym skądinąd prawidło, że nawet w ekstazie nie należy tracić głowy. Także i wówczas, gdy ekstaza powodowana jest zachwytem nad własną ekscytującą osobowością.

Bardzo to dziwne i zastanawiające, że w tym wiecznie ewoluującym świecie nic się nie zmieniło: w szczególności zaś urodzaj na ekscytujące osobowości teologiczne. Zanurzmy się na moment w tym współczesnym targowisku efeskim:

Oto uczony mąż wychwala postać i naukę Chrystusa w sposób wzruszający aż do łez; tak bardzo wzruszający, że mniej spostrzegawczy czytelnik z łatwością przeoczy fakt, iż według onego męża Chrystus zgoła nie ist-

nieje. Oto inny uczony stwierdza rozbrajająco (to cytat, a nie zmyślenie): „Chociaż w celu zachowania swej nazwy chrześcijanin zobowiązany jest przyjmować opowieści chrześcijańskie, nie musi bynajmniej wierzyć w te opowieści ani nawet w to, że Chrystus w ogóle kiedykolwiek istniał”. Oto prorok całkiem duży uspokaja lud Boży stwierdzeniem, że zgoła nie jest ważne: istniał jakiś realny Jezus czy też nie istniał, jaki był i czy powiedział cokolwiek, bo i tak wszystko to — od Wcielenia poprzez Zmartwychwstanie po Sąd jest tylko starą mitologią żydowską. Istotny jest natomiast Chrystus wiary. To tak mniej więcej, jakby powiedziano: istotna jest kreacja ludzkich zachceń, skoro ów Chrystus siłą rzeczy nie może mieć nic wspólnego z Jezusem historii. Inny zaś rzecze: „Chrystus sam w sobie był niczym”. A jeszcze inny bąknie: „ba! ale on był przeźroczysty na Boga”. „Wielkim wkładem Hebrajczyków w religię było to, że się jej pozbyli”, rzecze kolejny mędrzec. Czemuż więc ogarnia was łagodne zdumienie? — przecież od dawna wiadomo ludziom inteligentnym, że najskuteczniejszym wkładem w piękną czuprynę jest gruntowne wyłysienie.

„Właściwy stosunek do Boga nie jest uzależniony od niczego religijnego, a nawet religia może być największą w nim przeszkodą.” „Teraz, gdy świat doszedł do pełnoletności, stał się bardziej bezbożny i być może dlatego właśnie bliższy Bogu, niż kiedykolwiek przedtem.” Bo — gdyby to kogoś interesowało — Bóg umarł. „Bóg rzeczywiście

umarł w Chrystusie, ta śmierć jest faktem zarówno historycznym, jak i kosmicznym i — jako taka — jest faktem ostatecznym i nieodwracalnym, którego nic już nie może odwrócić.” A więc? „Jeżeli nasza historia jest naprawdę historią, w której nie ma już Boga, powinniśmy ze stoickim spokojem nie tylko przyjąć, ale raczej z całą zarliwością wiary pragnąć śmierci Boga.” W związku z tym „wymawianie imienia Boga w chwili, gdy Go nie ma, jest zwykłym bluźnierstwem, które profanuje świętość Boga i ośmiesza wiarę, która kiedyś dawała świadectwo o Jego obecności”. Które to stwierdzenie budzić może pewien niepokój nie tyle o metafizykę, ile raczej o poczucie humoru męża uczonego, który je wygłosił: tym bardziej, że — jak wynika z dalszych jego wywodów, dla człowieka tego Bóg jest identyczny z szatanem. Wszystkie są wyjęte z tekstów uczonych teologów.

Co pozostaje? W najlepszym, najbardziej optymistycznym wypadku „na placu boju zostaje tylko naturalizm z jego interpretacją Chrystusa, jak i całego chrześcijaństwa w oparciu o przesłanki humanistyczne. Tylko taka alternatywa może w tej sytuacji liczyć na jakiś odzew inteligentnych ludzi”. Nie zmyśliłem tu ani jednego cytatu.

Tu małe wyjaśnienie dla niedoinformowanych: panowie z agory efeskiej opatrują siebie i swoją naukę przymiotnikami: „inteligentny”, „uczciwy”, „szczery”, „odważny”, „dojrzały”, „radikalny”. Poza wszystkim innym użycie skromnych tych przymiotników

sugeruje w sposób dość automatyczny, choć najsubtelniejszy z możliwych, iż ludzie o odmiennych poglądach i całkiem innym pojmowaniu spraw należą do nieuczciwej, zakłamanej, tchórzliwej i niedojrzałej konserwy. Panowie ci oraz panie mawiają też z zapalem o „postępowej awangardzie elity intelektualnej” oraz o „niesłuchanie pryncypialnym znaczeniu ideowym” swych wynalazków. Nie bardzo natomiast wiedzą, gdzie by tu można jeszcze użyć przymiotnika „prawdziwy”.

Czym wszelako nie należy się przejmować. Dzieje teologii są usiane szczątkami i śmietkami teorii, które w swoim czasie — zanim moda na nie minęła i kolejny teologiczny Dior zbankrutował — wydawały się nierównie rozumniej motywowane: do tego stopnia, że ci, którzy ośmielali się je lekceważyć, nierównie poważniej uważani byli za półgłówków i obskurantów. Więc jakoś przeżyjemy. Chyba że przed tym zadziobią nas Ciotki Zbrojne Kościoła oraz dewocy awangardy, mrużący zaciekle: „Niech żyje Wielka Diana Efeska, która sama jedna więcej nas nauczyła, niż cały episkopat razem z klerem”.

Bo Polak herezji nie wymyśli. A jeśli już — to taką całkiem małą: że biskupa nie uznaje, ale Ojca świętego kocha. Polak natomiast ma słabość do różnych takich komisowych delikatesów oraz innych teologicznych ciuszków: przepocone to i nieco nadarte, ale jednak zapaszek ma podniecający. Polak to lubi. I nieraz daje się naciąć na

buble, kupując za pół darmo wytworne czarne pantofle, które po bliższym zbadaniu okazują się pantoflami do trumny.

Mądry był święty Paweł: „Bo nadejdzie czas, że zdrowej nauki nie ścierpią, ale według swych pragnień zgromadzą sobie nauczycieli, a żądni tego, co łechce ucho, odwrócić słuch od prawdy a obrócić ku baśniom. Ale ty czuwaj (...). Bądź rozsądny”.

Księga Syracha 35, 15b—17 i 20—22 (BT 12—14 i 16—18)

2 List do Tymoteusza 4, 6—8 i 16—18

Ewangelia św. Łukasza 18, 9—14

Niedziela 30 per annum

Faryzeusze

„Dwóch ludzi weszło do świątyni, aby się modlić: jeden faryzeusz, a drugi celnik. Faryzeusz, stojąc, tak się modlił w duszy: Boże, dziękuję ci, że nie jestem jak inni ludzie, drapieżni, niesprawiedliwi, cudzołźnicy, jako i ten celnik. Poszczę po dwakroć w tygodniu, składam dziesięciny ze wszystkiego, co mam. A celnik stojąc z daleka nawet oczu swych nie chciał wznieść w niebo, ale bił się w pierś, mówiąc: Panie, bądź miłościw mnie grzesznemu. Powiadam wam: ten odszedł do domu swego usprawiedliwiony, nie tamten.”

Dziękuję ci, że nie jestem jak inni ludzie. I nam się to zdarza: że nie jesteśmy jak inni ludzie. Oni są zachłanni i drapieżni. My — skądże? Oni są niesprawiedliwi. Każdy z nas ma natomiast tę dziwną właściwość, że z reguły postępuje słusznie; chyba, że mu ktoś przeszkodzi. Gdy mówimy o rozlicznych nieprawościach ludzkich — jesteśmy trzeźwi,

przenikliwi i rozsądni. Gdy zdarzy się nam niepokój sumienia — z chętną satysfakcją przyjmujemy tłumaczenie, że jest to tylko chorobliwy kompleks winy.

Nasze miarki: osobne dla siebie, osobne dla innych. Miarka dla bliskich. A także odmienna miarka dla nieznajomych. Miarka dla tych, którzy cieszą się szacunkiem i uznaniem społecznym. I miarka dla tych, którzy szczęścia tego nie mieli. Faryzeizm mamy we krwi.

Jest takie stare hebrajskie przysłowie: „Gdy bogaty jada węże, mówi się: jada je dla zdrowia, to mu dobrze robi. Gdy jada je biedak, mówi się: zjada je z głodu”. Można by snuć dalej tę ironiczną mądrość. Gdy syty pości, mówi się: jakaż to wielka ofiara z jego strony, wszak nie przywykł do postów. Głodni zaś nic ofiarować nie mogą, jeśli bowiem poszcza, czyż nie czynią rzeczy codziennej? Gdy renomowany myśliciel rzecze: „co mnie i tobie, Boże?” — mówi się z dyskretnym szacunkiem: z powodu intelektualnej uczciwości tak powiedział, przeżywa bowiem głębokie trudności filozoficzne. Gdy to samo powie prosty człowiek, któremu umarło jedyne dziecko — mówimy z pretensją: dlaczego bluźnisz? Ale to chyba nad nim właśnie, nad bezradnym bluźniercą, rozpostrze się wielkie miłosierdzie Pana. Ale to chyba codzienna bieda bardziej będzie błogosławiona, niż odświętne ofiary możnych i sytych.

Dziękuję ci, że nie jestem jak inni ludzie.

Bo my jesteśmy zawsze w porządku: pła-

cimy podatki, żyjemy w zgodzie z dyrekcją, rozliczamy delegacje. Kłaniamy się tym, którzy mogliby nas kopnąć, ale lepiej, żeby nie, i odmawiamy szacunku tym, których szanować po prostu nie wypada. Klaszczemy w dłonie, ponieważ ktoś patrzy, i mruzczymy poufne anegdotki pod kaloryferem, ponieważ nikt nie patrzy. Pokorne ciele dwie matki ssie, zaś człowiek potrafi i dziesięć; czyni to przy tym z tak pomysłowym wdziękiem, że wszystkie są rade. Dziękuję ci, Pannie, że nie jestem jak inni ludzie: głupi i niezaradni. Jesteśmy w porządku: pielęgnujemy grzeczne niechęci na rozkaz, kochamy wedle mody, naśliniony paluszek wystawiamy: skąd wiatr wieje. Nikogo nie zabiliśmy. Jeśli ukradliśmy, to chyba tylko cudzy pomysł albo cudzą pracę. Jeśli oszukaliśmy, to zawsze kulturalnie i w ścisłej zgodzie z kodeksem towarzyskim. Jeśli kłamiemy, to tylko dlatego, że inaczej żyć niepodobna.

Boże, bądź miłościw.

Zaraz: ale przecież mówimy inaczej: „dziękuję ci, że nie jestem jak inni ludzie”. Kto odejdzie usprawiedliwiony?

Był człowiek imieniem Paweł: drobny, chudy, chorowity Żyd. Miał wiele wad i właściwie dwie tylko zalety: wielką inteligencję i wielką uczciwość. Wiedział, co mniemać o sobie i dziękował Panu, że może czynić to, co czyni, będąc takim, jakim jest: ułomnym i słabym.

Kiedy pisał jeden z ostatnich swych listów, był stary. „W czasie pierwszej mej obrony nikogo nie było przy mnie, ale wszy-

scy mnie opuścili, niechaj to im nie będzie poczytane. Ale stał przy mnie Pan i umocnił mnie.” Cóż jeszcze? „Płaszcz, który zostawiłem w Troadzie u Karpa, i księgi, zwłaszcza pergaminowe, gdy przybędziesz, przynieś z sobą. Mosiężnik Aleksander wiele mi złego wyrządził”...

Ale to wszystko już nieważne i trochę dalekie. „Spiesz się, abyś rychło przybył do mnie.” Zbliża się koniec i Paweł o tym wie. Pisze o śmierci, jak o narodzinach: „czas rozwiązania nadchodzi”. I mówi:

„Toczyłem dobry bój, biegu dokonałem, wiarym dochowałem”.

Jest w tym wielki, bardzo wielki i radosny spokój człowieka, który nie pozbywszy się żadnej ze swych ułomności, potrafił być większy niż one. Te słowa są szczerze i prawdziwe, godne zazdrości.

Księga Mądrości 11, 23—12, 2
2 List do Tesaloniczan 1, 11—2, 2
Ewangelia św. Łukasza 19, 1—10

Niedziela 31 per annum

Przygarnął świat

Kościół jest dla tych, którzy błądzą po siedemkroć i nie znaleźli swego miejsca. Dla tych, którzy błądzą; jednakowoż nie sprawia to im żadnej przyjemności dokładnie od tego właśnie momentu, w którym zrozumieli, że błądzą. Kościół jest dla tych, którym źle jest z sobą i trudno bywa ze światem; potrafiliby jednak zrozumieć bodaj to, że niczego nie osiągną, powtarzając uparcie i dziecinnie: „ja sam, ja sam, ja sam”. Kościół jest dla grzeszników, nie dla nadludzi. Kościół jest dla dobrych łotrów, jak tamten z Golgoty. Ale też nie jest dla sknerów, dęciaków i skarbników obłudy.

Kochamy schematy. Także i schemat o okrucieństwie Starego Testamentu i o łagodności Ewangelii. A w rzeczywistości to nie bardzo jest tak. W rzeczywistości Ewangelie w tej samej mierze niosą miecz, co pokój, a nie zbywa im na twardości, gdy mówią

o niektórych sprawach ludzi. Prawdą jest natomiast, że istotnie są sytuacje, w których Ewangelie zawsze i nieodmiennie mówią głosem ściszym i jeden tylko najprostszy gest mają do ofiarowania: gest przygarnięcia, już całkiem bez niepotrzebnych słów.

„A wszedłszy, przechodził przez Jerycho. I oto mąż imieniem Zacheusz, który był zwierzchnikiem celników i bogaczem, usiłował zobaczyć Jezusa, kim by on był, a nie mógł z powodu rzeszy: był bowiem małego wzrostu. I pobiegł naprzód, wspiął się na drzewo sykomory, aby go ujrzeć, bo tamtędy miał przechodzić. A gdy Jezus przybył na miejsce i spojrzął wzwyż, ujrzał go i rzekł do niego: Zacheuszu, zejź zaraz, dziś bowiem muszę stanąć w domu twoim. I zszedł spiesznie, a przyjął go z radością. A wszyscy widząc to szemrali mówiąc, że zatrzymał się u człowieka grzesznego. Zacheusz wszakże stanąwszy rzekł do Pana: Panie, oto połowę dóbr moich rozdaję ubogim, a jeśli kogo skrzywdziłem, zwracam w czwórnasób. Rzekł mu Jezus: dzisiaj temu domowi stało się zbawienie, gdyż i on jest synem Abrahama. Syn Człowieczy bowiem przyszedł szukać i zbawić, co było zgineło.”

Tak: po to właśnie przyszedł, nie po co innego. Także i po Zacheuszy: niespokojnych, ciekawych, szukających i grzesznych, których stać jednakże na radość odnalezienia i ów gest: „a jeśli skrzywdziłem kogoś, zwracam w czwórnasób”.

Biedny Zacheusz, pełen dobrej woli: bogacz, który nie zdawał sobie sprawy z wła-

snej nędzy. Czy zawsze można zwrócić? Bo jeśli nie, bo jeśli istnieją krzywdy człowiecze, których człowiek odwrócić nie jest w stanie — to może rzeczą rozsądną byłoby zdać sobie z tego sprawę? Bodaj w imię własnej prawdy. Po to, aby potem nie mówić już o własnym zadośćuczynieniu, lecz raczej już tylko o czyimś miłosierdziu.

Dziwna rzecz: Stary Testament, który umie opowiadać okrutnie o rzeczach pełnych grozy — ma miejsca, w których podobnie przemawia głosem ściszym i czyni ten sam gest przygarnięcia. Zawsze i nieodmiennie dzieje się tak wówczas, gdy mówi o dobrych dziełach Pana, które nie mogą zagać, ponieważ uczynione zostały z miłością. To są wielkie teksty:

„Albowiem jak najmniejsze ziarnko na wadze, tak jest przed Tobą okrąg świata, i jak kropla rosy porannej, która upada na ziemię. Ale ty masz litość nad wszystkimi, bo wszystko możesz, i przebaczasz grzechy ludzkie dla pokuty. Miłujesz bowiem wszystko co jest i nie masz w nienawiści nic z tego, coś uczynił, bo nie nienawidząc ustanowiłeś cokolwiek albo uczyniłeś. A jakżeby mogło co trwać, gdybyś był nie chciał? albo co mogłoby być zachowane, czego byś Ty nie wezwał? A Ty oszczędzasz wszystko, bo Twoje jest, Panie, który miłujesz życie.

O, jak dobry jest, Panie, duch Twój we wszystkim!” (...)

Trzeba bardzo uważnie czytać Pismo. Nigdy nie wolno zapominać o tych ściszonych tekstach starotestamentowych, które nazy-

wają Boga „sprawcą piękności” i przeto chwala wszelką piękność oczyma ludzkimi oglądana, jako rzecz Pana; i mają dla niej cześć należną dotknięciu Boga. Które adorują dobre, mądre i z miłością uczynione dzieła Pana, choć przecie tak okrutnie potrafiły mówić o doświadczeniach grozy świata i o tajemnicy zła.

Trzeba też pamiętać zawsze o jednej z najgłębszych i najbardziej podstawowych mądrości Starego Testamentu: że nie wolno oddzierać stworzenia od Stwórcy.

Byli i są ludzie, którzy mniemają, że pogarda dla stworzenia jest warunkiem miłości do Stwórcy i że należy zerwać wszelkie więzy ze światem i stworzeniem, jeśli Bogu mówi się „tak”. Byli i są inni ludzie, którzy sądzą, że musi się znienawidzić Boga, jeśli pragnie się ocalić świat i stworzenie. Jedno i drugie, choć pozornie przeciwstawne, jest w istocie tym samym błędem. I to nieprawda, że wymyślonym przez przeciwników chrześcijaństwa. Gdyż w tym właśnie miejscu chrześcijanie potrafili przedziwnie spotykać się z nieprzyjaciółmi Boga.

„Przygotujcie więc miejsce dla Jezusa w waszym sercu i zamknijcie wejście dla wszelkiego stworzenia.

Jeśli potraficie zniszczyć całkowicie i wyrzucić z waszego serca miłość stworzenia, wówczas przyjdźcie do mnie.”

„Wszystko, cokolwiek nie jest Bogiem, niczym jest i za nic powinno być poczytane.”

Tak pisał Tomasz à Kempis w *Naśladowaniu Chrystusa*: mistrz wielu już pokoleń,

obowiązkowa lektura seminariów. Był świętym człowiekiem i bardzo wiele mądrych stronic jest w jego dziele. To jednak, co napisał o stworzeniu, jest nieprawdą. W tym właśnie miejscu stracił równowagę. Stworzenie nie jest „niczym”: jest dobrym i ukochanym dziełem Pana.

Jego myśl — także i myśl Bossueta — pokaleczyła bardzo wielu ludzi. Pokaleczyła także i Mauriaca, zanim zestarzał się i zmartwił.

Był letni dzień, kiedy umierała jego matka. Na parę minut przed śmiercią popatrzyła na drzewo za oknem rozśpiewane ptakami i powiedziała: „tego mi żal”. A młodego Mauriaca porwał za włosy obłędny lęk, że matka zdradziła Jezusa i duszę własną. Zupełnie, jakby to szatan, a nie Bóg stworzył świat. Jakby Pismo nie mówiło o stworzeniu niczego dobrego. Zupełnie tak, jakby Bóg po raz wtóry i ostateczny nie przygarnął wszelkiego stworzenia, stając się człowiekiem i schodząc w proch ciała; jakby nigdy nie przyrzekł odnowienia ziemi.

Bardzo głęboko ukryta, tętniła w Mauriacu niepozbywalna gallicka miłość ziemi i stworzenia. Wstydział się jej jak niezręcznej choroby i bał się jej jak diabła: wmówiono mu bowiem, że ta miłość jest pogańska. Bał się wyciągnąć ręce do słońca po trzech dniach pełnych mgły. Przeklinał wszelkie Boże stworzenie: „Najdrobniejsze źdźbło, do którego nie przestajemy być przywiązani, wystarczy, aby zakryć nam Boga”. Ziębniętego człowieka grzejącego się w wiosennym słońcu

porównywał do psa, mniemając, że tego rodzaju „fizyczne radości” przyprawić mogą o utratę zbawienia.

„Bóg cierpliwy umie zastawiać sidła, które zwierza zaduszą.” Czy na pewno chorzy, zbląkani, okrutni chrześcijanie nie mają udziału winy w gorzkim buncie tych, którzy doszli do wniosku, że nie pozostało nic innego, jak znienawidzić Boga, aby ocalał świat i stworzenie?

A w rzeczywistości Bóg przygarnął świat i wszelkie stworzenie grubo wcześniej, nim ludzie zdążyli znienawidzić. A w rzeczywistości rację ma Stary Testament, mówiąc Bogu: „miłujesz bowiem wszystko, co jest i nie masz w nienawiści nic z tego, coś uczynił, bo nie nienawidząc ustanowiłeś cokolwiek albo uczyniłeś”. Bóg umiłował świat bardziej i nieopisanie głębiej, niż potrafili to zrobić poganie. Oni ofiarowują mu nicość. On — odnowienie w chwale na wieczność.

Syn Człowieczy przyszedł szukać i zbawiać, co było zgineło.

2 *Księga Machabejska* 7, 1—2 i 9—14

2 *List do Tesaloniczan* 2, 15—3, 5 (BT 2, 16—3, 5)

Ewangelia św. Łukasza 20, 27—38 albo 20, 27 i 34—38

Niedziela 32 per annum

Światła na grobach

Czytanie ze starotestamentowej Księgi Machabejskiej o siedmiu braciach zamęczonych przez króla, iż nie chcieli przekroczyć praw Zakonu. A gdy konał drugi, dał świadectwo swej nadziei: że „król świata nas, którzy za jego prawa umieramy, wzbudzi na zmartwychwstanie żywota wiecznego”. A gdy znęcano się nad trzecim, wyrrywając mu język — „z ufnością mówił: Z nieba to mam, ale dla Zakonu Bożego teraz i tym gardzę, bo się od Niego znowu to otrzymać spodziewam”. A gdy czwartego zabijano, rzekł władcy: „Lepiej jest od ludzi być na śmierć wydanym a czekać nadziei od Boga, że się znowu wskrzeszonym będzie; bo dla ciebie nie będzie zmartwychwstania ku żywotowi”.

W liście do Tesaloniczan zachęta do wytrwania w nadziei, a także „we wszelkim uczynku i dobrym słowie”. „A wierny jest Bóg, który was utwierdzi.”

Łukaszowa Ewangelia o zmartwychwstaniu, osnuta wokół zapytania saduceuszów: „Nauczycielu, Mojżesz napisał nam: Jeśli brat czyj, mający żonę, umarł bezdzietnie, niech żonę jego pojmie brat jego i niechaj wzbudzi potomstwo bratu swemu. Było też siedmiu braci: pierwszy pojąwszy żonę umarł bezdzietnie. I pojął ją następny, ale i on umarł bezdzietnie. I pojął ją trzeci i podobnie wszyscy siedmiu, i zmarli nie zostawiwszy potomstwa. A po wszystkich umarła i niewiasta. W chwili zmartwychwstania tedy któregoż z nich będzie żoną? Jako że siedmiu miało ją za żonę”. Z odpowiedzi Jezusowej wynikają dwa stwierdzenia. Pierwsze — że ów saducejski problem jest problemem pozornym, gdyż przyszły zmartwychwstały i odnowiony świat nie będzie już naszym aktualnym światem. I drugie — że realny będzie ów świat i realne zmartwychwstanie: gdyż „Bóg nie jest Bogiem umarłych, ale żywych”.

Rzeczą niezmiernie interesującą jest zestawienie tych miejsc Nowego Testamentu, które opisują spotkanie z Jezusem zmartwychwstałym. Popatrzmy:

Pierwszym człowiekiem, który spotkał Zmartwychwstałego, była Maria Magdalena. Patrzyła, nie rozpoznała; myślała, że to ogrodnik. Poznała, gdy wymówił jej imię i obróciła się doń, zapewne dość impetycznie. I wtedy padły owe zagadkowe słowa: „*Noli me tangere*”. „Nie dotykaj mnie, jeszcze bowiem nie wstąpiłem do Ojca.” Nikt tych słów wyjaśnić nie potrafił; czyżby ukazał się tej kobiecie w trakcie Przemiany?

Pojawił się Apostołom; a strwożeni sądzili, że zjawę oglądają. On zaś rzekł: „Oglądajcie ręce moje i nogi, że to ja sam jestem; dotykajcie i patrzcie — przecież duch nie ma ciała ani kości, jako widzicie, że ja mam”. I kazał podać sobie rybę i miód i jadł wobec nich. No, tak. Ale równocześnie to realne i dotykalne ciało przeszło przez zamknięte drzwi łatwiej, niż drapieżny ptak przez sieć pajęczą.

I takim go widziało, więcej niż pięciuset braci, z których wielu żyje dotychczas, a niektórzy pomarli”. I tak się zjawiał przez dni czterdzieści. A gdy Tomasz empiryk uwierzyć nie mógł — stanął przed nim i kazał mu włożyć rękę w swój bok przebity rzymską włócznią. „Uwierzyłeś dlatego, żeś mnie ujrzał, Tomasz; błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”.

A równocześnie droga do Emaus. Szedł z nimi i rozmawiał, a „oczy ich były przyśłonięte”. Nie poznali go przez tyle godzin, aż gdy miało się ku wieczorowi „i dzień się nachylił” poznali po łamaniu chleba. Dlaczego tak się stało?

A jeszcze ten śliczny fragment z połowu na jeziorze, w którym to opisie tak przedziwnie łączy się smak ziemi z atmosferą rzeczy nieznanych. Staje przed rybakami Ktoś: „Dzieci, a macie co jeść?” Nie mieli. Na jego słowo zapuścili sieci. Wyciągnęli je pełne ryb. A golutki Piotr przywdział suknie i rzucił się w wodę: aby prędzej do brzegu. Na brzegu ujrzeni węgle nałożone, rybę na nich leżącą i chleb. Rzeczy takie zwyczajne, rzeczy takie

realne. „Mówi im Jezus: Pójdźcie, jedzcie. I nikt z siedzących nie śmiał zapytać: Ktoś ty jest? — bo wiedzieli, że to Pan jest. A Jezus zbliża się, bierze chleb i daje im, a podobnie i rybę.” I chociaż nie ma blasków i światła, wraca echo z góry Przemienienia: „Panie, dobrze nam tu być”.

Te zestawienia (a można by je snuć obszerniej) mogą szokować; zdają się bowiem świadectwem sprzecznym. Podają jednak fakty świadczące po prostu o nowej rzeczywistości: mówią o dotykalnej realności Zmartwychwstania i o tożsamości zmartwychwstałego. Jednakże ta tożsamość nie jest identycznością. To jest ten sam człowiek, którego złożono do grobu; ale już nie taki sam. Ten sam Jezus, o którym powiedzą potem Dzieje Apostolskie, że „niebo przyjąć go musi aż do czasu odnowienia wszechrzeczy, co przepowiedział Bóg od dawna”. Ale równocześnie jest to jakby Nieznajomy Znajomy: ktoś, kto może się utaić. Ktoś, kogo można nie poznać. A może i nie zobaczyć. Ktoś z przyszłego świata. Realnego świata, dotykalnego jak chleb i ryba upieczona w żarze ogniska. Ale świata, który nie będzie już identyczny z tym, po którym wędrujemy dziś.

Oddajemy ziemi ciała naszych umarłych. Pismo porównywa ich do ziarna siewnego. „I to, co zasiewasz, nie jest ciałem, które się ma stać. (...) Wsiewa się skazitelne, a powstanie nieskazitelne, wsiewa się w pogardzie, a powstanie w chwale. Wsiewa się w słabości, a powstanie w mocy.” I powtarza raz jeszcze: „Umarli powstaną nieskażeni, a my

przemienieni będziemy. Bo to, co skazitelne, musi się przyoblec w nieskazitelność i to, co śmiertelne, przyoblecze się w nieśmiertelność, tedy wypełni się słowo, które jest napisane: Pochłonęło śmierć zwycięstwo. Gdzież jest zwycięstwo twe, o śmierci? Gdzie jest, o śmierci, ościęń twój?"

I jeszcze raz, i jeszcze: „Zbawiciela oczekujemy, Pana naszego Jezusa Chrystusa, który przemieni ciało naszego unizenia i upodobni je do ciała jasności swojej tą mocą, którą też może poddać sobie wszystko”.

Wszystko? To znaczy: co? Ten liść jesienny, brunatny, mokry — też? Tamten brzeg jeziora Genezaret i ognisko na brzegu, i dym, i chleb — także? Ślad ptasi? Niespodziewaną tęczę w kropli na pajęczynie? Mój Boże — świat też?

Tak. Świat też. Trzeba tę rzecz koniecznie dopowiedzieć. „Przemija postać świata”, ale to wcale nie znaczy, że przeminie świat. Umiera wszelkie stworzenie i umiera człowiek; jednakże zmartwychwstanie człowieka byłoby absurdem i nonsensem bez zmartwychwstania i chwalebного zmartwychwstania świata. Bóg Biblii jest Bogiem zaborczym i zazdrosnym, który nie zamierza porzucić niczego: „wszystko, co czyni Bóg, na wieki będzie trwało” — pisał stary Eklezjastes i dodawał: „Bóg odnawia, co przeminęło”, „ziemia bowiem na wieki stoi”.

Psalmista, śpiewając nieprzemijalną chwałę Pana, jednym tchem wyznaje odnowienie chwały ziemi. Gdy zaś Izajaszowi przyjdzie dawać świadectwo o przyszłym świecie

i gdy zamknie ów świat w alegorii Nowej Jerozolimy, nie znajdzie słów trafniejszych: „Murom twoim nadasz miano «Ocalenie», a bramom twoim «Chwała»”. Apostoł Paweł zaś nie zamyka nadziei odnowienia przed żadnym stworzeniem i nie ogranicza jej do człowieka: „Stworzenie bowiem poddane zostało znikomości nie ze swej woli, lecz dla tego, który je znikomości poddał w nadziei, że i samo stworzenie będzie wyzwolone z niewoli skażenia na wolność chwały synów Bożych”. (...) „A nie tylko ono, ale i my sami”...

Biblia nigdy nie rezygnowała z ziemi. Chrześcijaństwo jest najdosłowniej wrosnięte w ziemię i jeśli mówi „przemijanie”, mówi także „ocalenie”. I jeśli widzi całą nędzę ziemi, jednocześnie mówi także „chwała”. Jest to niewątpliwie najbardziej materialny systemat religijny świata.

Gnostycy tego bardzo nie lubili: zdało się im to przyziemne, prymitywne i plebejskie. A to złudzenie, że gnoza umarła: niektórym odbija się i dziś, i to jeszcze jak! Nie szkodzi. Jeśli Pismo wyznaje także i chwałę ziemi, dobra to rzecz: być przyziemnym.

Jeśli w ślad za Starym Testamentem Paweł nie wyobrażał sobie ocalenia człowieka bez ocalenia wszechświata, jeśli także i Piotr mówił o „odnowieniu wszechrzeczy”, jeśli wreszcie w swej Apokalipsie Jan ujrzał „nowe niebo i nową ziemię” — nie inna też jest wielka tradycja patrystyczna. Św. Bazyli pisał o Dniu Ostatecznym: „W tym czasie również wszelkie stworzenie cielesne z nami będzie odnowione”. Św. Jan Chryzostom: „Nie

tylko ty, lecz i to, co istnieje poniżej ciebie i co nie posiada ani myśli, ani czucia, to również będzie posiadać z tobą udział w dobrach”. Św. Cyryl Jerozolimski: „Przemienie ten świat, by jeszcze piękniejszy został wzbudzony”. Św. Hieronim: „Niebo i ziemia nie przepadną”. Św. Ambroży o zmartwychwstaniu Jezusa: „Zmartwychwstał w nim świat, zmartwychwstało w nim niebo, zmartwychwstała w nim ziemia”. I można by tak cytować bardzo długo. Prawdziwe chrześcijaństwo nigdy nie rezygnowało z wszechświata i stworzenia. Drugi Sobór Watykański w konstytucji *Gaudium et Spes*: „...a wobec trwania miłości i jej dzieła, całe to stworzenie, które Bóg uczynił (...), będzie uwolnione od niewoli znikomości”. Tak: my jesteśmy przyziemni — zupełnie, jak ów starotestamentowy chłopak z Księgi Machabejskiej, który tracąc język, gardził nim dlatego tylko, ponieważ spodziewał się, że znów go otrzyma od Pana. Tak, my jesteśmy prymitywni i plebejscy: kochamy świat, ziemię, stworzenie i ciało — «świątynię Boga». Jesteśmy także zuchwali: jeśli wszystko to umiłował Pan, czemuż nie byłoby wolno i nam?

Dzień umarłych.

My wiemy, że świat jest omentarzem; a każdy z nas wyrok swój nosi w kieszeni, gotowy od dnia narodzin. My wiemy, że ziemia, która jest hojną kolebką życia, jest także i grobem nienasyconym. To nic. Przyjdzie dzień, kiedy i my usłyszymy wezwanie: „powstańcie, którzy mieszkacie w prochu”.

Na grobach palimy światła.

Proroctwo Malachiasza 4, 1—2a
2 List do Tesaloniczan 3, 7—12
Ewangelia św. Łukasza 21, 5—19

Niedziela 33 per annum

Niebo i ziemia

Istniały hipotezy termicznej śmierci wszechświata. „Energia nie może spadać w dół bez końca” — pisał kiedyś Jeans — „i, podobnie jak waga zegara, musi dotknąć ostatecznie dna”. Dnem tym byłaby powszechna martwota wyrównanych różnic temperatur i potencjałów. Są jednak fizycy, którzy nie całkiem wierzą w możliwość tego typu końca; nie udowodniono bowiem dotąd, czy prawo entropii istotnie obowiązuje również w świecie molekularnym i nuklearnym. Nie udowodniono też, czy wszechświat może być interpretowany jako układ zamknięty.

Perspektywa gasnących słońc oraz oddalających się od nich, zapadających w otchłań kosmiczną martwiejących planet nie jest jednak jedyną perspektywą końca. Są do wyboru również inne.

Astronomowie obserwują kataklizmy gwiazd zamieniających się w nowe lub su-

pernowe. Nie jest to zjawisko tak znów rzadkie: kroniki naszego wieku zanotowały obserwacyjnie już ponad pięćdziesiąt eksplozji gwiazd w nowe i supernowe. Mechanizm zjawiska tłumaczy się naukowo w sposób nader prawdopodobny, choć nie wszystko jeszcze jest jasne. Niezależnie jednak od hipotez i trudności, same fakty pozostają niewątpliwe: w pewnym krytycznym momencie swego żywota gwiazda może eksplodować, zwiększając wielokrotnie swoją objętość i blask. Gdyby naszemu słońcu przypadł w udziale tego rodzaju fajerwerk — a jest to przecież tylko kwestia statystycznego prawdopodobieństwa — staruszka Ziemia przestałaby istnieć w bardzo krótkim czasie. Wyparowałaby, jak kropla wody na rozżarzonej płycie kuchennej i uległaby rozproszaniu, gdyż średnica nowej przekroczyłaby najprawdopodobniej granice całego naszego układu planetarnego. Jasność byłaby nieopisana: obserwowano nowe o blasku sto tysięcy razy większym od jasności naszego słońca, a także supernowe o blasku trzysta pięćdziesiąt milionów razy większym od jasności aktualnego naszego słońca. Tylko że żadne już ludzkie oko nie oglądałoby nawet pierwszej odsłony prologu tej uroczystości, gdyż w świejącym niesamowicie obłoku gazowej materii już dawno znalazłyby się także i rozproszone elementarne cząstki tego, co ongi było ludzkością.

Jeśli to komuś nie odpowiada, może sobie upodobać inne jeszcze wersje całkowicie naukowego i zupełnie laickiego końca świata. Ostatecznie razem z Ziemią i całym naszym

układem planetarnym odbywamy sobie podróż w kosmosie z całkiem niezłą szybkością — uczeni twierdzą, że w kierunku gwiazdy Lambda w konstelacji Herkulesa. To właściwie dziwne, że przez tyle już milionów lat jak dotąd żaden nieco większy zawaładroga kosmiczny nie stanął nam na drodze. Nie musiałyby się nawet zderzyć; dla wytrącenia z orbity starczyłoby, aby przesunął się zbyt blisko. Powstały bałagan byłby bałaganem śmiertelnym.

Jeżeli obraża to naszą ludzką godność, która to godność krzywo patrzy zarówno na deterministyczne perspektywy entropii, jak i bardziej jeszcze uwłaczające naszemu geniuszowi możliwości końca z niezaplanowanego przypadku — cóż, proszę: zafundowaliśmy sobie także możliwość samobójczego końca naszego świata. Stać nas.

„Całą przestrzeń wypełniło pałace światło wielekroć silniejsze od żaru słońca w południe. Trzydzieści sekund później nastąpił wybuch, powietrze uderzyło z wielkim impetem w przedmioty i ludzi, niemal bezpośrednio potem dały się słyszeć długotrwałe, straszliwe grzmoty, niby przestroga przed Sądem Ostatecznym. Uczuliśmy, że jesteśmy nikłymi stworzeniami, bluźniercami, ośmielającymi się budzić siły, którymi dotąd tylko Bóg władał. Było to przeżycie wstrząsające (...)” Tak pisał generał Farrel, świadek pierwszej doświadczalnej eksplozji nuklearnej, przeprowadzonej na poligonie. Bomba, która wówczas eksplodowała, była jednakże dziecinną zabawką w porównaniu z produkowanymi

aktualnie bombami wodorowymi. Właściwie należałoby się zastanowić, czy istnieć może coś bardziej przygnębiającego, niż godność człowieka, który proklamował swą dojrzałość i samodzielność.

Nasze aktualne zasoby bojowych materiałów rozszczepialnych znakomicie wystarczają do kompletnego i wizualnie nader efektownego wyniszczenia życia na ziemi, a gdybyśmy się tak wszyscy zgodnie natężyli — kto wie, czy nie udałoby się nam rozłupać tej starej łajby, którą żeglujemy po kosmosie tyle już wieków. I byłby to zapewne najbardziej naukowy koniec świata. Niemiecki fizyk atomowy Philberth sądzi, że silenie się na opisy jest w tym wypadku całkowicie już niepotrzebne: opis taki byłby tylko plagiatem z Biblii. A może także z pewnego bardzo starego poematu hinduskiego, który opisywał tysiące słońc rozbłyskujących na niebie: „jam jest śmierć, która niweczy wszystko i wstrząsa światami”...

Były kiedyś takie idylliczne czasy, kiedy ludzie uważający się za światłych z niejakim przekąsem mówili o „religijnych ponurkach”, którzy ponoć dla niewyraźnych swych celów straszą ciemny lud, prawiając mu nie tylko o grzechu i sądzie, ale także o końcu świata i innych takich okropnościach. Kościół bywa dziś aksamitnie nieśmiały i równie dbały o dobrą opinię, jak dziewiętnastowieczna panienka z dobrego domu: jest szalenie dobrze wychowany, nikomu nie chce robić przykrości i bardzo się boi posądzeń, także i posądzeń o straszenie. Cóż, kiedy

dzisiaj — o paradoksie! — nie ma już świątliwych ludzi, ufających nieograniczenie twardej ziemi pod stopami i wierzących naiwnie w naturalną trwałość rodzaju ludzkiego. Dzisiaj wiedzą już wszyscy, że jakiś koniec przyjdzie musi. Zaś świątliwi ludzie wiedzą to najlepiej. I to nie Kościół odebrał im złudzenia, lecz nauka, której zawierzili. Po okresie pierwszych uniesień kochanka świątliwych ludzi pokazała im twarz nieco inną od tej, którą wymarzyli sobie i upodobali. Tak bywa w życiu.

Philberth ma rączę: w przedmiocie końca świata przymiotniki „religijny” i „laicki” stały się nie całkiem sensowne w samej warstwie opisowej zjawiska, gdyż opis ściśle naukowy stał się opisem z gatunku apokaliptycznych, zaś dotyczące się tej kwestii teksty biblijne nie zawierają niczego, na co naukowiec mógłby się zżymać.

Biblijna wizja końca świata, o którym mówi także i dzisiejsza Ewangelia, jest wizją nagłej i totalnej katastrofy kosmicznej. „Nadejdą dni, w których z tego, co widzicie, nie zostanie kamień na kamieniu, który nie byłby zwalony”; „wielkie trzęsienia ziemi, zarazy i głód”; „I będą znaki na słońcu, księżycu i gwiazdach, a na ziemi ucisk narodów wśród zamieszania, szumu morskiego i nawałności. Gdy ludzie drętwieć będą ze strachu i oczekiwania tych rzeczy, które przyjdą na wszystkie światy, albowiem moce niebieskie poruszone będą”; „słońce się zaćmi i księżyc nie da światłości swojej, a gwiazdy spadać będą z nieba”; „słońce stało się czarne niby wór włosienny, a cały księżyc stał

się jako krew. A gwiazdy spadły z nieba na ziemię” (rój meteorytów?) „jak drzewo figowe, gdy wstrząśnięte wiatrem wielkim zrzuca niedojrzałe owoce swoje. I niebo usta-piło jak zwinięta księga”; „Niebiosą z wielkim szumem przeminą, żywioły od żaru stopnieją, a ziemię i jej dzieła strawi ogień.”

Oczywiście: opowiedziane to jest specyficznym językiem Biblii. Ale czy tak trudno byłoby fizykowi opowiedzieć to samo (choć może i wymowniej) językiem ścisłych terminów kosmologicznych?

W tym jednak punkcie następuje rozstanie — oczywiste zresztą, konieczne i niegroźne. Nauka, dopuściwszy możliwość czy prawdopodobieństwo tego rodzaju kataklizmu, nie mogłaby opisywać go inaczej. Ale też nie mogłaby powiedzieć ani słowa więcej bez sprzeniewierzenia się samej sobie, gdyż nie leży to w jej możliwościach ani też w granicach jej kompetencji. Co najwyżej mogłaby jeszcze suponować, że najstraszliwsza nawet katastrofa nie musi być równoznaczna z anihilacją.

Dla Biblii natomiast, która jest księgą wiary — ów Dzień Ostatni, „*dies irae, calamitatis et miseriae*”, jest Dniem Pana. Dla Biblii jest to dzień paruzji, dzień powtórnego przyjścia Chrystusa, nie zaś pusta gra ztraoty. Człowiek zdradzony, sponiewierany i umierający w poniżeniu powraca oto w światłach i gromach pożogi kosmicznej „z wielką mocą i majestatem”, przemieniony w chwale zmartwychwstania — po wszystko, co jest jego: po ludzi zdradzonych, spo-

niewieranych, spragnionych, wiernych i umiერajających w poniżeniu, po wszelkie stworzenie, po ziemię i po niebo: po wszechświat, który Bóg stworzył w miłości, nie zaś w nienawiści i który oddał Synowi. Dla Biblii chaos końca w całej swej grozie podobny jest temu, który poprzedził wydarzenia Księgi Genesis. Dla Biblii dzień paruzji jest otwarciem Księgi Odnowienia i Przemienienia. I to dlatego Biblia powiada nieoczekiwanie o początkach kataklizmu: „gdy to dzieć się będzie, podnieście głowy wasze”. I dlatego apostoł Piotr, opowiadając rzeczy straszliwe, przekazuje także i te słowa: „I wszędzie wam, bojącym się imienia mojego, słońce sprawiedliwości i zdrowie na skrzydłach jego”.

Oskarżano Kościół nawet nie tak całkiem dawno o owo straszenie ludzi. Cóż: śmiercią świata straszyć już nie można z ambon, odkąd o wiele skuteczniej zaczęła to robić nauka. Życiem straszyć — także rzecz próżna, ponieważ to, co w tym zakresie zademonstrowało w naturze samo życie naszego stulecia — było o wiele bardziej pełne grozy, niż chora fantazja najbardziej pomysłowego w straszaniu kaznodziei. Aby jednak nie być tak całkiem aksamitnym, wypada jednak czymś postraszyć. Bodaj po to, aby nie zrobić zawodu i przykrości epigonom zeszłego wieku. A pozostał na rozkładzie już tylko dzień codzienny i sprawy przyziemne, które na pozór nie pasują do żadnych wizji. Więc proszę, oto czytanie na niedzielę dzisiejszą, urzędowo przez Kościół przypisane. Urywek z listu Apostoła:

„Sami bowiem wiecie, jak winniście nas naśladować, bośmy u was niepokojów nie wzbudzali ani cudzego chleba darmo nie jedli, aleśmy w trudzie i umęczeniu pracowali dzień i noc, byśmy snadź dla nikogo z was nie byli ciężarem. I to nie dlatego, żebyśmy po temu prawa nie mieli, ale chcieliśmy dać wam siebie za wzór, abyście nas naśladowali. Bo i wtedy, gdy byliśmy u was, to wam nakazywaliśmy: jeśli kto nie chce pracować, niech też i nie je. Słyszeliśmy bowiem, że niektórzy między wami sięją niepokoje nic nie robiąc i czas na błahostkach marnując. Tym przeto rozkazujemy i błagamy przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, aby pracowali w cichości i chleb własny spożywali”.

Czy to nie straszne? Jeszcze i pracować kazać.

A swoją drogą Biblia jest bardzo dziwną księgą. Nie ma drugiej, która w podobnie nierozzerwalny sposób splatałaby niebo z ziemią i człowieczą codzienność z tamtą ostatnią Wielkanocą.

2 *Księga Samuela* 5, 1—3
List do Kolosan 1, 12—20
Ewangelia św. Łukasza 23, 35—43

Niedziela Jezusa Chrystusa, Króla Wszechświata

Skazaniec i władca

Koniec roku kościelnego: święto Chrystusa Króla.

Człowiekowi niezorientowanemu dałoby się może wmówić, że jest to bardzo stare święto, sięgające wczesnego średniowiecza. Zdaje się ono pasować do tamtych czasów i można by podejrzewać, że jest może przedłużeniem czy odbiciem określonego układu stosunków społecznych. I człek ów mógłby się może dziwić, że w owym czasie nie wprowadzono święta bardziej jeszcze konsekwentnie idącego po tej linii: cóż bardziej naturalnego, niż hipotetyczne średniowieczne święto Chrystusa Cesarza?...

A rzeczywistość jest całkiem inna. Święto Chrystusa Króla jest świętem chronologicznie bardzo późnym w Kościele, wręcz świeżym w jego skali, bo dwudziestowiecznym. Wprowadzone ono zostało dopiero po pierwszej wojnie światowej, kiedy wymienione wyżej

„feudalne skojarzenia” przestały już być aktualne. I raczej też nietypowo widzi Kościół owo królowanie, czytając na ów dzień świąteczny Ewangelię świętego Łukasza z fragmentem sceny ukrzyżowania:

„A lud stał, przypatrując się. Wraz z nim naśmiewali się z niego i przełożeni, mówiąc: Innych ocalił, niechże ocali i siebie, jeśli jest Chrystusem, wybranym Bożym. Także i żołnierze naigrawali się z niego, przystępując i ocet mu podając ze słowami: Jeśliś ty jest królem żydowskim, wybawże samego siebie. Był też nad nim i napis w języku greckim, łacińskim i hebrajskim: Ten jest król żydowski. A jeden z powieszonych łotrów bluźnił mu mówiąc: Jeśliś ty jest Chrystus, wybawże samego siebie i nas. A odpowiadając drugi zgromił go mówiąc: Ani ty się Boga nie boisz, choć tę samą ponosisz karę. My co prawda sprawiedliwie, słuszną bowiem zapłatę za uczynki odbieramy, ten wszakże nic złego nie uczynił. I mówił do Jezusa: Panie, wspomnij na mnie, gdy przybędziesz do Królestwa twego. I rzekł mu Jezus: Zaprawdę powiadam tobie, dziś ze mną będziesz w raju”.

Jest to bardzo trzeźwy tekst, który sprawę stawia na właściwej płaszczyźnie.

Jego Królestwo nie jest z tego świata. Ten Król jest na ziemi wyniszczonym i umęczonym człowiekiem, umierającym w poniżeniu i opuszczeniu. Z tego Króla szydzi świat: lud, przełożeni, żołnierze. Trójjęzyczny napis na szubienicy krzyża również wydaje się szyderstwem. Ten Król nie odepnie z krzyża ani siebie, ani nikogo z ludzi; on tylko razem

z nimi umiera. On tylko do końca dzieli los człowieka. I w mrokach Golgoty jeden tylko hojny, iście królewski gest: zbawienie. wieczność i cały przyszły nieskończony świat łotrowi konającemu — za żal u progu śmierci i za jedno jedyne wyznanie wiary. Ale przecież niewiarygodnie trudno było uwierzyć, że ten obok wiszący ma Królestwo w swym ręku. Jako i nam niełatwo. Śmierć jednak przyjdzie i tak. Przejdą przez nią razem: Syn Boży i łotr: „dzisiaj jeszcze będziesz ze mną”...

Ten tekst trzeba mieć przed oczyma, kiedy się patrzy na rozliczne, zbyt łatwe i nazbyt schematyczne wyobrażenia Chrystusa Króla: majestatyczną postać w koronie.

Trzeba mieć przed oczyma także i drugi tekst, czytany na uroczystość Chrystusa Króla i zamknięcie roku kościelnego:

„Bóg wybawił nas z mocy ciemności i przeniósł do królestwa Syna umiłowania swego. W nim mamy odkupienie przez krew jego, odpuszczenie grzechów. On jest obrazem Boga niewidzialnego, pierworodnym wszelkiego stworzenia. Albowiem w nim wszystkie rzeczy zostały stworzone na niebie i na ziemi, widzialne i niewidzialne (...). Wszystko przez niego i w nim stworzone zostało, a on jest przed wszystkimi i wszystko w nim trwa. On też jest głową ciała Kościoła, początkiem i pierworodnym z umarłych, aby sam we wszystkim zachował pierwszeństwo. Bo spodobało się Bogu, aby przebywała w nim wszelka pełność oraz aby przezeń wszystko co jest na ziemi czy co jest w nie-

biesiech, w nim się połączyło po nastaniu pokroju przez krew krzyża jego”.

Tekst ten dotyczy tego samego skazańca, który w poniżeniu konał na krzyżu. Jest to równocześnie tekst o przedwiecznym Synu Bożym, władcy Przyszłego Wieku: nowej ziemi i nowego nieba, i nowego, przemienionego wszechświata. Tekst o „pierworodnym wszelkiego stworzenia”, w którego bycie tkwi wszelki byt i „wszystko w nim trwa”. Także i pokolenia ziemi.

To o nim powiedziano: „Królestwu jego nie będzie końca”. To jego ujrzał Jan w groźnej wizji swojej na wyspie Patmos oglądając Dzień Ostatni u progu Królestwa:

„A oczy jego jako płomień ognia, a na głowie jego koron wiele i imię ma wypisane, którego nie zna nikt, jeno on. Przyodziany był w szatę zbroczoną krwią, a imię jego zowią Słowo Boże”.

I o nim powiedziano: „Stolica Twoja, Boże, na wieki wieków, berło prawości — berło panowania twego”.

Jeśli to tylko możliwe dla ograniczonej ludzkiej myśli i intuicji, cień tej niewyrażalnej wielkości, której słowem dotknąć prawie niepodobna, rzucić trzeba na tamtą scenę Ukrzyżowania. To jest ten sam.

Gdzieśmy wtedy byli? Który to z nas mówił: „Panie, wspomnij na mnie”? Kto stał z dala? Kto pozostał w mieście, obojętny, ważniejsze mając sprawy do załatwienia? A może byliśmy wśród szyderców? I mówiliśmy jak oni: „niechże ocali sam siebie”.

Gdzie jesteście?